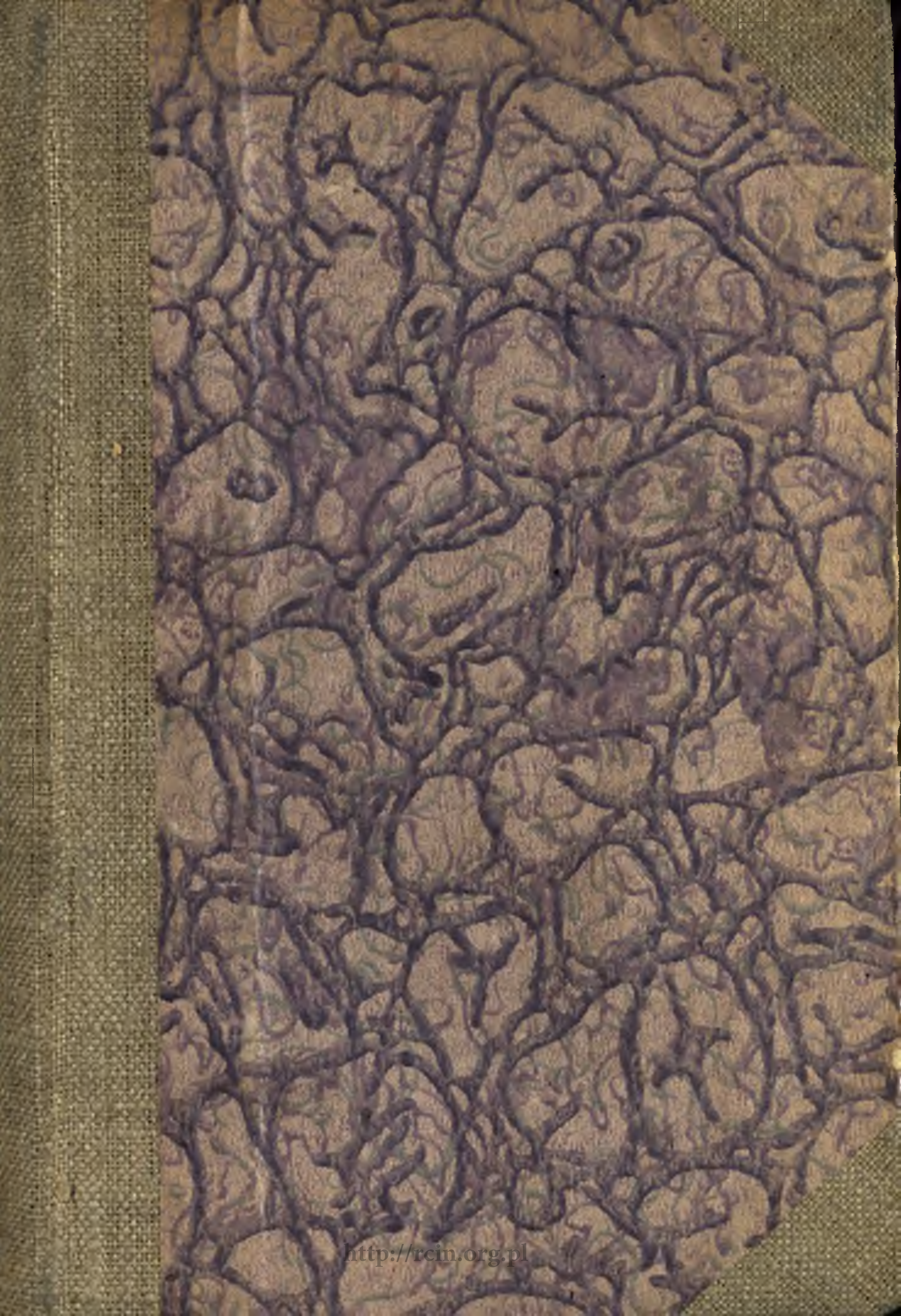
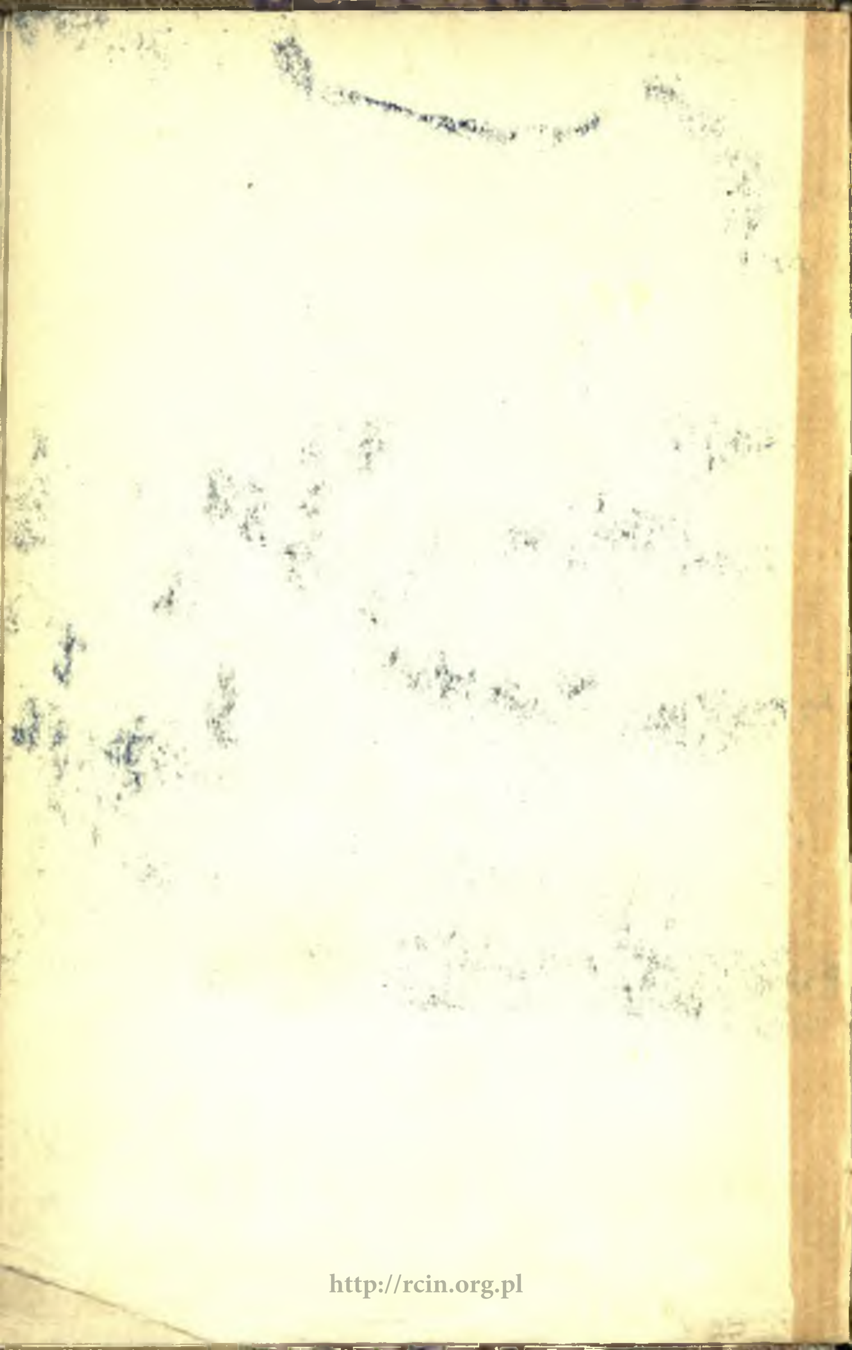

A. NOWACZYŃSKI – MOJA PRZEJAŻDZKA PO PALESTYNIE

A. NOWACZYŃSKI



Moja przejażdżka po Palestynie



MOJA PRZEJAŻDŻKA PO PALESTYNIE

Adolf Nowaczyński

Moja Przejażdżka po Palestynie

Warszawa — 1936

Skład główny: Księgarnia Alfons Prabucki i Aleksander Płocha
Warszawa, Miodowa 1



Drukarnia „Wzór", Warszawa Rejtana 16. Telefon 9-42-37

WSTĘP

PODRÓŻ NIEBYWAŁA

Aby Ziemię zwaną ongiś Świętą poznać ale dokładnie i wyczerpująco, nie tylko nie trzeba jechać do niej raz, dwa razy, trzy razy („Palestyna po raz trzeci“) ale wprost przeciwnie, nie trzeba do niej jechać nawet po raz pierwszy i to pod żadnym pozorem, wbrew wszelkim namowom i przy najdalej idących ułatwieniach i udogodnieniach. Odmówić kategorycznie i koniec i odłożyć aż za lat dziesięć? Dlaczego aż tak? Otóż dlatego, że po pierwsze ten jeden jedyny punkt na kuli ziemskiej już tylokrotnie tysiąckrotnie od dwóch tysięcy lat opisywany nie przedstawiałby już ani jednego nowego metra kwadratowego do odkrycia. Po drugie, że ostatnio to jest w ciągu lat osiemnastu ten skrawek ziemi znów został przez tyle set piór dokładnie, detalicznie spenetrowany, że zna się w nim każdy zakątek. Po trzecie można było oglądać w ostatnich trzech latach cztery filmy. Obrazkowych wydawnictw we wszystkich językach jest moc i przemoc. Francuskich deskrypcji i belletrystyk kilka wprost świetnych (Tharaud, princesse Bibesco, Benoit, Emil Schreiber). Po piąte zaś i co najważniejsze to to, że ci nasi turyści i pielgrzymowie, którzy w Palestynie w różnych czasach często gęsto bywali i bawili, raz na zawsze odstręczyli od wyjazdu do Palestyny, dając po po-

wrocie obrazy niedokładne, niekompletne, partyjnie nastawione i w rezultacie zafałszowane, fałszywe, błędne, złe, nieprawdziwe, wprowadzające w błąd opinję publiczną w Polsce najbezpośredniej w prawdzie o Palestynie zainteresowanej.

A było ich wielu, multum, księży i cywilów, wojskowych i Jezuitów, publicystów, reporterów, powieściopisarzy: Kossak-Szczucka, Strug, Ossendowski, Ksiądz Szymański, Ksiądz Kłos, Ksiądz Kneblewski, p. p. Strzetelski, Makarczyk, K. Prószyński, płk. Bobkowski i zdaje się hr. Pusłowski i chyba prof. Dyboski (skoro głos w tych sprawach zabierali). Jeszcze stosunkowo najdojrzalej i najpiękniej referowała p. Wanda Borudzka (w „Gazecie Polskiej“), najrzetelniej w powieści „Chleb i Objawienie“... Józef Arich (Nowoczesna księgarnia r. 1926). Powieściopisarze naiwnie, dziecinnie, jako te ptaki przelotne, jako żórawie. Publicyści bez przygotowania, bez perspektywy, bezkrytycznie z reporterską egzaltacją, wierząc ślepo in verba magistri czyli naładowani i napompowani przez sprytnych guidów i ciceronów. Wysadzano ich z wygodnych kabin, wsadzano w autokary, obwożono po Alembiku (Allenby-Street w Tel-Awiw), pokazano studnię Jakóba, grób Racheli, las Balfoura, grób Dawida, Petach-Tikwę, Tel-Or (Pagór Światła) Kosel Hamarodi (Ścianę Płaczu), Morze Martwe, Uniwersytet na Górze Oliwnej, potem to, czego dokonał Rutenberg i czego Nowomiejski, może jeszcze młyn Rotszyldów i browar Dreyfussów, może fabrykę sztucznych zębów, może fabrykę... Lewiatana, może szpitale Hadassy, kilka kolonij, kilka ogródków, kilka plantacyj i kilka redakcyj. I już. Potem fety, bankiety, toasty. Pije Kuba do Jakuba. Dokoła okrągłego stołu redaktorowie: Feldman, Glücksman, Grünbaum, Kahane,

Kalwaryjski, Thon etc. I rozmawiają po polsku. „King-Dawid-Palace-Hotel“ w Jerozolimie, a rozmawiają po polsku!

Wtedy gość z Polski oczywiście wzruszony do łez, dziękuje zebranym i rozpowiada, co widział z extatycznymi superlatywami. Delegowany aranżer wznosi zdrowie winem z Karmelu, wszyscy krzyczą niech żyje! A mazełtopf! I gość Polaczek w niebowzięty. Potem jeszcze kilka dni: Cafe Raphael, Cafe Galina, Cafe San Remo. Na tarasach, na werandach przystojne chłopczyce gołonóżki, bo jadą się kąpać... Wieczorem neonowe światła, Opera, kino Edison, auta po asfalcie jak na Rivierze, po kawiarniach „argentyńskie“ kwintety, wszystko tańczy, Palm Beach czy Florida? Gościowi dają moc propagandowych broszurek i druczków i albumów i statystyk. Na drogę skrzyneczki z grapefruktami i daktylami. Odprowadzają aż na okręt. Wsadzają. Gość czyta teraz co to pisali o „cudzie“: Zweig, Blum, Fischer, Basch, lady Benzol, lord Trafalgar, princesse Halifax, duchesse Bibesco (Krucjata po anemony), Benoit (Studnia Jakóba). Czy on ma być gorszy i głupszy? Przecież widział na własne oczy instalacje i irrygacje i tam, gdzie były moczary malaryczne i kamienie, teraz widział pomarańczowe gaje i cytrynowe lasy i wille i pałace i wieśniaków ogorzałych i dziewczyny z koszami winogron i naszych! naszych na roli z pługami, z sierpami, z krowami i z kozami.

Czyż można się teraz dziwić, że taki jeden z drugim turysta polski do głębi podexcytowany i wzruszony ogromem konstruktywnych rezultatów i sukcesami radosnej twórczości wpadał poprostu w trans extatyczny? i wylewał te extaty na papier? Nie można. Tylko nie należy samemu na-

rażać się na pokusy i na polskie arcypolskie niewolnicze uleganie wszelkim wszędzie sugestjom i propagandom. Aby się zaś nie narażać, należy poprostu nie jechać i z oddalonej perspektywy obserwując całość, nie fragment, nie fasadę, nie elewację, nie front tylko, nie Potemkino Palestyńskie, najpierw napisać książkę o Palestynie, a potem dopiero przejechać się do niej i po niej, aby naocznie sprawdzić i przekonać się, o jaki procent więcej może *wiedzieć* ten, co nie potrzebował *widzieć* i o jaki procent réalité des choses na miejscu stoi w sprzeczności z peanami i panegirykami wypisywanymi przez przygodnych i przelotnych turystów.

Dystans między drukami propagandowymi a rzeczywistością był już bowiem od wielu lat olbrzymi. Zalążki i zawiązki dzisiejszego tragicznego krachu syjonizmu już in statu latenti tkwiły od dawna. Entuzjaści Jiszuwu i Erecu oblagowywali i oszałamiali przyjezdnych z ferworem wprost niepoczytalnym, ot tak jak to potrafią zachwalać towar przed sklepami. Palestyna w rękach żydowskich stanie się wkrótce drugim Gibraltarem angielskim i drugą Belgją równocześnie. Z Tel-Awiw będzie wnet i Chicago i Nicea równocześnie. „Miastem Cudów“ nazywał je Ben Jiszag, rosnącem na drożdżach w przeciągu lat dziesięciu. Narkotyzowali się tem gwałtownem, gorączkowem i kurczowem rozbudowywaniem, zatajając, że Tel-Awiw założono już przed wojną w r. 1910 i nie dając posłuchu fachowcowi-urbaniście architektowi Henrykowi Rozensteinowi, który w przystępie prawdomówności wypowiedział twardo, że Tel-Awiw rozbudowuje się ohydnie, haniebnie, obrzydliwie, chaotycznie, po partacku i jak pierwsza lepsza Babbitoska dziura amerykańska, neonowa dziura ame-

rykańska, nadto jeszcze tandetnie, na gwałt i na pokaz. Dziś wygląda to jak baśń Schecherezady, a za kilka lat pałace i banki mogą zacząć się walić. A to z czego syjoniści byli stale najbardziej dumni, to miasto właśnie stało się rakiem, który organizm świeży zaczął toczyć. Stąd szła demoralizacja, bo tu uciekało wszystko z roli i z terenu. Turystów trzymano na tarasach Cafe San Remo, ale nie pokazywano im kawiarni Schorra natłoczonej handlarzami ziemią, agentami, spekulantami, grynderami, oszustami, szajlokami uprawiającymi dzikie orgje operacyj wekslowych, podbijania cen parcel, dunamów i placów miejskich. Szał gryndersk doprowadził do tego, że w momencie wybuchu rewolucji arabskiej w kwietniu r. 1936 w Tel-Awiw było 83 banków i banczków, że w Tel-Awiw skoncentrowała się 1/3 jedna trzecia całej imigracji całego „jiszuwu" i że w rolnictwie i w terenie zostało już tylko 28% żydów, czyli że cała idea syjonizmu, to jest powrót do ziemi, na rolę, do pracy pozytywnej chłopskiej, uszlachetniającej, poprostu już zbankrutowała. 50 kawiarń i 83 banków, a do ciężkiej pracy na roli wynajmowani Arabowie „Horańczycy"! Więc znowu odpływ do miast, ucieczka z „krajobrazu", handel i wandel, tosamo co w Golusie, powrót do życia miejskiego i do szacher - macher (Marx: dixit) na ulicach i w kawiarniach. A z tem wszystkie amerykanizacja, luxus, życie nad stan, ciągłe obchody i festyny, karnawał, „adlojady", ba nawet wyścigi konne z totalizatorem (sic!), narciarstwo (na Libanie!), pochody kostjumowe à la Nicea no i wogóle: lunapark i lunaparch... Z pięknego i wzniosłego idealizmu pierwszych pionierów, ofiarników, pracowników, karczowników i dosłownych bohaterów nie pozostało dosłownie nic. Równocześnie z tem życiem ułatwionem i życiem nad

stan olbrzymia przewyżka importu nad exportem, galopujące pogarszanie bilansu handlowego, drożyzna, depresja ekonomiczna no i wreszcie w kwietniu zatajonych 10 dziesięć tysięcy bezrobotnych. Jeszcze ta pani Miriam (Sieraczko) w korespondencjach swych blagowała o „braku rąk roboczych", o złych Anglikach tamujących przypływ nowych „alji", a tu już było 10.000 bezrobotnych! I jeszcze blagowała (3 marca 1936 r.), że „Arabowie chcą za wszelką cenę sprzedawać grunt żydom" (sic!), kiedy już przygotowywały się wielkie rozruchy pod hasłem stop immigration! i odwołać deklarację businessmana (Mond-Nickel) Balfoura.

O tem wszystkiem oczywiście nasi turyści i pielgrzymi ani zielonego pojęcia. W Palestynie bawili tylko jako goście Egzekutywy obwożeni, obkadzani i obkarmiani informacjami optymistycznemi aranżerów - reżyserów („oczkowtiriatelów" od Potemkina). Ani Ziemi Świętej kolebki Chrześcijaństwa nie widywali, ani też do ludności tubylczej autochtonicznej nie pozwalano, nie dano im się zbliżyć. Oglądali tylko Schecherezadę, ale nie mogli nawet przeczuć, że stare biblijne pląsawisko „hora" tańczone jest na... wulkanie narastającej, wzbierającej nienawiści narodu-gospodarza. Ale jeżeli turyści cudzoziemcy, Anglicy, Amerykanie, Niemcy, Włosi, nawet motylkowato powierzchowne Francuziki jednak dostrzegały w sztafażu tubylców-Arabów (Tharaud, Schreiber, Bibesco), to Polaczkowie nic i nigdzie. Ani jeden nie był z wizytą w ani jednej arabskiej redakcji. Ani jeden nie postarał się o kontakt z niepodległościowcami i z patrjotami. Ani jeden z wizytą u Wielkiego Muftiego lub u burmistrzów Jerozolimy lub Jaffy. Prowadzeni za rączki i na pasku impressarjów, szli tylko tam, gdzie impressarjo pozwalał. O tych Ara-

bach słyszeli coś tylko przelotnie i niepochlebnie to, co im posuflerowały Asche, Basche, Pierrothy i Zabotypy. A więc że to „Beduiny“ „nomady“, koczowniki, motłoch „dziki, brudny, cuchnący“, barbarzyński, próżniaczy, w ostatecznej nędzy wegetujący. Tak z bezbrzeżną pogardą stale relacjonowali różni specjaliści, których noga widocznie nigdy nie postała na Nalewkach, na Kazimierzu, w... Będzinie. Tylko syjoniści wnoszą tam cywilizację, dobrobyt, maszyny, kulturę, agrykulturę, elektryfikację, motoryzację, Europę. Bez tego Arabowie zdechliby z głodu a chłopów Fellachów wyzyskiwałby i wysysał effendi-obszarnik, szlachcic, endek...

Polscy turyści nie zadali sobie trudu sprawdzić autentyczność tych paszkwilów. Ani jeden. Ani jednemu nie przemknęło przez myśl jakie to pruskie, arcypruskie to, co ci panowie syjoniści rozpowiadają. Przecież takim językiem stale i przez lat dziesiątki przemawiali do Polaków, do Wielkopolan, Ślązaków, Kaszubów, kulturtregerzy z Berlina. Czy nie wnieśli i nie wnosili tam wyższej cywilizacji i wyższych form bytowania i dobrobytu i asfaltów i fabryk? Wnieśli. Ale mówili o tem po prusku, arcyprusku. I kiedy w roku 1900, 1905, 1916 panowie z Berlina obwozili po Wielkopolsce dziennikarzy amerykańskich, angielskich, skandynawskich, to notorycznie (stwierdzono w prasie wielokrotnie) przemawiali i informowali ich taką prozą jaką teraz w ostatnich latach w Palestynie inspirowano p. K. Prószyńskiego, Makarczyka, Ossendowskiego, i Struga. „Tyle włożyliśmy kapitału, tyle pracy...“ „A tu był brud i nędza i analfabetyzm i barbarzyństwo“.

A potem przyszło wywłaszczanie, H. K. T., ausrotten! „extermineszen“. I teraz dr. Feigenbaum

mówił jak komtur krzyżacki: „krwią i ogniem Jehuda upadła, krwią i ogniem powstanie". Zangwill: „precz do Mezopotamji!" Colonel Kenworthy (Straabolgy): „Z Arabami do Transjordanji!" A z jaką to bezbrzeżną pogardą wyrwał się pan Wygodzki z Wilna, nie mówiąc już o samym führerze Żabotynskim, który raz poraz sypał siarczystemi obelgami o dziczy, która ma paść bydło na pustyni i niech się wynosi, bo ma dla siebie od Marokka do Mezopotamji kraj o 170 razy większy.

Tymczasem Arabowie jednak nie chcą się wynosić. Syjonizm uważają za najazd (conquest), a żydów za intruzów. Ani kultura tak manifestująca się im nie imponuje, ani bogactwa nie olśniewają, ani żelazobeton nie przygniata, ani neonowe reklamy nie oślepiają. Sprzedawczyków „odstępujących" ziemię H. K. T. (Hatikwa) palestyńskiej znalazło się wśród szlachty, effendich, beyów, kadjich, początkowo wielu, poczem przyszło opamiętanie i odpór solidarny. Ostrzeżenia i nawoływania prasy arabskiej nie tylko lokalnej, ale Syryjskiej, Irackiej, Egipskiej (Al Ahram — Pyramidy, Al Arhar — Słońce), Al Balagh, Al Gihan) zrobiły swoje. Już nie tylko palcem wytykają sprzedawczyka, ale nawet by się taki żywcem nie uchował. Ostatnio sprawa tego depossedowania (displaced) stanęła na ostrzu noża i to dosłownie na ostrzach nożów i sztyletów. Od rewolucji kwietniowej i przebudzeniu się Islamu nad całem Morzem Śródziemnem niema mowy o tem, żeby jeszcze piędź ziemi przeszła normalną drogą w żydowskie ręce. Nie pomogą żadne kapitały, żadne kawały, żadne Kajemety ani Hajezody, żadne postępy ni szwindle. Ani nie udało się podjudzić jedno państewko arabskie na drugie, ani komunistyczną propagandą fellahów na effendich i szeików. Pod

ofenzywnym naporem niepoczytalnie agresywnego szowinizmu syjonistycznego i obłędnej megalomanji Rewi-syjonistów i Machonbojów Żabotyńskiego pogodziły się ze sobą stare rody i klany szlacheckie, które od trzystu lat nienawidziły się i dybały na siebie i w „pień" się wyrzynały. Teraz idzie już zwartym frontem od Marokka do Mezopotamji (włącznie): trzydzieści miljonów Arabów, a za nimi i z nimi 80 miljonów Islamu. Inercja abulija, ataraksja, marazm, kismet, letarg, sen wiekowy już się skończyły. Nadchodzi przypływ energji i dynamiki nowego morza ludzkiego, a żadne angielskie stare, zużyte sztuczki gubernatorskie, żadne divide et impera czy dividende et impera już nie zaradzą. Los całego Empiru się waży.

Polaczkowie i Polacy zwiedzający Palestynę tem wszystkiem dotychczas się nie interesowali. Ich marszruta bywała zawsze ta sama,, szablonowa ściśle wedle planu „Inturysta" tamtejszego. Ani ich nie obchodził problem dechrystjanizacji Palestyny i zamerykanizowanie miejsc rzekomo świętych dla Chrześcijan (czasy peregrynacji Radziwiłła „Sierotki" minęły), ani ich obchodziła „El Kudż" (Jerozolima) muzułmańska i odrodzenie Islamu, ani młodzież arabska i jej przywódcy. Patrzyli i obserwowali wszystko przez różowe okulary w rogowych amerykańskich oprawach, których im dostarczali machery i wirtuozy reklamy. Imponował Tel-Awiw, to jest kombinacja: Żoliborza, Kossowa i Wall-Street. Imponowało, że taki „Buchvolk" skroś inteligencki, intelektualny, skroś miejski i brukowy „garnie się do gleby", że dentyści i chemicy „chodzą za pługiem", a ogorzałe doktorki filozofji, dojąc krowy, cytują Valeryego i dopytują co teraz pisze Wittlin? O rychłem zblazowaniu się kampingiem i masowem zmykaniu do miast

tych wieśniaków... naturmenschów, nikt ich oczywiście nie wtajemniczał jak również o końcu prosperity, o krachach i o depresjach. Ani o tem, że w przeciągu lat siedemnastu półpogromów było już osiemnaście a dziewiętnasty nadchodził.

Polacy dali w siebie wmówić i to bez bólu i bez wysiłku dwie fikcje względnie dwa bluffy względnie trzy falsyfikaty. Pierwszy o cudzie zmartwychwstania języka niebywałym, jedynym, singularnym. Nieprawda pierwsza. Nie tylko hebrajszczyzna zmartwychwstała, zresztą stale i odwiecznie przechowywana i kultywowana w księgach i w nauce haortodoxim. Daleko fenomenalniejsze było wskrzeszenie całkowicie zagrzebanego języka gaelickiego i o wiele efektowniejszy i cudowniejszy renesans Basków, Bretonów, Walijczyków, Irlandczyków, Litwinów, Łotyszów, Estonów, Liwonów i t. p. Odnalazły się w swem jestestwie nawet rozmaite szczepy azjatyckie par exemple „Tadżikistańcy“ ze swą poezją, sztuką, muzyką. Przetrwanie przez lat tysiące nie jest więc żadnym monopolem narodu dobranego a tylko krzyk i wrzask jerychoński, jaki się z tem przetrwaniem hebrajszczyzny wyprawia, jest cudem reklamy.

Drugi bluff, to t. zw. odciążenie. że niby trzeba protegować i propagować syjonizm wszelkiemi siłami, bo to umniejszy jednak obciążenie dziedziczne (erbliche Belastung), jakie znosimy dzięki głupim monarchom i kanclerzom, przekupnym możnowładzcom, lekkomyślnym kasztelanom, alkoholikom wojewodom, romansom Kazimierza Wielkiego(sic!) i moral-insanity francmasonów z XVIII wieku oraz 20-tu tysiącom wżartych w organizm narodu frankistów czyli polskich marranów. Nieco zramolały od lat czterdziestu siedemdziesięcioletni książe-prezes polskiej Pro-Palestiny jest do-

głębnie przekonany (przez pana Makarczyka), że jeżeli rocznie będzie wyjeżdżało z Polski choćby tylko 32 tysiące „róż Saronu" i synów Bar-Kochby, to to już pochłonie przynajmniej całą nadwyżkę przyrostu roczną plemienia i Polsce się ulży. Pakować tedy rozendeczonych polskich głodomorów do takich obozów odrutowanych (które ongiś wynaleźli szlachetni Anglicy dla pacyfikacji braci Boerów). A równocześnie pakować młódź izraelicką obojga płci na okręty idące z Konstanzy do Haiffy, no to cały problem rozwiązany, węzeł gordyjski rozplątany i jakoś to będzie. Oczywiście nonsens gruby jak pięść z dzisiejszej perspektywy (Maj 1936) nie mniej przeto nonsensem zawsze już był, gdy Islam jeszcze drzemał a semici-Arabowie witali z rozwartemi ramionami semitów z legjonu żabotyńskiego (i Lawrenca) wyzwalających Kodesz Admar (Ziemię Świętą) z pod ugniotu Turków. Home czyli siedziba nie miała być w zamierzeniach Mędrców żadnem państwem i zlewem z 80 państw, w których bytują, a tylko i wyłącznie uzdrojowiskiem nacjonalno - moralnem, czemś w rodzaju duchowych Piszczan, Karlsbadu, Vevey, Laman, Priessnitz, Morrison, Woronow, a równocześnie Oberammergau i Beyreuth! (nie Beyruth). Jak my na wieś do dworów i do chałup by się nadyszeć i nabuchać polszczyzny, swojszczyzny, a potem ze wzmożonemi siłami, wykąpani w czystości rasowej walczyć wzmożonemi siłami z zalewającą obczyzną, tak oni sobie wykomponowali kurację w tradycjonaliźmie nadjordańskim, nie zrzekając się ani na sekundę krajów i miast, w których może i pasożytują, ale w których rozwoju, nie trzeba zatajać, także położyli pewne zasługi, gdzieniegdzie i wielkie. Aby atoli takie nawet stadowe wyjazdy syjonistów u nas specjalnie teatralnie in-

scenizowane miały być wielkiem remedium a nie jeno czasowem palladium, o tem serjo mogły roić tabetyczne książątka, filuterne reportery, i brydżyści między jednymi robrami a drugimi, kiedy się kwadrans poświęca „bolączkom krajowym".

Trzecia blaga to jest tak zwana brama do Wschodu, obliczona na ekonomistów, przemysłowców, exporterów, finansistów, engrosistów, konsulów, kupców, komiwojażerów, Lodzermenschów, materjalistów, pozytywistów, organiczników, na captains of industry. że niby... rynki wschodnie. Dawniej: Chiwa, Buchara. Teraz: Iran, Irak, Afganistan, Egipt, Hedżas... no ale przedewszystkiem początkowo sam Erec Izrael. Kombinowano: cała Palestyna ma tyle żydów co i Warszawa plus minus 350.000. Plus minus z tego 100.000 z Polski. Znają producentów, znają konsumentów, tedy łatwo pójdzie i są rynki zbytu i zbytków. Ileż oracyj wygłosili p. p. Arciszewski i Kunikowski na ten śliczny temat. W praktyce pokazało się, że owszem i kochają i tęsknią nawet, popłaczą nawet na wspomnienie ulic Krochmalnej lub Kwaśnej, Kolna lub Konina. Z geszeftami atoli gorzej i jakoś się nie kleci. Do Palestyny $^1/_{70}$ jedna siedemdziesiąta część naszego exportu. Za 4 miljony rocznie. Z Łotwy sery, z Egiptu jaja, nawet jabłka i gruszki (luksusowe chyba w kraju pomarańcz) nie z Polski. Bad Business. Z Hitlerowskich Niemiec teraz! po tem wszystkiem co zaszło i co zachodzi i co jeszcze zajdzie (po Heidelbergu i Olimpjadzie) o 30% więcej jak ze swej rodzonej, najrodzeńszej od 800 lat„ Berkojoselewiczoskiej Ojczyzny... z „Poilen".

Nie trzeba tedy, rozważając problem Palestyński opierać się tylko na jednostronnych relacjach, sugestjach, insynuacjach i informacjach. Wtedy

bowiem dochodzi się w swych poglądach na problem palestyński, a więc na problem i moralnie i metafizycznie globalny, planetyczny, do stanowiska całkiem staropruskiego z ery Wilhelma, i pisze prozą hakatystów liberalnych (K. W. — 26. K. 1936).

„Koloniści w Palestynie nie przynoszą szkody nikomu a wręcz przeciwnie przyczyniają się do dobrobytu kraju i polepszenia stanu gospodarczego całej bez wyjątku ludności". Tak pisywano w Berlinie broniąc ustawy wywłaszczeniowej.

Fellachy atoli widocznie są podobni do Lachów. Nie każdych kulturträgerów przyjmują z pocałowaniem ręki i nogi. Dobrobyt takim kosztem uzyskany widocznie nie zadawala tę rycerską i szlachetną... a też semicką rasę. Wolność im więcej zapachniała jak... nafta. W polskim języku o „nadmiernych uroszczeniach Arabów" pisać się nie godzi! Za wielki to trybut i za wielkie hommagium złożone u stóp naszej antypaństwowo państwowotwórczej mniejszości.

Aby tego uniknąć, to przedewszystkiem należy przy zabieraniu głosu w tej sprawie unikać pokusy zapoznania się krajoznawczego ex autopsia. Potem można, przedtem nie trzeba jako dewizę brać sobie napis jaki kazał na swoim nagrobku zamieścić marszałek Ludwik Hubert Gonzague Lyautey, zdobywca Marokka:

„Urodził się i umarł w wierze katolickiej. Kochał Mahometan jak swych braci". Najstanowczej atoli nie należy się powodować i kierować tak w rozmyślaniach jak i we wnioskach i konkluzjach tak zwanym antysemityzmem. W tym wypadku będzie to wyjątkowo ułatwione, proste i jasne, ponieważ Arabowie są semitami czystej krwi bez ja-

kichkolwiek przymieszek chazarskich, rasowymi semitami w stu procentach. Obrona więc ich stanowiska i ich dążeń niepodległościowych przed inwazją i najazdem jest filosemityzmem najczystszym, skrajnym, powiedzmy sobie: integralnym.

KRÓL JEDNOOKI

Wcześniej, niż można było tego się spodziewać, Arabia, Arabowie, Arabistan, Islam, świat muzułmański wchodzą znów w... modę. Świadczy o tem także i moc publikacyj i książek we wszystkich językach, jakie od kilku lat pojawiają się wszędzie. W Londynie wychodzi monografja jednej tylko postaci z arabskiego wyzwolonego ruchu (panarabizm), t. j. Armstronga: „Lord of Arabia". An Intimate Study of a King; wydawca Barker.

Lordem Arabji, jak się to łatwo było domyśleć, jest zwycięzca ostatniej wojny, pan i władca Nedżetu i Hedżasu, Abd el Azis Ibn Saud. Istotnie jedna z najbardziej fascynujących postaci z tego dzisiejszego, coraz więcej interesującego globu ziemskiego, zwolna, systematycznie krok za krokiem przygotowująca się do odegrania historycznej roli korektora pewnych wielkich błędów polityki angielskiej. Relacje o nim możnaby zacząć jak jakkąś z bajek Scheherezady.

Był sobie taki jeden wielki sułtan, taki szeik nad szeikami, który nie miał jednego oka i to lewego. Ale pomimo tego, że nie miał, a może właśnie dlatego, widział czy przewidywał znacznie więcej i dalej, jak ci, co posiadali „dwa oka". A choć miał tylko jedno oko, pracował prawie za czterech innych królów. A należał on do takiego

szczepu, czy do takiej sekty, którą sto lat temu założył dzielny szeik Ibn Abd el Wahabi. A ci Wahabici, to byli poprostu trochę górale (harnasie), a trochę wsteczniki. Integralni nacjonaliści i cokolwieczek klerykali. Co Mahomet postanowił i kazał, tak ma być! Złota do rąk brać nie wolno! W jedwabie się ubierać nie wolno! Ani pić, ani palić! Ani wina, ani mokka, ani nargile. A pięć razy na dzień modlić musowo. Conieco tak jak jakiś Zakon Krzyżowy, tyle że z kobietami i tylko tego można po kilka. Zresztą narkotyków żadnych. Fanatycy, nietylko religjanci. Koran rano i wieczorem. Owszem i filozofja i poezja i nauka i al-gebra i szachy i to i owo, ale głównie: Bóg i Ojczyzna.

Wielki Wahabi wrócił do pierwotnych, surowych, ostrych reguł wyznaniowych, rytualnych i obyczajowo - nacjonalnych. Górale z Nedżetu i Hedżasu poszli za Wahabim i wrócili do czystego, twardego, nieco nawet purytańskiego Islamu. I to im na dobre wyszło, a najlepiej przydały się harnasie rodzinie Saudów. Ci sobie po patrjarchalnemu panowali w Nedżecie, tam, gdzie to kończą się góry i pagóry, a zaczynają olbrzymie bezkresne pustynne piachy: Arabia Deserta.

Kiedy nastała pierwsza wojna światowa (1914), Arabowie w krajach nadśródziemnomorskich i dalej w zapleczu Azji Małej i Afryki jako że srodze nękani i gnębieni przez Osmanów-Turków dali się łatwo podkusić różnym takim agentom angielskim (Lawrencom), no i dalejże rewolta przeciw Istambulowi. I wszyscy, effendi, kaidzi, emirowie, imanowie i szeikowie poszli gładko na szterlingowy lep londyński za przykładem muzułmanów hinduskich, których tam jest razem przeszło 70 miljonów. Obiecywano im złote góry i Arabię od morza

do może. Ubrylancone maharadże fundowały całe pułki arabskie z wielbłądami i armatami na wielbłądach. Mezopotamja, Syrja, Transjordanja, Liban, Palestyna, Hedżas, Irak, Yemen etc., to wszystko miało stać się jednem wielkiem federacyjnem państwem arabskiem. Oczywiście po wojnie nici z tego wszystkiego. Lawrence mógł sobie obiecywać. żydzi okazali się ważniejsi. Balfour miał brata, który, co to ukrywać, pracował z Mondami (nickel, Melchetty) i duży z tego majątek też uciułał. Przyszła nowa umowa ze syjonistami (Lord Rotschild), no i Arabów (16 miljonów) poprostu odprawiono z kwitkiem, oszukano.

Mądry, wszystkowidzący dynasta z Nedżetu, wszystko to jednak jakoś przewidywał. Nie poszedł przeciw ciemięzcom Turkom i na rękę Anglikom, „wyzwolicielom", no i wygrał. Jego Wahabity nie dawały się wystrzeliwać dla pięknych oczu Gebrüder Weitzmann. To też, gdy się wojna pokończyła, innym arabskim krajom i księciom dużo krwi wyciekło a Abd el Azis Ibn Saud nakolekcjonowawszy zbędnych karabinów i moc demobilu, pięknie uzbroił swoich zbójników i harnasiów i z nomadów Beduinów zrobił całkiem cacane wojsko na angielski fason i manier. Doradcą „prawnym" był mu też Anglik, taki co przeszedł na Islam i też Wahabita: colonel Philby.

Tem to wojskiem pierwszego zaczepił, pogromił i popędził pierwszego niebezpiecznego konkurenta (Telemaka Mentora Lawrence'a), faworyta Anglików, Faisala. Odebrał mu i Mekkę i Medynę i inne śliczności miasteczka: Yambo, Dżidżi i t. p. Angliki zgrzytały zębami, a przepędzonemu Faisalowi ofiarowano pałacyk na Małce czy Krecie, gdzie sobie staruszek mieszka, dogorywa, psiocząc na Anglików, że się za nim nie ujęli, co się wlezie.

Rozszerzywszy tak wspaniałe swe państwo od północy, zaczął jednooki Abd el Azis Ibn Saud obserwować teraz swego sąsiada od południo-zachodu. Był nim także taki góral, stary, chciwy, skąpy przechera i geszefciarz, pan Mokki iman Jemenu, niejaki Zajdź Jahija. Pan Mokki rezydował se w Sanaa (rodzaj Nowego Targu). Z orjentacji i poglądów całkowity liberał, ledwie coś tam do Al Koranu zaglądający, powiedziećby już można „mason"; przytem nieco i cygan i szwindlarz, jakoże dużo ze starozakonnymi obcujący, których w jego Jemenie sztuk 44.000 gatunku bardzo specjalnego i starożytnej sorty. Te to Mojżeszowcy, zgęszczone szczególnie w czerwonomorskich portach (Hodejda) handlowały właśnie mokką, daktylami, figami, tytoniem, baranami, wielbłądami, karabinami (przemycanymi i maszynowymi), a nadto jako żydy czystej krwi także i dziewczynkami, których tu od jedynastolatek w bardzo dobrym gatunku tanio można było nabywać. Władca Jemenu gardził władcą Mekki i Medyny a Abd el Azis Ibn Saud uważał swego sąsiada jemeńskiego za właściwie skończoną świnię i „żydowskiego pachołka", co słusznem jednak nie było, gdyż jemeńscy żydzi nawet bardzo bogaci, traktowani byli i w Sanaa i w Hodejda „unter Hund".

Pech chciał czy raczej Allah, że akurat, kiedy dwaj synowie jednookiego „„lorda of Arabia" już dorastały i już zaczęły się dobierać do papinego haremu, równocześnie w jednym powiecie jemeńskim, w niejakiem Asir, odkryto... naftę... naftusię. żydy czy Angliki (wszystko jedno) odkryły to (wszystko jedno), dość, że się pokazała nafta. Pan Mekki i Medyny wiedział dobrze, co to jest nafta, i podobne smary z benzyną włącznie. Choć Wahabita, ale sam kieruje samochodem, nadto używa ra-

dja, telefonu, telegrafu (Allah tego nie przewidział, więc i nie zakazał). Jest nafta u sąsiadów, chłopcy obaj dorośli, wobec tego muszą się odznaczyć na polu bitwy i chwały. Jeżeli są Wahabity, to są i Waha*bitni*. Szkoda czas marnować.

Dość krótko trwały dywersje, prowokacje, szpiegowska „l'action indirecte" *(intelligence-service)*. Colonel Philby jak mógł, tak doradzał. Król tedy raz w większem towarzystwie powiedział, o imanie Jahiji, że jest, zdaje się, „niepoprawny kajdaniarz". Imanowi doniesiono słowo w słowo. Iman sędziwy poprostu się wściekł. Jakieś żydy nadto ze szmuglem przeszły granice Hedżasu. Powieszono kilka sztuk na suchej palmie daktylowej. Na początku nieco nadgranicznych „szczałów" i wojna gotowa.

Trwała w sumie 45 dni. Wahabity wahabitne maszerowały jak w masło. Zżydziałe liberały lanie brały raz po raz. Obaj królewicze harcowały na wielbłądach, strzelając na prawo i na lewo. Wojska Abd el Azis Ibn Sauda stały już przed samą Sanaą. Groziła rzeź jak się patrzy, pogrom bogatych engrosistów od daktyli i kadzideł i defloracja wszystkich cór mocnej Mokki: „Oddasz Naftusię czy nie oddasz naftusi, stary Sodomito?"

I stary oddał. W traktacie pokojowym między dwoma książęty cały Asir przeszedł do Ibn Sauda. No i pół Jemenu. I pół żydów (22.000). Wspólna dyplomacja i moneta i komenda wojskowa. „Armatki jemeńskie należy złożyć na kupę i oddać".

Jak tam musiał kląć stary spróchniały grzyb (Zajdż iman Jehija), to już jego rzecz. I niech mu wyjdzie na zdrowie. Port Hodejdę mu zostawili tak, że będzie miał którędy wyjeżdżać na angielskim pancerniku... Teraz sobie „lord of Arabia" conieco odpocznie i ze synkami się naradzi. Telegra-

mów gratulacyjnych dostał kilka tysięcy: Bagdad, Beyrouth, Amman, Kair, Damaszek, Istambuł, nawet Teheran, nawet Afganistan, Tunis, Marakesz i Bóg raczy wiedzieć skąd jeszcze. Ze samej Jerozolimy kilkaset.

Rzecz jest powszechnie wiadoma, że Jednookiemu coś się tam teraz nie bardzo podoba w tej.. Transjordanji, gdzie fatalnie pono rządzi „ten hycel Abdullah", brat tego kretyna z Krety (Fajsala).

Również jest rzeczą notorycznie stwierdzoną, że „geheimrat" colonel Philby blednie i zielenieje, gdy przy nim wymieniają takie nazwiska, jak Balfour, Wedgewood, Kenworthy, Sokołow, Weitzmann, Patterson etc....

Wobec tego pod jesień któregoś roku w tamtych stronach naszej planety należy oczekiwać dalszego toku poczynań dzielnego i niełatwo męczącego się Abd el Azis Ibn Sauda. Anglicy i tu nie dotrzymali obietnicy. Ale on dotrzyma i przetrzyma: Istaklal! Ma swego wielbłąda i na nim jedzie. Z wielbłąda przenosi się na auto. A kto cierpliwy, doczeka się jego wjazdu ze synami do różnych bardzo nowych i bardzo starych miast i miasteczek na Północy. Jednooki jest ten Abd el Azis Ibn Saud, lord of Arabia, ale widzi szelma za trzech i niczem się powstrzymać nie da.



KAKAKTUSY

Nadspodziewanie ostatniemi czasy rzuciła się ta, może nie tyle manja, ale w każdym razie mańka, może nie tyle na cały kraj, ile na stolicę dzielnych, może nie tyle Sarmatów ile Sanatów no i Fel--Lachów. W każdym razie poprostu bzik, odmiana obłędu stadowego, psychoza, delikatnie mówiąc: wścieklizna.

Skąd, co i jak, niewiadomo. Dość, że „kwietnice" nastarczyć tego nie mogą. Sprowadzają na wagę całymi wagonami, dwa pociągi tygodniowo od a do zet pełne kakaktusów, a oprócz tego piechotą, furmankami i swojskiego chowu, tudzież we wszystkich ogrodach i oranżerjach masowo.

Tam, gdzie były dawniej księgarnie, potem banki, potem kolektury loteryjne, potem bary, znów banki, a wreszcie sklepy owocowe, tam teraz wszędzie olbrzymie hurtownie i wylęgarnie kakaktusów. Opowiadają poniektórzy, że u Jabłkowskich szóste piętro pójdzie na kakatusiarnię, a niektórzy dodają, że pono cały Herse i pół Fryzego. Dość, że jedyny interes, jaki jeszcze jest w stolicy do zrobienia: natychmiast wielką kakaktusiarnię.

Polaki jeszcze się nie dali całkiem opętać, a wogóle to gołe i nagie jak tureccy święci, nawet kakta niema za co. Ale Sanaci to poprostu szaleją — a właściwie sanatki, które całkowicie potraciły gło-

wy. Całe fortuny i fundusze na to idą, na kolekcje kakaktusowe. Odkąd gruchnęło, że to modne zagranicą, że tam jedna królowa i jedna prezydentowa to zbierają od rana do nocy, i odkąd pierwsza przywiozła do Polski olbrzymią kolekcję prezesowa Oleandrowiczowa, poprostu szał ogarnął poło-wice-dyrektorowe.

Z obu frakcyj „Związku Obrony Kresów Środkowych“ wszystkie panie rzuciły się na kakaktusy z dziką namiętnością. Postrzelecka ma 216 sztuk, Bałaganówna 311 odmian, Jajoworska 210, wojewodzina Mizerakowa 309, bombardjerowa z Oazińskich Adrianowiczowa 326 (trzysta dwadzieścia sześć)... Ale i z drugiej strony czyli frakcji ministrowa Zmoraczerska doszła już do 114 sztuk doniczek, Ciurowiczowa 108, Pętakowska 97, Stiebermaglerowa 201, Feldfeberówna 102.

Oczywiście kakaktus kakaktusowi nie równy. Bywają i pospolitaki, tanie jak kapusta, zwyczajne jak groch przy drodze lub grzyby po deszczu. Takie kakaktusy akurat w sam raz dla Polaków z terenu, dla opozycjonistów, endeków — wogóle dla poddanych czyli wrogów państwa, cywilistów. Niech sobie takie kupują i cieszą się. Nowa arystokracja, nowi panowie, elita, po endecku wierchuszka czyli aparatczyki, kupują oczywiście tylko odmiany i gatunki rzadkie, wyższe, najwyższe, rarytasy, unikaty, całkiem brzydkie, brzydsze, najbrzydsze, najpoczwarniejsze, najpokraczniejsze, najzwyrodnialsze. Ludzie przed wojną kolekcjonowali najpiękniejsze tulipany lub najwytworniejsze storczyki. Ludzie powojenni wydają olbrzymie sumy, żeby dostać: opuncja trychinoza lub scrofulax grandiflora, caverna mexicana, echinokakus splendidus, mansilaria canalensis, pycolaria turbinosa, agawa mendax (boliviensis), guania Bolivari, uri-

nus regius. W Warszawie są już dwa egzemplarze słynnego, a bardzo rzadkiego Excrementus Luciferi i jeden egzemplarz „Euferma Leviatani"; ten ostatni w posiadaniu poślicy Grajcyganierskiej, prezesowej „Ligi Kobiet walczących z gazami domowymi".

Śliczny ten okaz modnego kwiatu składa się z dwóch kul włochatych, z trzema sterczącymi kanciastymi pałami, jedną tarczą owłosioną iglicowo i strzępiastą brodą brudno-siwą, sięgającą do kolan właścicielki. Kaktus poślicy Grajcyganierskiej był już wielokrotnie fotografowany i filmowany, i ma wszelkie szanse wziąć pierwszą nagrodę na Wielkiej Krajowej (Wszechświatowej) Wystawie Kakaktusów w Warszawie w grudniu b. roku. To jest bowiem prawdziwy kak-*tuz*, as kolekcji gwiazdozbioru prezesowej, którego jej zazdroszczą wszystkie damy sanatki.

Pytanie teraz zapewne, skąd się wzięła ta moda na kakaktusy i kaktusy? Kto ją narzucił kilku europejskim miastom i skąd w epoce, w której nastąpiło odkrycie dalji i produkcja oszałamiająco przecudownych pół tysiąca odmian georginji, skąd w tej epoce, w której chryzantemy doszły do rajskiej, do niebiańskiej piękności, nagle przyszła zaraza lubowania się, miłośnictwa najohydniejszej paskudy i szkarady, jaka się lęgnie na ziemskiej, że tak powiem: skorupie.

Odpowiedź? Cytata. Nie bojąc się epitetu warjata *(varietas delectat)*, prosta dokumentaryczna, autentyczna cytata.

Była w Italji niedawno taka wystawa.

Wystawę zwiedzał Benito Mussolini.

Przy jednym z pawilonów cyceronem był p. Ajsensztad. Rzecz prosta, że pawilon wobec tego miał napis: „Palestyna".

Korespondent „Naszego Przeglądu" o tem napisał:

„Przy samym wejściu do Pawilonu wystawiony został, na tle białoniebieskiego sztandaru, kaktus palestyński — symbol jiszuwu, który głęboko — jak kaktus — zapuścił swe korzenie, rozwinąć się jest w stanie nawet, gdyby zabrakło mu wody, a kłuć będzie każdego, kto zbliżyć się doń zamierza z wrogimi zamiarami złamania lub zniszczenia".

Symbol — kaktus.

Zapuszcza korzonki, korzoneczki, nawet gdy zabraknie mu wody. A potem to on kłuje. Kwiat-symbol.

Z którego powodu został narzucony, jako nowa moda starej Europie. Z którego powodu, podczas gdy Sarmaty kochają dalje i georginie — Sanaty masowo i musowo... kakaktusy.

B — B — B
(BOMBAJ, BAGDAD, BEJRUT)

Rząd turecki genjalnego Ghazi wypowiedział formalną wojnę czarnej kawie.

Obywatele za dużo żłopią czarnej kawy. Statystyka wykazała, że na jednego Młodoturka przypada 15 filiżanek dziennie. Co za wiele, to nie zdrowo. Ale wogóle nie potrzeba i obejdzie się. Muzułmanie mają swój tradycyjny narodowy trunek krajowy i tym powinni się zapijać. Jak Niemcy piwo, Francuzi jabłecznik, Paryżanie amerpicon, Sarmaci znów miód (?), Lechici maślacza, Sanaci „czystą z kropelkami“ (krwi endeckiej), a Endecy... maślankę, tak znowuż Turcy winni pić *ayram*, co jest mieszaniną mleka owczego z oślem mlekiem i to zsiadłem mlekiem.

Ayram jest higjeniczny i pożywny. Ayram potęguje zdolności rozrodcze, a więc z punktu państwowego jest konieczny. Ayram był pity przez Mahometa oraz przez wszystkich antenatów i protoplastów.

Czarna kawa przedarła się do Turcji dopiero w r. 1556 i działa wogóle fatalnie. Należy ją uważać jako narkotyk, zaspakajający namiastkowo normalne pędy do oszałamiania się. Płeć piękna zdaje sobie oddawna sprawę z ujemnych konsekwencyj narkotyzowania się przez mężczyzn od-

warem czarnej kawy. Turek, czy wogóle Muzułmanin, także ze Syrji, z Iraku, z Afganistanu, wypijający powyżej 15 filiżanek dziennie jest potem do niczego, raczej na szmelc. Samo skasowanie haremów i skazanie na wymarcie eunuchów (kapłonów) jeszcze nie rozwiązuje kwestji spornej między płciami. *Sex-appeal* nadal jest poszkodowany w krajach półksiężyca. Dopiero położenie kresu żłopaniu czarnej kawy, położy kres także i tym niezdrowym, nienormalnym stosunkom. Zmarły niedawno stupięćdziesięcioletni Turek nigdy nie pijał kawy, a zawsze *ayram*.

I oto cała prasa turecka (a za nią także iracka, syryjska, afgańska) przeprowadza teraz energiczną kampanję za mlekiem, a przeciw czarnej kawie. Zawzięli się. Swój do swego po swoje. Kilo kawy kosztuje półtora funta. Moc forsy wydają na to obywatele, żeby tracić forsę nieodzowną ze względów obrony państwa i mnożenia liczby obrońców jakich kraj i ojczyzna potrzebują. Musi się stworzyć własny przemysł od *a* do *zet*. A (armaty) jeszcze się sprowadza, ale dla M (masek gazowych) już powstała wielka fabryka w Ankarze, dawniej zwanej Angorą. Cieśniny Dardanelskie też należałoby ufortyfikować wbrew głupiemu Traktatowi Lozańskiemu, a w każdym razie powybudować od strony Azji do cieśnin linje strategiczne (autostrady), żeby ciężka artylerja lekko dostała się nad wybrzeże, gdyby naprzykład... Italianie wpadli na pomysł złożenia tu niespodziewanej wizyty...

Na to całe przysposobienie militarne muszą się znaleźć wielkie fundusze. A tymczasem obywatele wszystko puszczają na tę przeklętą czarną kawę, którą się narkotyzują i która z nich robi półeunuchów...

Wobec tego Ghazi wypowiedział zdecydowaną

wojnę domową Czarnej Kawie. Ze wszystkimi dokoła jest w zgodzie i pozawierał pakty. Z Mohamedem Zahir Khanem (Afganistan) jest w przyjaźni. Rezach Reza Pehlevi był z wizytą, a teraz w październiku Ghazi go rewizytuje w Teheranie. Irak też wciągną i na złość Brytanom zrobią czwórporozumienie, ale zachodnio-azjatyckie.

Natomiast z Czarną Kawą wszelkie pakty będą zerwane. Nawet Sowiety sobie ugłaskał Mustapha Kemal Pasza i ma obiecaną wizytę Gruzina w Ankarze.. Ale do tego czasu z kawą i jej nadmierną konsumcją musi być zrobiony porządek.

Kto na tem ucierpi i kto na tem też traci, o tem się dowiadujemy z telegramów, oczywiście nie „Pata", ale rzecz prosta, że „żata".

Cały bowiem handel kawy był tak w Turcji, jak i dla krajów sąsiadujących w rękach wyłącznie jednych i tych samych. I nie z Arabji sprowadzali tę kawę, jak dawniej i nie *Arabom (wrogom)* dawali zarobić, ale wyłącznie i jedynie... *Brazylji*. No, a jak kawą, tak oczywiście handlowali i wszystkiem. Turek w handlu wogóle nie bardzo tęgi i obrotny. Zastępowali go inni. Greków Turek przepędził, Ormian powyrzynał, został ten trzeci.

Z tym trzecim zaczęło się w lipcu roku 1933 w Tracji (w Kirkilisie), potem już przeszło na inne miasteczka i osiedla, porty i skupiny, no, a jak się zaczęło, tak i trwa dalej, mimo że ministry w Ankarze jeden po drugim zaklinają się w wywiadach prasie, że żydów okropnie kochają, że ekscesy będą ukrócone i że winni zostaną powieszeni i zatopieni, a ofiarom „włos z głowy" i t. p....

W praktyce atoli nietylko „włos z głowy", ale dużo głów Nababów i Krezusów poszło, a bogatych domów z dymem też poszło do tysiąca w myśl przy-

słowia o „malepartach". A żat w telegramach informuje:

„Stambuł (żat). W publicznem oświadczeniu minister spraw wewnętrznych Szukri Kaja-bey zaznaczył, że w okresie miesięcy lipiec i sierpień władze wydały 1800 żydom paszporty zagraniczne na wyjazd z Turcji.

Stambuł (żat). Władze rządowe w Izmir skonfiskowały przeszło sto domów, należących do żydów, obywateli greckich, których ostatnio wysiedlono z Turcji na podstawie ustawy, zakazującej cudzoziemcom trudnienia się rzemiosłem w Turcji. Narazie brak jakiegokolwiek uzasadnienia tej konfiskaty. Niewiadomo też jeszcze, czy właściciele skonfiskowanych nieruchomości otrzymają odszkodowanie.

Stambuł (żat). Szkoły tureckie w Adrjanopolu odmówiły przyjęcia uczniów żydowskich. Ponieważ jedyna szkoła żydowska jest w tym roku nieczynna, więc dzieci żydowskie w Adrjanopolu nie mają możności kształcenia się. Naogół sytuacja żydów w Adrjanopolu jest bardzo ciężka. Wskutek bojkotu antyżydowskiego wiele rodzin żydowskich opuszcza Adrjanopol i przesiedla się do Stambułu".

Całkiem tedy, jak w tej barbarzyńskiej Hitlerji! Niema tych przeklętych Nazich, a te Osmany całkiem jak Braune Bestien. że zaś zły przykład zawsze prędko innych zaraża, więc się ten *antykapitalizm* przerzucił i na sąsiadów, na ten Irak nieszczęsny, gdzie dotychczas było spokojnie, „kulturalnie", jak u Pana Boga za piecem, a teraz! pożal się Boże? „żat" informuje:

„Manchester Guardian" donosi z Iraku, że wzmogły się tam ostatnio nastroje antyżydowskie i antysjonistyczne. Rząd Iraku wydał za-

kaz sprzedaży pism i książek żydowskich z całego świata. Częstokroć konfiskowane są w Iraku również nieżydowskie pisma z Anglji i Ameryki, jeśli zawierają artykuły prożydowskie. Nawet księgi religijne, adresowane do naczelnego rabinatu w Bagdadzie, władze konfiskują.

Londyn, (żat). Podług wiadomości, które nadeszły z Iraku, kurs antyżydowski przybiera tam coraz ostrzejsze formy. 20 żydowskich urzędników Ministerstwa Przemysłu i Komunikacji, wśród których kilku było od 15 lat czynnych na służbie państwowej, nagle usunięto z stanowisk. Również drobna liczba pozostałych żydowskich urzędników znosić musi wciąż szykany. Interwencje u rządu Iraku oraz starania o przywrócenie debitu pismom żydowskim pozostały bez skutku".

Z Afganistanu, ze Syrji i z Beyrouthu, i z Bagdadu też nowalje niezbyt miłe...

Wyjawił nam to telegram Pata z 28 lutego 1933 r., który brzmiał:

„Agencja Havasa donosi z Bombaju, że tamtejsi lekarze postanowili zaprotestować przeciwko wykonywaniu praktyki lekarskiej w Indjach przez lekarzy żydów, którzy wyemigrowali z Niemiec. Protest ten wywołany został dużym napływem lekarzy żydów do Bombaju, dokąd w samych tylko ostatnich 2 tygodniach przybyło ich 40-tu".

Jeżeli tak twierdzi agencja Havasa, to jej trzeba wierzyć, ale przypomnieć też sobie, że nie taka to znów niespodzianka, skoro już z końcem grudnia agencja Orjent informowała:

„Donoszą z Bombaju, że ostatnie zaburzenia arabskie w Palestynie wywołały wielkie poruszenie wśród Muzułman Indji, którzy żywo

interesują się już od lat walką Arabów palestyńskich ze sjonizmem. Z inicjatywy Muzułman indyjskich zwołano już w końcu 1931 r. kongres wszechmuzułmański w Jerozolimie. Muzułmanie indyjscy zebrali również dosyć znaczną sumę na założenie uniwersytetu islamskiego w Jerozolimie".

W tymże samym Bombaju Liga Muzułmańska Indyj uchwaliła na walnem zgromadzeniu rezolucję przeciwko imigracji współplemieńców (Semitów) tak do Palestyny, jak wogóle do jakiegokolwiek kraju, zamieszkałego przez Muzułmanów.

Tego rodzaju rezolucje działają oczywiście zaraźliwie na okolice bliższe i dalsze. To też nie można się dziwić, że i w... Bagdadzie ruszyło się conieco i miały miejsce nieprzyjemne afery, całkiem w stylu, powiedzmy sobie, europejskim. Nie tak to nawet dawno, jak zgodnie i Żat i Patachon donosili z tych stron, powiedzmy sobie, nad Eufratem (nad wodami Babilonu), nowalje wcale niemiłe:

„Z Bagdadu donoszą o demonstracjach antyżydowskich, jakie miały ostatnio miejsce. W miejscowości Adhamija, w pobliżu Bagdadu, tłum Arabów, złożony z 200 ludzi, niosąc transparenty z napisami antyżydowskiemi, ruszył ulicami, bijąc napotykanych po drodze żydów. W Bagdadzie raniono nożem jednego przechodnia żyda. Policja, która początkowo zachowywała się biernie, aresztowała kilku podżegaczy".

Czy na tem przynajmniej poprzestali tamtejsi podżegacze, tem bezwstydniejsi przecież, że to na swoich rodzonych, rasowo rodzonych? Czy się opamiętali w końcu i zaprzestali szpetnej akcji, widząc jak szkodzą sobie w opinji „wszechświatowej", no i jakie finansowo straty ponoszą? Gdzie tam!

Co tu rozsądnie gadać z takimi Irakami „barbarzyńcami“, co tu ich przekonywać, że kraj jest duży, wszyscy się zmieszczą, 7 ludzi na km. piasku, a przecież jest nafta w Pipeline (naftociąg się buduje), kolej także ze Stambułu do Bagdadu i wszyscy sobie przytem zarobić będą mogli. Kilka tygodni było jakiegotakiego spokoju, ale cóż, awantury palestyńskie podziałały i tu podrażniająco, omal rewolucyjnie i w jako tako spokojnym Bagdadzie nagle ordynarna nagonka, demonstracje (swój do swego po swoje) i tak samo z końcem lutego taka depesza i żata i Pata:

„„Z Bagdadu donoszą o masowej redukcji żydowskich urzędników państwowych z powodu rzekomo zbyt ich wielkiej liczby. Interwencja w tej sprawie ambasadora brytyjskiego pozostała bez rezultatu“.

No a jak „interwencja bez rezultatu“, no to znów sobie będą autochto-barbarzyńcy pozwalali i na ekscesy i na eksmisje. Nawet wobec Anglji nie mają już respektu. Ładne czasy nastały! „Powrót do średniowiecza!“ „Chamstwo, małomieszczaństwo“.

Z Bagdadu do Beyrouthu aeroplanem kilka godzin, a jest nawet połączenie nocne (!). Cóż to za rozkosz być musi lecieć tak nad piaskami, nad palmami, nad nowiutkiemi torami kolejowemi (szyny błyszczą przy księżycu).

Widocznie atoli zbyt często i zbyt licznie nawigacji powietrznej używają obrzydliwe agitatory arabistańskie i „przekupione przez Hitlera“ Beduiny, czy obwiefe-lachy, skoro i w Syrji nastroje bardzo niegościnne. Coś nawet zaczynają przebąkiwać, że dość już mają francuskiego mandatu, że Syrja dla Syryjczyków, a marchandy i krupiery

precz! Także im się niepodległości zachciało ni stąd, ni zowąd!

Duże kłopoty zaczyna mieć z nimi francuski wysoki komisarz w Beyroucie! Ażeby zaś jeszcze podrażnić nastroje u ludności, obrzydliwe bo żydożercze pisemko (świstek!) arabskie w Beyroucie (wedle żata) puszcza taką kaczkę:

„Tutejszy dziennik „Al Achwal" notuje pogłoskę w sprawie wznowienia rokowań o udostępnienie terenów syryjskich dla kolonizacji żydowskiej. Francuska władza mandatowa jest rzekomo gotowa udzielić zezwolenia na osiedlenie się 50.000 żydów w Syrji pod warunkiem, że każdy imigrant wykaże się posiadaniem kapitału w wysokości 10 tysięcy funtów syryjskich (około 200 f. szt. ang.)".

Można sobie teraz wyobrazić, jak podobna rewelacyjka o kolonizowaniu Syrji przez 50.000 dwieście-funtowych imigrantów podziała na takich łatwo skłonnych do awantur mieszkańców Aleppo lub choćby górali z Libanu... tembardziej, że mandatowe władze francuskie zaryzykowały wydalenie z kraju bohatera narodowego (herszta faszystów), Akrama Sneitera, a prezesom „Ligi Akcji Narodowej" Abdel Rasakowi oraz doktorowi Rushby al Jabi przesłały ostrzeżenie...

Nie jest na *B* Damaszek, ale w Damaszku też nie jest dobrze. Czytamy żata — telegramy:

„Al Dzamia-Al-Islamia" donosi z Damaszku, iż grupa młodzieży arabskiej wtargnęła do lokalu żydowskiego klubu robotniczego i zdemolowała urządzenie. Powodem napadu miało być rzekome uprawianie przez członków tego klubu propagandy sjonistycznej".

Równocześnie via Londyn wiadomości dalsze:

„Z Damaszku donoszą o manifestacjach

na znak protestu przeciwko rozruchom w Palestynie. Podczas demonstracji tłum Arabów zaatakował policję, która była zmuszona do szarżowania i użycia broni. Jedna osoba została zabita, a szereg rannych. Aresztowano 35 przywódców manifestacji".

Nie jest tedy tak idyllicznie na Wschodzie. A zapowiada się znacznie gorzej i jeszcze burzliwiej.

Orjent też „się budzi", jak to teraz mówią...

I wnet może znów się dla pacyfikacji posypią bomby na Bombaj, na Bagdad, na Bejrut, na Damaszek. Chwilowo może uspokojone wzburzone namiętności. Ale nie na długo!!...

W każdym jednak razie używanie teraz przymiotników „wschodni", orjentalny, przy rzeczownikach: mord, mordy, morda jest już nieaktualne i nietaktowne. Może wnet będzie się mówiło znowu: lux ex Oriente?...

NIE PALESTYNA A BIRO-BIDŻAN

Czerwiec, 1934.

MOTTO:

Jest źle. Gniew serca ściska, ciężki smutek gnębi i dławi. Fakt, że u nas jest gorzej, niż gdzieindziej, jest tylko jednym ze szczegółów, które dla nas czynią sytuację ogólną i tak nieznośną... jeszcze nieznośniejszą. Źle jest jednak jeszcze na wielu innych punktach w naszej, starej i spodlonej do szpiku kości Europie.

Rabbi dr. Ozjasz Thon.

Naszej, starej, *spodlonej* do szpiku kości Europie...

Tak to narzekał, biadolił, jeremiaszył krakowski katotonik i to w roku 1932, jeszcze kiedy przecież nie było w naszej Europie „naszym“ tak źle, kiedy jeszcze dzięki Genewie byli u szczytów supremacji i dominacji a o Niemcach stale pisali z respektem i z kultem, a niekiedy nawet z tkliwością i czułością.

Od tego czasu coprawda dużo się pozmieniało i to nietylko w „naszej starej spodlonej Europie“, ale wogóle na całej kuli ziemskiej, na każdym punkcie globu, gdzie tylko, kiedykolwiek tylko osiadła większa skupina, czy kolonja wiadomo kogo... To też i nie dziwota, że teraz nagle, raptow-

nie, ni stąd ni zowąd, tyle się znów i mówi i pisze, aż o... Biro-Bidżańsku. Nawet duży harmider wszczął się koło tego Biro-Bidżańska. Ano nic w tem dziwnego. Kraina jest bardzo, bardzo daleka, stąd od nas 22 dni kolejką, kilkanaście tysięcy kilometrów, za górami, za lasami, za rzekami, za puszczami, na skraju Syberyjskim, oddalona daleko do naszej starej, spodlonej Europy... No to tam może spokój będzie? Arabów niema, Niemców także, w koszulach kolorowych ludzie nie chodzą, boby się może przeziębili... Tedy tam nam jechać i tam się przesiedlać !

Dotychczas można było jeszcze śpiewać fortissime jedną arję z „Mignon" (Thomasa), zaczynającą się od słów: „Znasz ten kraj, ziemski raj... tam, gdzie cytryna dojrzewa, pomarańcz blask i słońca brzask... majowe złoci drzewa..." Teraz już trzebaby śpiewać to znacznie ciszej i cieniej. Pomarańcze i cytryny dojrzewają nadal, ale dojrzewa również bunt arabski i jednocześnie zniecierpliwienie i twarda pasja Albionu, tracącego resztki zimnej flegmy i opanowania. Palestynę przegrywają. Wraca tedy moda na terytorjalizm: Uganda, Angola, Brazylja, Ekwador, Australja, Kongo, no i wreszcie Ziemia Obiecana nad rzekami Bira i Bidżanem.

Duże to nie jest, ot takie, jak Portugalja, liczy sobie 70.000 km. kwadratowych. Najbliższa wielka rzeka Amur (l'amour), najbliższe wielkie miasto Chabarowsk. Wysiada się z kolei na stacji Kimkan (kimm Kohn?), albo na stacji Bira, albo na stacyjce Tichonkaja, skąd już prosto przed siebie, gdzie kto woli, na prawo lub na lewo, byle się nie pchać (i nie wrzeszczeć!). Jak tam zaś wogóle jest i co jest, to jeszcze niewiadomo i trudno się rozeznać. Wszyscy bowiem we wszystkiem przesadzają

i egzaltują i pejsymiści i oby-tymiści. Jedna broszura o tej ziemi Chanaan jest czarna jak Schwarc (Izydor), a druga broszura jest różowa jak Róża (Schwarc). A prawda, to też tym razem nie leży w pośrodku. Niewiadomo komu wierzyć, bo właściwie wszyscy cyganią. Ci, co chwalą, to zachwalają tak, jak zachwala znany w Warszawie *schadchen* małżeński Landstejn, który skojarzył w stolicy Polski już pono 34.000 (tysiące) par oblubieńców umiejętnem przechwalaniem obojga partnerów.

Schadchen Landstejn powiedziałby tedy: ryby i grzyby, karpie jak wieloryby (rzeka Ussuri blisko), zwierzyna wszelaka, dziczy i dziczyny sporo (Tunguzy i Jakuty). W górach: miedź, złoto, srebro, żywe srebro, grafit, cynk, cyna, cynamon, imbir, mangan, żelazo, węgiel brunatny w złożach i w wagonach już naładowany. Warzywa wszędzie i to po sam pas. Nadto kukurydza, a trafiają się i ananasy (bliżej Chabarowska, czy Haber-owska?). Winogrona wielkości orzechów włoskich i laskowskich. Platyny można dostać w niektórych kopalniach i w sklepach. Pszczół w bród i innych insektów też co niemiara. Klimat umiarkowany i obfity, opady częste i gęste, gradów nigdy i nigdzie, trzęsienie ziemi raz na rok, ale krótko, i w nocy, tak że odczuć się nie daje. Schadchen Landstejn wogóle jak o swoich pannach, tak i o tej ziemi Chanaan mówiłby tylko w samych superlatywach, ale dodałby na końcu, jak zwykle: Panna Regina ma tylko jeden feler! una ciężko rodzi...

To samo o ziemi Biro-Bidżańskiej rozpowiadają też różni pejsymiści, a szczególnie konkurencyjna firma Sokołow i Weitzman „Brothers Company Limited". Również sceptycznie odnosi się do tego odkrycia i wynalazku p. Otmar-Berson, korespon-

dent „Gazety Polskiej“. Mr. Eichhorn w „Hajncie“ przezywa to „operetką“. Inni wrogowie Chanaan nad l'Amourem uważają to za puszczę, za lasy i do tego nawet nie dziewicze, ale zwyczajne, zapuszczone, zaniedbane, bez ścieżek, wilgotne i pełne wężów jadowitych, jak obwiepolaki. Inni twierdzą, że l'Amour jak drugi Nil, co jakiś czas, co chwilę wylewa i zalewa wszystko błotem, mułem, namułem i nawozem. Inni zaprzeczają, żeby tam była platyna i złoto w sztabach, lub pojedyńczo, t. j. w piasku. Jeszcze inni mówią nieprzyjemne anegdoty o tubylcach czyli Autochtonach (są tam i tacy). Inni nawet straszą... Japończykami i wogóle mongołami, albo, że za blisko przyszłego terenu... wojny. Albo, że wogóle za daleko, skoro się dojeżdża aż w dób dwadzieścia dwie...

Wszystko to atoli są argumenty syjońskiej konkurencji, zaczem wyssane z palca, jak wiadomo, nie bardzo czystego.

Inaczej natomiast mówi nowy miesięcznik warszawski: Iberboy (sic!): „Yberboy“. Inaczej redaktor Perelman, zaproszony przez moskiewski „Ozet“ do zwiedzenia, żeby na własnej skórze się przekonał. Inaczej zmarły w Chicago miljoner Rosenwald, który już w r. 1928 zapisał 5 milj. dol. na kolonizację Krymu, byle tylko inni też dali na Birobidżan. Inaczej sam Feliks M. Wahrburg, który w Londynie stanął na czele komitetu protektorów B. B. Inaczej szef moskiewskiego „Ozetu“ p. Dimanstein... Inaczej zebrani w nowojorskim Madison-Square-Garden w liczbie 15.000 członków Tow. „Ikor“, entuzjaści Nadamuru. Inaczej sam prezes W.C.I.K.A. Michał Kalinin, który dnia 6-tego czerwca wygłosił do wielkiej delegacji żydowskich robotników i dziennikarzy przemówienie z wróżbą, że za lat dziesięć świeżo nadane żydom

terytorjum autonomiczne stanie się rezerwuarem kultury narodowej, komunistycznej w treści a żydowskiej „co do formy". Inaczej wreszcie sam lord Morley (recte Dudley Amman), który w roku 1931 osobiście był w Biro-Bidżanie i mógł się własnoręcznie przekonać o wspaniałym postępie i rozwoju dotychczasowej kolonizacji i penetracji żydowskiej. Ci wszyscy i wielu jeszcze innych podnoszą wciąż przedewszystkiem, że ziemia tamże żyźniejsza jak na Krymie (Z. Wendral w „Haincie", z marca r. 1928), a tej ziemi jest 2 i pół miljona hektarów, że dalej jest tam już 50 kołhozów, w czem sześć żydowskich; że dalej można uprawiać i hodować... buraki ,chmiel, ryż, tytoń, drzewo morwowe... Narazie obszar zasiewów wynosi 28.200 hektarów ziemi. Istnieją już trzy stacje traktorowe. W Bidżańsku pobudowano warsztaty kolejowe, elektrownię, hotel, 14 szpitali (aż czternaście?), 16 ambulatorjów, 10 szkół, tartaki, kina, cegielnie, szkoły, piece wapienne, drugi hotel. Szefem „Komzetu", a więc rodzajem wojewody Biro-Bidżanu jest Borys Trocki! (dobre nazwisko!)

Od połowy maja zainstalował się już pono żargonowy teatr z 25 artystami i artystkami, orkiestrą i reżyserem, tym razem Rubinsteinem.

Organizuje się i formuje odrębna, własna, przyboczna „armja obszaru autonomicznego", która będzie liczyła pod jesień 7.000 wojaków (z żargonową komendą!), nad czem naczelne dowództwo obejmie generałlejtnant, tym razem Rapaport. W najbliższej przyszłości już obiecany przyjazd kilku komisyj, wydelegowanych z różnych miast różnych krajów dla zbadania dokładniejszego warunków i możliwości osiedleńczych i gospodarczych.

Pytanie teraz oczywiście nastręcza się, w jakiej

mierze ten cały harmider może obchodzić nas i w jakich rozmiarach może ulżyć naszym cierpieniom i dolegliwościom wewnętrznym, czyli inaczej, jak zawsze, „czy nasz kancer jest uleczalny"?

I oto w tym momencie choryzont co nieco się zaciemnia. Kolega I. Fojgeł alias Neiman pisał nie tak dawno w „Hajncie":

> „Nikt nie będzie podejrzewał Rosji sowieckiej o judofobję, ale w stosunku do żydów polskich istnieje nadal zakaz — „oprócz żydów". Mały przykład: polscy dziennikarze jeżdżą swobodnie grupami i w pojedynkę do Rosji sow. Grupa żargonowych dziennikarzy z Polski zwróciła się o wycieczkę do Rosji sowieckiej, nadeszła odmowa. Niepożądani. Bez żadnych motywów".

Niestety: tak. Naszych Kachanów, Kaganów i Kaganowiczów Kaganowicze z Kremla nie wpuszczają. Za żadne skarby i pod żadnym pozorem. Cacy, cacy, ale jak przyjdzie co do czego: paszoł won! I doszły te tam kremlińskie, jakby to powiedzieć, chyba huligany, do takiej zapamiętałości, że z „emigracji" niemieckiej, z Ostjudów nie wpuściły do siebie ani jednego! Dmitrowowi, Bułgarowi to owacje wyczyniali, ale dla „męczenników z Niemiec" mieli wszystkie rogatki zamknięte! Chyba jednak teraz, gdy się takie komitety pro-Bidżańskie potworzyły w Londynie, w Nowym Jorku, w Moszkopolis nad wiślicką Wisłą, no to chyba zaczną wpuszczać i przepuszczać? Chyba teraz skasują te jakieś „ordery" (pobytkarty) nieco na wzór angielskich certyfikatów zrobione i przypływ przesiedleńców ograniczające? Chyba teraz po mowie prezesa Kalinina i po tych wszystkich obietnicach, przyrzeczeniach, zachętach, namowach, będzie już wolno i *naszym najserdecz-*

niejszym w grupach, a potem w masach wyjeżdżać do Ziemi Birobidżańskiej, już wnet mlekiem i miodem płynącej?

...Uwidim, skazał ślepoj... (przysłowie wileńskie). Kann schon sein (mówią w Poznaniu). Może to jakoś „uzgadnią“, gdy się zjadą papa Sokołow z onclem Litwinowem. I może nawet zobaczymy na nowym centralnym dworcu naszej metropolji taki pociąg do Wschodu (Drang nach Osten), z takimi wagonami, na których będą tablice kilkojęzyczne: Warszawa — Bidżańsk. ...I takich pociągów (pośpiesznych!) może będzie odchodziło tygodniowo siedem, a może osiem??

A wtedy po obopólnem zadowoleniu będzie chodziło już tylko o jedno, o małe jedno, to znaczy: żeby się nie powtórzyło przypadkiem to, co zaszło w roku 1929...

W tym to bowiem roku właśnie do tego Bidżańska wyjechało zaagitowanych pięćset sztuk dzielnych pionierów, rwących się do roli „na glebę“ młodzieńców, odważnych machońboyów, kolumbusów można powiedzieć, względnie dżak-londonów.

W kilka miesięcy wróciło stricte 480 z powodu: nostalgia, moskity; nie było co jeść, nie było na czem spać, z czem i pod czem; Tunguzy też ordynarny gatunek mongoyów...

Dwudziestu młodzieńców jeszcze przedtem zwiało do Chabarowska...

*

* *

To jest stąd bardzo daleko. Lepiej wziąć do ręki mapę i to nawet Azji i w tej Azji najdalszy Wschód już na linji Sachalinu, daleko za Błagowieszczeńskiem, blisko Chabarowska, nad rzeką Amurem, tam, gdzie do niej wpływa Sungari, ale

jeszcze nieco dalej. Wogóle Syberja deserta, ale okolice bardzo ciekawe i przyszłościowe, bo to niby kończą się Sowiety, a zaczyna Japonja, u spodu na południe Mandżu-Kuo, nie tak znowu daleko Charbin czy Harbin, no i stolica olbrzymiego nowego państwa.

Kto z tym projektem pierwszy wystąpił, to nie wiadomo, bo jeden zwala na drugiego. A jednak, zdaje się, że inżynier Samuel Weitzman, brat wielkiego chemika dr. Chaima Weitzmana, który wielkie zasługi położył dla Anglji przez swoje gazy trujące przeciw gazom niemieckim nieboszczyka prof. Fritza Habera. Zdaje się, że chodziło o drugie okno Izraela na Chiny, drugą bramę wypadową. Pierwszą był Harbin czy Charbin.

Sześć lat temu, ni stąd ni zowąd, nagle po republice radzieckiej nowy „łosung" żydowskiego zagadnienia: Bir-Bidżan! Bir-Bidżan! Opisywali omal, jak ziemię Chanaan.

Rekord w łgarstwach: „powieściopisarz" Bergelsohn. Ziemia urodzajna, w rzekach ryby olbrzymie, na drzewach owoce, w ziemi olbrzymie złoża węglowe, jaskinie z azbestem, kopalnie manganu, żyły złota po lasach, srebro w jeziorach, całe góry miedzi, platyna też może być! Czego dusza zapragnie, byle jechać! byle jechać! To było jeszcze przed erą Kaganowiczów i Kalmanowiczów. Sam „Soso" Stalin jewrejów wtedy nie znosił i wcale się z tem nie ukrywał.

I zaczęły się w tamte strony pociągi, nawet z napisami w żargonie (sic!): Moskwa — Błagowieszczeńsk — Chabarowsk — Władywostok...

Tak było: 1925, 1926, 1927, 1928...

Powoli atoli zaczęły przenikać także informacje nieco sceptyczniejsze... Tak dobrze znowu nie jest. Najpierw niema co jeść. Potem poprostu głód i nę-

dza. Żadnego srebra ani złota, ani węgla, ledwie drzewny na opał. Kura za 16 rubli. Szpitala też niema, a od tajg syberyjskich idą febry i malarje. Są kołchozy, są sowchozy, ale ani o przemyśle żadnym, ani o handlu niema mowy, a dla imigrantów i wśród tubylców i wśród ruskich nastroje uczuciowe wcale nie entuzjastyczne. I mordownie czyli mordobicia na porządku dziennym, a bywa, że na grupę przesiedleńców, co trochę dalej się zapuścili „w pustynię i w puszczę“ napadają dzikie zbóje i bandyty lokalne i z resztek ocalałej gotówki rabują.

Przeciw nieco przesadnym, a raczej niepoczytalnie bezczelnym blagom powieściopisarza Bergelsona stanęli wrogo kolejno różni inni: Diamanstein (z Kom-zetu), kamerad Edelman, dziennikarz (światowej sławy) Harry Lang, a czwarty M. Alberton czy Aberton, no to on już całą książkę napisał i wydał w Wiedniu (E. Prager), gdzie zerżnął ten cały bluff sowiecki do białej nitki, aż strzępy poszły.

W r. 1928 pisał do „Hajnta“ (nr. 191.14.VIII) korespondent z... Tientsinu (b. daleki Wschód):

> „Przed Dalekim Wschodem wogóle — stoi duża przyszłość... A kto może powiedzieć, jaki kierunek poweźmie przesiedlenie żydowskie i jaki udział mogą wziąć żydzi wogóle w uprzemysłowieniu Dalekiego Wschodu?... Dałby Bóg, abyśmy byli tylko tak pewni pomyślnego wyniku tego drugiego przedsięwzięcia, jak jesteśmy pewni republiki czy autonomji, gdy okolica będzie zajęta przez żydów...“

Obecnie ani o „Autonomicznej Republice Żydowskiej“ (która miała być ogłoszona w r. 1934, gdy cyfra przesiedleńców przekroczy 50.000) mowy już niema. Z osiemnastu tysięcy przywędrowa-

nych poszukiwaczy złota, srebra, platyny, manganu, azbestu i t. p. pozostało na miejscu 7.800, z końcem roku 1933 już tylko 6.800.

Po nocach już nikt nie śpi, nie może zasnąć tak w Birbidżanie, jak w Chabarowsku, Błagowieszczeńsku, Cicikarze, Mukdenie, Władywostoku, w Dajrem, Cintao, Szanghaju i t. p. we wszystkich tych mrowiskach po obu stronach każdej granicy. Na falach eteru krzyżują się i zagłuszają wzajemnie audycje w językach angielskim, chińskim, japońskim; walczy Chabarowska rozgłośnia z Szanghajską, a zwyciężają... japońskie, których siedem...

Nocami przez dworce i stacje kolejowe o przyciemnionem świetle idą z Zachodu pociągi za pociągami, przeładowane uzbrojonymi ludźmi i olbrzymami armatnimi... Nad Birbidżanem raz po raz pojawiają się w nocnych lotach małe samolotki japońskie...

Zacznie się czy się nie zacznie? Margulies mówi, że: tak. Menkes twierdzi, że dopiero z końcem marca, Mendelbaum, że jeszcze będzie odłożone. Wszyscy atoli zgadzają się z tem, że w Biro-Bidżanie niema co robić, że trzeba się pakować i zurück. „Do Europy wszystkie pociągi wracają puste, wezmą nas z pocałowaniem ręki“... Trzeba spróbować może na Krym?

A gdy będzie i tam niedobrze, to zawsze pozostaje ten kraj, który przez dziesięć lat traktowali jako pogromowy, endecki, klerykalny Saisonstaat i Mandelbaum i Margulies i Menkes i Aberton i Lang, i Edelman, a nawet i M. Bergelsohn, jak wiadomo „powieściopisarz światowej sławy“...

*

* *

Aż do ostatnich czasów czuła się bardzo szczęśliwą pani Alperowicz. Duma ją wprost rozsadzała. Zdawało jej się czasami (i miejscami), że jest przewcieleniem biblijnej królowej Saby. Bądź co-bądź rej już wiodła i gubernowała nad terytorjum, które jest większe od Belgji i Holandji razem, bo obszar przeszło 38,626 kilometrów kwadratowych. Królowa Wilhelmina ma znacznie, znacznie mniej.

Wybrali ją do Rajspołkomu Biro-Bidżańskiego jednogłośnie wraz z Feinbergiem, Gurewiczem, M. Hellerem i jeszcze kilkoma pionierami-udarnikami. Wybór zatwierdził szef Komzetu w Chabarowsku i szef G. P. U. w Chabarowsku. W ten sposób powstał „Tymczasowy Rząd" pierwszej republiki żydowskiej na globie ziemskim. Na razie ma to tytuł „obłasti awtonomicznej", ale jest zdecydowaną i nieodwołalną wolą Mędrców Kremla, aby z tej jaczejki terytorjalnej wyłoniła się samodzielna republika, należąca do Związku Radzieckiego jako 150-ta, czy 160-ta z rzędu. Na razie ta republika jest jeszcze re-bubliczką. Ale szanse rozwojowe posiada nieprawdopodobnie olbrzymie. Leży już „na kresach lasów" tuż, tuż przy... Korei i przy... cesarstwie Wschodzącego Słońca. Przez sam jej środek na przestrzeni 450 km. przepływa rzeka „L'amour" (Miłość). Do Władywostoku bardzo blisko, bo... 24 godzin jazdy expressem, do Europy trochę dalej, bo 22 pełnych dób, a w zimie z powodu zasp śnieżnych często gdzieś w drodze cały pociąg staje i ani rusz dalej. Cieszą się z takich zasp Japoncy, ale dla pasażerów to nie bardzo „ujutno". Ale to jednak fraszki i drobnostki. Bądź co bądź zawsze dojedzie.

A ta ziemia obiecana naprawdę mlekiem i miodem płynąca wszerz i wzdłuż. Jest nad czem panować i rządzić, myśli sobie po nocach pani Amelja

Alperowicz. Nie będziemy tu jeszcze raz powtarzać, że i żyły złota i srebra arterje i grafit i węgiel. Przypomnimy tylko bogactwa leśne, lasy, pampasy, puszcze, knieje, zagajniki, cedry. libany, dęby, cisy modrzewiowe i zwyczajne (wysokie cis). A w tem wszystkiem zwierzostan najwspanialszy w świecie, bo to i tygrysy centkowane i niedźwiedzie, rodzina Sarnów i rodzina Kunów, lampartów w bród, wilki, rysie, żbiki, lisy żółte i białe i niebieskie; dla przemysłu i handlu futrzanego perspektywy wprost nieprawdopodobne.

Jest tu nad czem panować i rządzić, myśli sobie po nocach pani Amelja Alperowicz (née Halpern?). Jeżeli tedy chodzi i idzie o terytorjum, to wybrali dla synów Izraela, można powiedzieć Izraelitów, coś można powiedzieć najfajniejszego, najbogatszego, najrentowniejszego. Byliby już niemożliwe kapcany te żydy (myśli sobie pani Alperowicz), gdyby z tego złotego jabłka nie zrobili coś w guście „Eldorado“ lub New-Yorku. Komintern miał wprost genjalną ideę tu właśnie nad l'Amourem, Birą, Bidżanem, Tunguską i Sungari... uplasować pierwszą Republikę żydowską tak blisko tych przemiłych a tak... okropnie... nieszczęśliwych Koreańczyków, „ugniatanych butami cesarskich japońskich generałów“. Bardzo szybko się rozwinie nowa republika pod berłem towarzyszki Alperowicz i jej kompanów. Już jest cały szereg kolonij większych i mniejszych, pięknie z niemiecka (a jidysz land!) nazwanych: Waldheim (sic!), Birefeld (sic!), Stalinfeld (sic!). Wnet będzie pewnie Unszlichtau i Radekau. Dla kolonji *komunistów Koreańczyków* tamtejszych wynaleziono nazwę „Karl Liebknecht“, choć na razie może i nie wiedzą Koreańczycy, skąd co i kto zacz był ten Liebknecht.

Praca w Biro-Bidżanie wre i kipi i przewala się na obie strony, przyczem słychać bez przerwy turkot traktorów, gwizd świstków, świst gwizdków, oraz „poszumy i brzęczenie pszczół“, zbierających miód dosytni w licznych i nieprzeliczonych barciach“ i t. p.

To też nie można się dziwić, że rej wiodącą w Komitecie Organizacyjnym Autonomicznej Obłasti panią Abigail Alperowicz poprostu rozpierało szczęście na widok tego wspaniałego socjalistycznego stroitielstwa. W tak krótkim czasie (5 lat) tak niewielka (10.500) grupa kolonizatorów i pionierów, a czego to już dokonała! Z małej stacyjki, cichutkiej Tichonkaja narosła wielka stolica Biribidżańsk. Ma już i kino i teatr i szpitale i hotele i dzielnicę fabryczną i codzienne dzienniki („Birobidżaner Sztern“) i klub esperantystów. Przy ulicy Litwinowa są biura „Komzetu“, a przy ulicy Kaganowicza kancelarje „Ozetu“. To też byli tu już z wizytami bardzo znakomici pisarze i literaci światowi. Był już A. Kantorowicz i napisał o tem książkę. Był Heller i też napisał o tem książkę. Potem był Bergelson i Robinsohn tylko nie Cruzoe, a Nojah, czyli Noe. Potem był Fink (autor „Jestem głodny“) i miał z tego napisać książkę, ale na razie robią film pod tytułem „Jewrej w Tajgie“ (sic!). A potem był z Warszawy sympatyczny Singerek. A obiecano w najbliższym czasie: Saul Wagmana i występy gościnne: „Hanki Ordon“ (Bubliczki).

Oto z czego mogła być dumna Amelja Alperowicz, rej wiodąca w Rajispołkomie, królowa Saba Birobidżańska.

W ostatnich czasach atoli i ona zaczęła nieco tracić na humorze.

Najpierw te komary. Już w jej rezydencji te ko-

mary to istna plaga. Niema dawnych Moskali, to są moskity. Niema moskitów to są „widliszki“, jeszcze gorsze, natrętniejsze, nahalniejsze i całkiem wysysają krew z ludzkości nie odróżniając rasy, wszystko jedno czy z Mongołów, czy z mongoyów, Koreańczyków, Chunchuzów, czy Ainosów. Nie uciekniesz przed komarami! To jest jedno wielkie Komarowo ta cała republika (a jidisch land!). żadne organtyny, żadne siatki nie uchronią przed tymi endeckimi komarami krwiopijcami! Istna plaga!

A potem zaraz po komarach to te... żydy okropne. Rady sobie z nimi dać nie można, gdy się nimi rządzi. Amelja Alperowicz często nie sypia w nocy przez swych rodaków. Przyjechało to to niby na rolę i do lasów, żeby karczować, orać, siać i zbierać. W rzekach moc ryb. Istne zatrzęsienie. Jak łosi w puszczy tak łososi w wodzie nieprzebrane tonny. Siąść nad brzegiem z wędką i łowić a potem kawior różowy beczkami dostarczać do Charbina i Chabarowska. To im się nie chce. Nie mają cierpliwości. Niech na nich łapią Koreańczyki z kolonji „Karl Liebknecht“.

Potem to oni mieli być myśliwi i łowcy, takie skwattery i pioniery z Jacka Londona. W kniejach pełno sarenek i danieli. Wziąć tylko oszczep, łuk lub dubeltówkę na plecy. To im się nie chce. Ich nudzi to czekanie i czyhanie na zwierza dzikiego. Więc biorą ze sobą patefony do puszczy z „Rebeką“, no i oczywiście czy to lampart, czy tygrys to ucieka. Niech Koreańczyki strzelają, niech Mongoły polują! To dobre dla Endeków. Jak Daniel ma strzelać do Daniela? My nie chcemy być „Leśni Ludzie“ albo Tarzany! Więc nawet filmu p. t. „Jewrej w tajgie“ z żydami jako „tępicielami tygrysów“ nie dało się nakręcić.

A potem z tą rolą, z tem rolnictwem. Alperowiczowa na posiedzeniach „Rajispołkomu“ zawsze zaczyna mowę od tego, że musimy być: „licom ku tajdze“ i ku derewni... I wysyła coraz to nowe partje przesiedleńców w różne strony i okolice jewrejskiej republiki na to, żeby karczowali, a potem sadzili karczochy, pomidory, kapustę, marchew, cebulę, czosnek i t. p. Daje im na drogę pługi, kombajny, cepy, sierpy, młoty, łopaty, żniwiarki. Nic nie pomaga. „To nie dla nas rola“. Pogrzebią w ziemi, posadzą, poleją i uciekają i to masowo. A potem sobie „Regnis“ w warszawskiej „burżujskiej szmacie“ wypisuje:

„Z 10.500 żydów prawie 70 proc. zajmuje się przemysłem, względnie pracuje na urzędach, kooperatywach i t. p., a tylko 30 proc. pracuje w rolnictwie“...

...Niema już ucieczki ani z miasteczka Birobidżan, ani z Londoko, ani z innych osiedli, gdzie pracuje ludność robotnicza; trwa jednak jeszcze częściowo odpływ ze wsi, to znaczy z kołchoz“.

Oto i czem się martwi królowa Saba Biro-Bidżańska. Nie chcą ani do tajgi, ani do puszczy, ani nie przypada do smaku rola „na roli“... Cokolwieczek całkiem taksamo w sowieckiej obłasti autonomicznej, jak w... Erec Izroel w Palestynie.

Ostatnio jeszcze ma nowe gorsze zmartwienie i zgryzoty pani Alperowicz. Przyszły i do nas żata telegramy:

„Pisma donoszą, że różne podejrzane i kryminalne elementy, które pragną uniknąć wymiaru sprawiedliwości, korzystają z werbunku do Bir-Bidzanu i zapisują się jako przesiedleńcy w nadziei, iż w dalekim Bir-Bidżanie uda im się ukryć swą zbrodniczą przeszłość. Już kilka-

krotnie wskazywano w prasie, że wśród przesiedleńców do Bir-Bidżanu jest pewien odsetek elementów szkodliwych".

Coprawda zaraz po tym żałosnym i nie przyjemnym.. nadchodzi drugi telegram pocieszający i sympatyczny:

„Lekarz żydowski dr. L. M. Brudny, który od 4 lat pracuje w jednym ze szpitali bir-bidżańskich, ogłosił w tych dniach sprawozdanie o wykrytych w tym okręgu źródłach leczniczych. W wyniku badań dr. Brudnyja w najbliższym czasie udać się ma do Bir-Bidżanu komisja chemików i lekarzy, która dokładniej zbada właściwości wspomnianych w sprawozdaniu Brudnyja źródeł leczniczych celem praktycznego ich wyzyskania. W Bir-Bidżanie ma powstać w pierwszym rzędzie uzdrowisko dla potrzeb miejscowej ludności".

Zaczem i wody lecznicze odkryte? No, to wszystko znów w porządku. Chociaż nazwisko lekarza odkrywcy (dr. Brudnyj) mogłoby budzić pewne zastrzeżenia, to jednak wody mogą być czyste i skuteczne. Może po tych wodach leczniczych nowi koloniści i pionierzy zmienią swą naturę psychofizyczną? Może nabiorą ochoty na rolę, do rolnictwa? Nie będą uciekali do miast jak masowo „odpływają" i w... Palestynie? Może się w nich rozbudzą instynkty myśliwskie „tępicieli tygrysów", „łowców łosi", karczowników, rybaków, pszczelarzy, poszukiwaczów barci?

Na razie 70 proc. z tych 10.000 zagnieździło się w... „miasteczkach".

I oto co musi martwić i psuć humor pani A. M. Alperowicz, rej wiodącej w Rajispołkomie, w sto-

licy Birobidżańskiej, pierwszej republiki radzieckiej Dalekiego Wschodu.

*

* *

Gina Medem zasługuje chyba na pełny podziw. Jedni informują, że nawet piękna i młoda. Inni, że starszejsza i nie bardzo urodziwa. Inni, że nawet nie diva a wdowa. W każdym razie zasługuje na pełny podziw. Dlaczego? Dlatego, że w bardzo krótkim okresie czasu trzykrotnie przejechała z Nowego Jorku cały ocean, całą Europę, całą Azję; pobyła kilka tygodni, czy dni w... Bidżanie (Biro-Bidżan), może jeszcze w Chabarowsku, w Charbinie i znów z powrotem do Nowego Jorku. Nie mówiąc już o kosztach takich podróży, ale tyle trudu, tyle fatygi, zmęczenia, mozołu! Dzielna kobieta, imponująca!

Widocznie chyba jakieś ważne cele, ważne misje, ważne posłannictwa? Trzy razy w krótkim czasie takiej podróży dla przyjemności, dla emocyj turystycznych się nie odbywa. I to reprezentantka płci słabej i z rasy, która długie czasy uchodziła za fizycznie niedorozwiniętą, mizrachityczną.

Jeździła tedy pani Medem trzy razy tam i z powrotem. Jeździła, zdaje się, jako łącznikowy *secret agent* między finansistami amerykańskimi, a tymi działaczami sowieckimi na Dalekim Wschodzie, którzy podjęli się zmontowania nowej republiki radzieckiej dziś już znanego i opisywanego wielokrotnie Biro-Bidżanu.

Dla tej to oryginalnej idei udało się towarzyszce Ginie Medem skonwinkować bardzo oryginalną i dość wpływową w Ameryce figurę. Poprzednio transplantacji rosyjskich żydów na rolę patrono-

wał w Ameryce nie byle kto, bo zmarły multimiljoner Chikagoski, Juljusz Rosenwald. *Słynny Agrojoint*, to jest towarzystwo kolonizacyjne dla żydostwa rosyjskiego (głównie: Krym) stworzyli Rosen, Rosenberg i Rosenwald. Ten ostatni zapisał na te cele lekką ręką pięć miljonów dolarów. Dzięki tej głównie podstawowej fundacji ruszyło to całe wielkie i dodatnie w skutkach przedsięwzięcie. Kiedy zaś na Kremlu powstała pozornie ekscentryczna idea zafundowania republiki żydowskiej aż nad... Amurem, zdołano i dla tego *pozornie* dziwacznego pomysłu zainteresować „baronów z Wall-Street", potentatów giełdy, bankierów, krezusów i Midasów wyznania M.

Do propagandy zaś za Bir-Bidżanem wciągnęła Gina Medem jedną z całkiem ekscentrycznych postaci. Jest to Anglik, czerstwy jegomość, parlamentarzysta, niedawno uszlachcony na „lorda Morleya". Dudley Leigh Aman, członek Izby Lordów z gatunku Anglików, rozkochanych w żydostwie, „chorych na żydów", którzy w momentach wzbierania fali antysemickiej dostają wprost szału miłosnego. Takiego to lorda Myszugge usidłała dla swoich wielkich celów dzielna Gina Medem. Lord Morley przez lato jeździł po Stanach i gdzie mógł tam przemawiał i agitował za Biro-Bidżanem, a w najbliższym czasie sam wybiera się w tamte strony do... Nowej Palestyny, gdzie będzie owacyjnie przyjęty przez „Komzet" i „Ozet" i komunistów.

O co to chodzi właściwie, w czem rzecz z tym całym Birobidżanem? Dlaczego zgodzili się tak łatwo aż na tak daleki teren Mędrcowie Syjonu (Kehilla)?

Po nitce można dojść do kłębka. Regnis, który tam był, może to powiedzieć lub zaprzeczyć, o ile oczywiście wtajemniczony. Oto wedle całkiem słu-

sznej hipotezy japońskiej prasy, rozchodzi się o... *zrewoltowanie i zbolszewizowanie Kareańczyków.* W przeciągu tylu a tylu lat młodzi emigranci komuniści mają przy pomocy tych Koreańczyków, co są w granicach Biro-Bidżanu (np. kolonja „Karol Liebknecht"), *„pozarażać" komunizmem Koreańczyków* w Mandżu-Kuo i w samej Korei. Okazało się bowiem, że to materjał „łatwopalny" i do marksizmu bardzo inklinujący. Aby teraz „Japom" stworzyć przy nadchodzącej wojnie jak najwięcej dywersyjnych kłopotów i komplikacyj, aby ewentualnie pod-jud-zić do rewolucji patrjotów koreańskich, do tego celu mają być wytresowani młodzi imigranci komsomolcy i komso-Małki... Już zaczęte.

Nienawiść Syjonu do Nipponu przybiera ostatnio wprost fantastyczne, apokaliptyczne rozmiary. Całe szesnaście miljonów jakby zaprzysięgło zagładę skośnookim „Azjatom". Można stwierdzić z całą pewnością, że dziennie tysiąc piór dziennikarskich judzi ludzkość wszystkiemi językami świata przeciw Cesarstwu Japońskiemu, przedostatniej zaporze przeciw zbolszewizowaniu obu kontynentów. Wszyscy wszędzie jak jeden mąż *unisono* zaprzysięgli dozgonną miłość... Chinom i wszyscy *unavoce* dzień w dzień szkalują Japonję. Na idący sezon literacki będą entuzjastycznie reklamowali powieści komunisty japońskiego Naossye Tokunagi: „Ulice bez słońca", „Tokjo, miasto robociarzy" i wszystkich autorów, którzy sympatycznie się odnoszą do rewolucyjnych, zchaotyzowanych Chin (Agnes Smedley, Malraux). W jednym numerze Rochego paryskiej „Republique" znajdzie się czasem 3 artykuły contra Nippon.

Dlaczego tak?

Pisał o tem kolega Perec Hirschbejn:

„W Japonji są obecnie małe grupy żydów. Największe osiedle żydowskie w Japonji znajduje się w Kobe, gdzie mieszka do stu rodzin żydowskich. W okresie wojny światowej żydzi również mieszkali w Yokohamie, lecz obecnie nie mieszkają tam zupełnie. Przyczyną tego jest, że żydzi nie mają tam żadnej możliwości urządzenia się. Rzemieślnik żydowski nie jest w stanie współzawodniczyć z rzemieślnikiem japońskim. Kramikarz żydowski w Japonji umarłby z głodu, gdyż Japończyk nie kupiłby u niego nic i wogóle w Japonji nie może urządzić się cudziziemiec, gdyż Japończyk do tego nie dopuści. żydzi, którzy zamieszkują w Japonji, są przedstawicielami dużych firm zagranicznych, które są w stanie współzawodniczyć z wyrobami japońskiemi".

Tak było już trzy lata temu .

Ostatnio jeszcze się pogorszyło.

W korespondencji „Naszego Przeglądu" z Charbina (Mandżu-Kuo) czytało się:

„Sytuacja gospodarcza pogarsza się z dnia na dzień. Wypieranie Europejczyków z różnych dziedzin gospodarczych odbywa się b. intensywnie. Wystarczy zaznaczyć, że w ciągu ostatniego roku osiedliło się w Charbinie 12.000 Japończyków. Spodziewać się należy kolosalnych zmian w strukturze gospodarczej kraju. Odbywać się to będzie kosztem Europejczyków, głównie zaś kosztem żydów. Ostatnio szereg firm i koncernów japońskich zapewnił sobie monopolistyczne stanowisko w zakresie pewnych artykułów masowego spożycia. Nawet urzędowe tłumaczenia na język chiński zmonopolizował pewien adwokat japoński. To samo dotyczy

wszelkich dostaw, przetargów i t. d. Ruch budowlany jest bardzo ożywiony, lecz całkowicie opanowany przez Japończyków".

Nie dają zarobić. Swój do swego po swoje. Niema „możności urządzenia się". Wszystko „opanowane przez Japończyków..."

Za to więc jest *kara*. I przez całą prasę światową (Weltpresse) idzie o Japończykach „Greuelpropaganda"... „żółty handel grozi"... Straszenie Francji utratą Indochin... Straszenie Holandji utratą Indji... „Kilo zegarków japońskich za 10 franków"...

Biro-Bidżan ma być laboratorjum bakteryj i mikrobów rozkładowych, szkółką rewolucjonistów... koniem Trojańskim dla Korei.

Gina Medem nie bez kozery jeździ raz po raz z Nowego Jorku aż ku Chabarowsku... Słaba płeć a jaka mocna!

ARGUMENTY ARABSKIE

Wrzesień, 1934 r.

Były redaktor powojennej „La Vieille France", a obecnie wydawca i pisarz antyszajlokowej „Nouvelle Aurore" podróżował ostatnio dłużej po Północnej Afryce (Tunis, Alger, Marokko). Jak można się było spodziewać Urban Gohier studjował tam wszędzie ustosunkowanie świata muzułmańskiego do Jehudim. Rezultatem tych podróży i studjów, kwintesencja wrażeń: niema nigdzie pod słońcem między ludami tak skoncentrowanej, zogniskowanej, czyhającej, napiętej nienawiści, jak nienawiść całego świata muzułmańskiego do swych rasowych kuzynów. Gdyby nie opieka francuskich wojsk kolonjalnych, w 24 godziny problem ten byłby w Północnej Afryce załatwiony bez reszty. Ale co się odwlecze to nie uciecze. Jeżeli Francja pospołu z drugiem państwem kolonjalnem i mandatowem, t. j. W. Brytanją nie chce mieć całego Islamu w najbliższych latach lub w momencie wybuchu nowej wojny przeciw sobie, powinna co rychło przystąpić do likwidacji przedewszystkiem Shylockracji północno-afrykańskiej.

Było to pisane w „Nouvelle Aurore" jeszcze przed groźnemi próbami generalnemi w Tracji tureckiej i w Tunisie francuskim. I tu i tam Semici Mojżeszowi doszli oddawna do agglomeracji ol-

brzymich bogactw. W całym szeregu miast nad dwoma morzami zgarnęli całe złoto w swoje ręce. I stworzyli nowe dzielnice Goldmanów i Geldhabów, przepychem i zbytkami kłujące w oczy biednych kuzynów tubylców. Tu wszędzie Jehudim są warstwą wskroś kapitalistyczną, chronioną przez policję i garnizony francuskie (angielskie, tureckie), tu wszędzie dysponują prasą i grają rolę „kulturtraegerów".

Rzeź w Constantinie i w innych pomniejszych miastach najpierw trackich, potem tuniskich rozświetliła tę całą tragiczną sytuację błyskawicowo. Teraz już tak w Tracji (tureckiej), jak i w Tunisie, Algerze, Marokku, tak samo wielcy bankierzy, jak mali lichwiarze, giełdziarze, paskarze, exportery, gryndery, pasery, jobbery, będą mieli utrudnione procedery. *Jom Kippur* (Sądny Dzień) nadchodzi.

W Palestynie ułożyły się stosunki socjalne tak samo, jak w... Constantinie. Po jednej stronie mniejszościowe „orgje kapitalistyczne", po drugiej stronie bezmiar biedy, czyli, jak p. Appenszlak pisał, „morze dzikich Beduinów", „czarne namioty dzikich Nomadów". Tubylcy, to zbiedniała szlachta, obszarpani obszarnicy, effendi siedzący na starodawnych „folwarkach", ginący potomkowie rycerzy, goniący ostatkami,*morituri*, ratujący się rentowną sprzedażą pardesów Syjonistycznej Komisji Kolonizacyjnej (H. K. T. Ha-Ti-Kwa), o obecnie zbliżający się tak finansowo, jak i gospodarczo do swoich ongiś pańszczyźnianie wyzyskiwanych Fellahów. Pod tą zaś cieniutką warstwą inteligenckiego ex-ziemiaństwa (déracinés) masy sproletaryzowanych wieśniaków, kmiotków, ciągnących teraz za chlebem do nowych miast i nowych osiedli jak ongiś „na saksy" lub do Hameryki...

W Tel-Awiw, w Jerozolimie, w Haiffie, w Jaffie, w Nablus wspaniałości. Asfaltowane ulice, sześciopiętrowe kamienice... Allenby-Street (Kurfürstendamm). Dzięki Shylockracji amerykańskiej i europejskiej tutaj teraz komforty, szyki i szychy. Banki przepełnione gotówką, w sefsach złoto. W zwycięsko odchrześcijanionej Jerozolimie pałac King-Dawid-Hotel. Elegancka publika na tarasach „Café San Remo" w Tel-Awiw. Jazzband przygrywa Krezusom i nababkom na dancingu u Ritza. Na werandach luksusowych will rżną w bridża pardesmany i plantatory. Grzmią po asfaltach wspaniałe limuzyny. Wysiada z lśniącego Citroena prezes Anglo-Palestine Banku Ben Tuwim (sic!). Wsiadają do „lśniącego Citroena" redaktor Feldman z redaktorem Thonem. Na plażę morską jadą autocary z damami w kąpielowych kostjumach i z panami w pyjamach. Wieczorami kawiarnie przepełnione. W barach (Bar-Kochba-Bar), ani miejsca. Teatry i kina pełne, w Operze gala. A jeszcze co czas jakiś festyny, pochody kostjumowe Purym, Adlojada na ulicach umaskowana, młodzież tańczy „Horę"...

Bywa, że pisma syjonistyczne już ostrzegają przypominając stare biblijne: mane! tekel! upharsim!

Hebrajski „Haarec" pisze o tem niebezpieczeństwie:

> „Ukazało się na nowo w szczególnie ostrej postaci. Jest to zagadnienie podniesienia stopy życiowej w kraju do poziomu, który żadnemi względami nie da się umotywować. Uboga Palestyna nie wzbogaciła się nagle. Nie odkryto w niej kopalni złota, ani źródeł naftowych. Jej rozwój gospodarczy jest bardzo powolny i oporny, a trudności, na jakie napotyka, niezwykle

wielkie. Niestety jednak, *podnoszenie się stopy życiowej* wyprzedza u nas mocno rozwój gospodarczy kraju".

Poeta Ben Levi z okazji rocznicy Herzla wpada w gniew iście Jezajaszowy i grzmi (w „Opinji"):

„Dr. Herzl był dzieckiem szczęścia. Umarł zawcześnie dla nas, ale w porę dla siebie. Gdyby był nie umarł przed trzydziestu laty — serce jego nie wytrzymałoby dzisiaj, na widok tego, *co mob żydowski i ten z pieniędzmi* i ten z frazesami uczynił ze syjonizmu, z jego świętego ideału. Umarłby teraz ze zgryzoty, widząc, jak pod naporem tej całej obmierzłej hołoty trzeszczy gmach Organizacji Syjonistycznej, jak wulgaryzuje się i wdeptuje — nie w błoto już, lecz poprostu w fekalja ludzkie — świętą myśl odrodzenia narodu żydowskiego w jego ojczyźnie. Umarłby teraz po raz drugi, gdyby zmartwychwstał"...

Nic to nie pomaga. Tel-Awiw (Wzgórze Światła) promienieje swą elektrycznością, grynderstwem, luksusem, bankierami i bankietami, spekulacjami gruntowemi, placowemi, mieszkaniowemi, giełdowemi, daje przykład swym realizmem, materjalizmem, merkantylizmem, indyferentyzmem, *pogaństwem*, swym kultem Baala (Bal-foura) i Astarty. Era romantyczna, era chaluców w kibucach, era pionierów, bohaterów, idealistów, niepozbawiona wielkiego uroku już się bezpowrotnie skończyła. Obecna faza, to week-end-saison-sztat-jaz-band-erec... monaco-monte-carlo.

A po drugiej stronie u tubylców bieda i nędza tem jaskrawsza, że teraz dopiero na jaw wyszły i uwydatnione. Fellahy najtańszy robotnik, więc wszędzie upragniony i przez kapitalistów i plantatorów ochoczo brany. Stąd scysje, strajki, awantu-

ry, strzelaniny. I więzienia i szpitale pełne. Pełne młodych narodowców arabskich. Na kortach tenisowych i na dancingach syjoniści, a w szpitalach młodzi patrjoci arabscy. Syjonistyczni dziennikarze ciceronują jako inturisty (oczko-wtiratiele) i obwożą a to wytworną księżnę Bibesco („Croissade pour Anemones"), a to jakiegoś polskiego literatę, czy angielskiego lorda, a arabscy dziennikarze siedzą w tiurmach i zaczynają... głodówki.

Ciężki i ofiarny jest żywot młodych inteligentów arabskich, piszących w tych wzruszająco skromnych dzienniczkach i tygodniczkach. Raz po razu to ich konfiskują, to zawieszają i zamykają im pisemka. Syjon jest Tabu. Za „zaczepianie" Shylockracji z Allenby-Street (z „Alembiku") idą grzywny za grzywnami. Młodzi adwokaci Mugan el Mugan czy Moghanan Ellas raz po raz muszą stawać przed kratkami sądowemi i bronić to narodową myśl arabską propagujący: „Ha Matarah", to „Felestina", to „Al Djamea al Islamia". Plantatorzy są Tabu. Król Pomarańczowy Szmilanskij jest Tabu. Ben Tuwim (Anglo-Palestina-Bank) jest Tabu. To też w ciężkich materjalnych opresjach pozostaje prasa arabska, aktywnie i ofensywnie broniąca interesów tuziemców... Fel-Lachów. I stąd wywiązują się i tu sytuacje i kolizje dziwnie przypominające stan rzeczy nie tylko w „Ziemi Świętej", ale i w „Ziemi Obiecanej"... na Północy. W Polsce.

Informuje o tem telegram żata:

„Pismo arabskie „Al Akdam" zamieściło charakterystyczny artykuł, omawiający sprawę ogłoszeń żydowskich w prasie arabskiej. „Al Akdam" przytacza głosy kupców arabskich w Jerozolimie, Haiffie i Jaffie, którzy twierdzą, iż jest niedopuszczalne, aby pisma arabskie zamieszczały ogłoszenia żydowskie. Jest

przecież niekonsekwentnie — argumentują kupcy arabscy — domagać się, aby Arabowie nie sprzedawali żydom ziemi, równocześnie zaś drukować ogłoszenia kupców żydowskich. „Al Akdam“ uważa te żale za słuszne, lecz usiłuje usprawiedliwić prasę arabską tem, iż jest bardzo uboga i nie może się wyrzec żydowskich ogłoszeń. Niech kupcy arabscy — pisze dziennik arabski — w takiej mierze powiększą swe interesy, aby one zastąpiły ogłoszenia żydowskie, wówczas pisma arabskie zaniechają drukowania ogłoszeń żydowskich“.

Komentarze zbyteczne. Nic tu dodać ni ująć.

CYPRUS I CYTRUS

Przy porodzie Syjonizmu asystowało właściwie głównie dwóch Polaków: prezydent ministrów dr. K. Badeni i radca O. Newliński z minist. spraw zagran. Układ był taki: „Neue Freie Presse“, to jest Benedict będą popierali gabinet Badeniego w sprawach czesko-słowackich i wzamian za to wpływowy w „Wysokiej Porcie“ (tak się to nazywało) radca Newliński wyrobi Herclowi w Ildziz-Kiosku audjencję i szereg rozmów z wezyrami i z paszami w sprawie osiedlenia większej ilości żydów... w El Arish, dosłownie w okręgu południowym, znanym z „Ojca Zadżumionych“... w El Arish... Blisko Palestyński Erec, ale jeszcze nie Palestyna.

Radca Newliński swoje zrobił. Hercl szereg rozmów w Konstantynopolu przeprowadził, u Sułtana Hercl był, plan rozszerzony nieco sprezentował. O Jerozolimie nie było mowy oczywiście. Więcej przedtem i potem pisywano o... Ugandzie afrykańskiej, którą znów protegował Chamberlain ojciec...

Potem się ten pomysł wspaniale rozwinął. Przypomnijmy przy okazji i plan Syjonu w powieściach Disraelego... („Tankred“). Inny fantasta Zangwill, angielsko-żydowski powieściopisarz, proponował, aby jednak przedtem wszystkich Mahome-

tan przesiedlić do... Mezopotamji. W propagowaniu dzisiejszego Syjonu dużo napracował się przez syjonistów najniesprawiedliwiej zapomniany Alfred Nossig. Jeżeli chodzi o kulisy samej realizacji planu, rozpoczętej w r. 1918-tym, to dużo także przyczyniło się to, że brat Balfoura miał świetną synekurę, prezesostwo w firmie Brunner-Mond-Melchett, a bracia Weitzman (z Pińska), z których starszy był znakomitym chemikiem, dali wojskowości angielskiej takie wynalazki gazowe, jakie Niemcom dał prof. Haber. Za te i t. p. przysługi wyprosili, względnie wycyganili ówcześni *elders of Sion* terytorjum na siedzibę *(home)*, a nie żadne oczywiście państwo. Stąd wywodzi się słynny historyczny list starego Balfoura: „Drogi lordzie Rotschild"... *magna* charta syjonizmu.

To zaś, żeby żydzi z różnych krajów, szczególnie młodzi, bezwyznaniowi, beztradycyjni czuli taki masowy, nieprzezwyciężalny popęd specjalnie do musowego powrotu na ziemię biblijnych przodków, to należy brać *cum grano salis-bury*, to znaczy nie bez dużego sceptycyzmu. Mistyka jest dorobiona do planu normalnie-kolonizacyjnego. Z równym zapałem, ale w znacznie większych masach przenosili się do Ziemi Obiecanej Stanów Zjednoczonych, do Argentyny, nawet do... Transwaalu. Ostatnio bardzo sobie chwalą Krym. Jest spora paczka entuzjastów Bir-Bidżanu. Inni chcą widzieć Ziemię Obiecaną (Chanaan) w... Australji.

Najciekawszy jest atoli ostatni *exodus* z samej Palestyny. Niedługo trwa, ale zapowiada się na wielką skalę, o ile oczywiście Anglja to poprze i nie zajdą jakieś nieprzewidziane przypadeczki. Jest to przenoszenie się z Palestyny na pobliską wyspę Cypr. W tem (w roku 1934) ćwierćmiljonie żydów w Palestynie imigranckie odrębności narodowo-

golusowe są oczywiście bardzo wielkie. Sephardowie z Salonik i z Grecji uważają się za arystokrację najwyższą, mówią nadal po szpaniolsku i towarzysko odgrodzili się mocno. żydzi z Yemenu żyją w bliskim kontakcie z żydami arabskimi i też się nie mieszają. Dyrygują wszystkiem żydzi ze Wschodu Europy, głównie t. zw. Litwacy, którzy wzięli za łeb i zmajoryzowali też spokojniejszych, normalnych naszych żydów z Polski, reprezentujących cyfrę `65.000, podczas gdy nieżydów jest wogóle 809.000 (statystyka z 1 lipca 1934).

Do tego misz-maszu w dwóch ostatnich latach doszli Niemcy. W r. 1933 w cyfrze: 5.392, a w pierwszych 4 miesiącach b. r. 2.381. Niemcom tym w Niemczech do r. 1932 było właściwie jak u Pana Boga za piecem, żyć i nie umierać, El Dorado. Nagle, jak piorun z jasnego nieba: Haman *aus Braunau,* ten-picer z fachu. „W przeciągu dwóch lat: 60.000 „rewolucjonistów" musiało opuścić *„lieb Vaterland (magst ruhig sein!)"*. Wśród tego wielu takich z większą gotówką, których sjoniści zaagitowali do Palestyny. Naopowiadano im o *prosperity,* o konjunkturze, o Haiffie, o Tel-Awiw, o „nowej Belgji", o moście między Wschodem świata a Zachodem, o pardesach, o exporcie *cytrusów* (dojdzie do 20 miljonów skrzynek w r. 1936!) i t. p. „extrabajce". I Niemcy jazda do Palestyny. Certyfikaty przeważnie z gatunku „kapitalistów". Razem dotychczas tych Niemców do 8.000, ale *prima sorta.* Syjoniści *aus Ueberzeugung?* (z przekonania?). Nie. *Aus Deutschland.*

Otóż ci Niemcy tak naszych najserdeczniejszych jak Ostjudów wogóle jak Litwaków, Charazów i Chasidim wogóle w sercu nie noszą. Co o nich myślą, to wypowiedział jasno i wyraźnie prezes

„Bund der deutschen Juden“, dr. Naumann, pisząc rok temu:

„Było słabością sentymentalną, gdy żydzi niemieccy nie mogli się zdecydować na to, aby wystąpić przeciwko niebezpieczeństwu żydów wschodnich z całą bezwzględnością, jaka była naturalnym obowiązkiem dla każdego Niemca, stało się to pomimo ostrzeżeń ze strony zwolenników naszego związku żydów niemiecko-narodowych. Było to bezmyślnością i nieudolnością, gdy się tolerowało wyczyny literatów i artystów w imię t. zw. „wolności sztuki“. Było też głupotą i słabością zarazem, gdy się tolerowało „ruch ateistyczny“ i często wbrew wewnętrznemu uczuciu i przekonaniu zaliczało go do stronnictw, które w ciągu nieszczęsnych 14 lat burzyły wszelką tradycję, w pierwszym zaś rzędzie niemieckość. Gdyby tego wszystkiego nie było, wówczas nie stałoby się 30 stycznia 1933 r. to, co się, niestety, stało i dzieje się po dzień dzisiejszy“.

Otóż tak plus minus, jak dr. Neumann orjentujących się i nastrojonych żydów z Niemiec najechało do Palestyny do ośmiu tysięcy, *żydów*, co to zatajać: *antysemitów*. Jako cywilizacyjnie wyżsi, nowocześni, ochędożeni, czyści, zachodnio-europejscy, normalniejsi, spokojniejsi, zetknęli się z elementami i elemętami nieco zruszczonymi, zbolszewizowanymi, fanatycznymi, wrzaskliwymi. A kiedy jako dysponujący gotówką zaczęli zagarniać to i owo i chcieli brać za łeb już zaaklimatyzowanych Ostjudów, zeczęły się scysje , krótkie spięcia i awantury. Do całego tragicznego bałaganu przyszedł jeszcze nowy czynnik dyssolucyjny: „żydlakes“ Niemcom berlińskim i frankfurckim działały wprost na nerwy. Zaczęli już ciągłe awantury ży-

dów z żydami i żydów z Arabami, już mordy *Fehme-mordy*, napaści, skrytobójstwa, podpalania, bitwy z policją, bomby gazowe, karabiny maszynowe stale w ruchu, to wszystko było dla geszefciarzy niemieckich poprostu nie do zniesienia. Z *Cytrusami* też się coś już psuć zaczęło. Nadprodukcja. Niema komu sprzedawać w Europie, a jeść grape-fruity cztery razy na dzień także mała frajda. I wtedy syjoniści *(aus Deutschland)* zaczęli rozglądać się dokoła. I odkryli... Cypr.

I teraz niema już pono parowca odchodzącego z Haiffy na Zachód, żeby na nim nie przenosiło się tam kilkanaście rodzin. Syjon jest cacy-cacy, ale na Cyprze można robić lepsze geszefty, a nie mieć ciągle do czynienia z tymi okropnymi Fellachami i Beduinami i jeszcze gorszymi „židlakes". I już są na Cyprze dwa towarzystwa kolonizacyjne i już zakupili od tubylców 70.000 dunamów ziemi. Tu, na Cyprze, będzie także Cytrus, hodowla pomarańczy, grape-fruits i cytryn. Greki daleko milsze od... Arabów, Turki także grzeczniejsze. Ziemia 60 proc. tańsza, a celna przynależność do Anglji większa, zatem i eksport kalkuluje się profitniej. Przedewszystkiem zaś niema rewizjonistów i mizrachitycznych, niema Achwy i Akiby i Poalej-Sjonistów i Betarowców, ani Moszawe-tników, ani Hanora-Hacjon, ani Chasidinu, ani też nie przychodzi na wywiad palestyńska Wielopolska: Miriam Wolman Sieraczkowa.

W cypryjskim porcie Larnaro już często-gęsto słychać język niemiecki. Wnet będzie „B'nai B'rith" i pierwsza synagoga reformowana, gdzie wolno z mężczyznami siedzieć i kobietom. Po dwóch latach pobytu można dostać nawet obywatelstwo cypryjskie. Niema w Larnaro ani „Habimy", ani „Ohelu", ale są dwa kina i to pod golem niebem.

Wobec już nadchodzącej nieodwołalnie depresji gospodarczej i straszliwego *krachu pomarańczowego* w Palestynie, zdaje się, że ci, co na Cypr wyjechali pierwsi, mieli nosa i wygrali wielką stawkę.

To też każdy statek odchodzący z Haiffy czy z Jaffy na Cypr z nowymi „Niemcami" żegnany jest przez pozostających w Erec Ostjudów nieco szyderczo, ale nie bez cichych westchnień. Na Cyprze niema „grobu Racheli", ale też i niema tych z dnia na dzień tajemniczo coraz zuchwalszych Arabów... Na Cyprze za to urodziła się podobno sama Wenus... Tel-Awiw oczywiście jest śliczne, bo „całkiem amerykańskie". Ale czy w Tel-Awiw zmieszczą się wszyscy rolnicy, ziemianie, hodowcy, pionierzy, chaluce, kmiotkowie, parobcy, pszczelarze, ogrodnicy i pasterze, jeżeli się tak pchać będą, jak się teraz pchają, porzucając *pardesy* i plantacje, jakby się czegoś bać zaczynali?...

Na Cyprze jednak także się wszyscy znów nie pomieszczą. I „Niemcy" ich nie dopuszczą. *Aus Ueberzeugung.*

W MOSZKOPOLIS

Przyjaciel Kościuszki, *spiritus movens* reform Sejmu Czteroletniego, autor popularnych „Śpiewów Historycznych“, postępowiec, Polak i Amerykanin, Juljan Ursyn-Niemcewicz, napisał też jasnowidzącą wizję przyszłości, która powinna teraz wydaną być znowu w dwóch wydaniach:

Pierwsze wydanie drogie omal luksusowe z ilustracjami Czermańskiego.

Drugie wydanie tanie (jak barszcz) popularne, drukowane najpierw w ilości 12.000 egzemplarzy, potem więcej.

Utwór Juljana Ursyna-Niemcewicza (autora liberalistycznej franc-masońskiej powieści: „Lejbe i Siora“), utwór, który się tu ma na myśli, nosi tytuł:

„Rok 3333, czyli Sen Niesłychany“.

Już we wstępie do swej asymilanckiej powieści („Lejbe i Siora“) Niemcewicz pisał ostrzegawczo:

> „Lud obcy, rozlany po całej przestrzeni kraju naszego — składający szóstą część ludności naszej ogólnej, a prawie ludność miast pomniejszych; lud oddzielny, nie tylko wiarą, ale językiem, ubiorem, obyczajem, lud, co odbiegłszy prawego Zakonu Mojżeszowego napoił się dzikiemi zagorzalców swoich przesądami, nie uznaje praw cywilnych ni sądów krajowych,

nie uznaje chrześcijan za bliźnich, za ludzi, co z dzieciństwa wpajają w młodzież swoją zawziętą ku nam nienawiść, słowem lud składający niebezpieczne statum in statu, nie dziw, że wzbudził w innych krajach i u nas najwyższą i najtroskliwszą obawę. Każdy u nas się pyta, co będzie z imieniem Polaka, co się stanie z chrześcijaństwem, jeżeli lud ten zostawszy przy swej oddzielności, przy swojej nienawiści i grubych przesądach, mnożyć się i dalej będzie w takiej, jak dzisiaj progresji".

Dopiero jednakże w fascynującej antycypacji p. t.: „Rok 3333, czyli Sen Niesłychany" daje J. Ursyn-Niemcewicz swemu narodowi głęboko przemyślane ostrzeżenie, memento, do czego doprowadzą, o ile sobie inaczej nie poradzą, do czego dojdą przy całej swej niepodległości, ale przy takiej swej niepoczytalności, względnie tolerancji, względnie poprostu matołkostwu, czyli kretynizmie.

Utwór Niemcewicza, to obraz stolicy Polski w przyszłości, który to obraz przewidział poeta aż dopiero na rok 3333 Chrystusowej ery, ale przerażony początkami tego, co oglądał dokoła, wtedy już alarmować się zdecydował. Lat temu 130!

Opowiastka zaczyna się od tego, że narrator po długiej niebytności wraca do miasta, które opuścił, gdy jeszcze panował król Stanisław August. Już przed rogatkami widzi jakieś olbrzymie nieprawdopodobne zmiany:

„Napróżno Wolskich rogatek szukałem, na miejscu ich znalazłem nieforemną bramę, a raczej potężne wrota z okopconego wiekiem kamienia, na szczycie ich była herbowa tarcza przez dwóch lewjatanów trzymana. Długo starałem się rozeznać, coby się w polu ich mieściło, aż nareszcie odkryłem, że to były cycele (po-

święcone sznureczki, które żydzi w kraju łapserdaków swoich noszą) dość kunsztownie wyryte. Na gzemsie dwa wiersze w hebrajskim języku, a pod niemi te słowa łacińskiemi literami".

Aby się dostać do środka miasta, poeta bierze małą, brudną dryndulkę. Okazało się, że dorożkarzem, mówiącym już trochę z żydowska, był potomek hrabiów Zamoyskich. I on to objaśnia teraz poetę, czego się może spodziewać w Warszawie i co zobaczy. Na Zamku rządzi Moszek XII-ty. Wojewodą warszawskim i „prezesem Rady Stanu" jest Icek Szmulewicz. Zaraz *po rewolucji*, jak kraj tak i Warszawa, dostały się pod pełne panowanie żydów. Zaasymilowali się Sarmatowie zupełnie. Przyjęli obyczaje i wierzenia żydowskie. Spełniają najniższe funkcje społeczne u żydów, zdemoralizowani i spodleni. Chodkiewicze, Krasińscy, Lubomirscy i Sanguszkowie są „pachołkami żydów".

Po drodze Niemcewicz, jadący z Zamoyskim na koźle, spotyka oddział wojskowy jakby... Betarowców, Trumpeldorczyków, Rewizjonistów, żabotypów:

> „Oto zza rogu ulicy wychylił się tłum żydów na koniach, z włóczniami w ręku, w lisich czapkach i ładownicach, bez żadnego porządku jadących, dwóch trębaczów w podobnymże ubiorze jechało przodem, mieli oni trąbki, mało co większe od tych, któremi się dzieci bawią i raptem tak przeraźliwie zapisknęli w te trąbki, iż konie zaczęły się trwożyć i kręcić, jeźdźcy gubić pantofle, zsiadać, szukać ich po błocie. To zastanowiło i poczet ów wojenny, a zarazem i dorożkę moją. Cóż to się znaczy? — zapytałem przewodnika mego. — Jest to — rzekł — gwardja konna królewska, powracająca z zamku".

A domy w Warszawie, kamienice, „realności", posesje w czyich rękach?

Może właśnie przejeżdża dorożka z Niemcewiczem przez ulicę: Wapniarską, Węglową, Monopolową, Olchową, Źródlaną i *Kwaśną?* I wtedy dryndziarz Zamoyski odpowiada:

„Nikomu z chrześcijan nie wolno mieć ani ziemskiej, ani miejskiej własności — chyba, że żydem zostanie. Jakoż nie jeden, przyciśniony biedą, uniżony i spodlony uciskiem, zapomniawszy, co winien Bogu i sobie, został żydem, zapuścił pejsaki i tak się dobrze kiwa nad Talmudem, jak Jud najlepszy".

Tak to sobie nieco naiwnie J. U. Niemcewicz, jeden z tych od Konstytucji 3-go Maja, postępowiec, reformista, liberał „tolerant", rzecznik asymilacji, no i co to ukrywać, raczej filosemita („Lejbe i Siora"), franc-masson imaginował przyszłość stołecznego miasta Judosłowian.

A tu tymczasem właścicielem nieruchomości przy ul. Kwaśnej w r. 1934 jest pono nadal niejaki Rapowicz, a wszystkie niby posesje, domy, kamienice, majątki, dostatki i bogactwa są niby nadal w ręku Sarmatów i chrześcijan, przeważnie katolików, a djabli wiedzą, czy nawet nie kryptoendeków?

Tak przynajmniej sądzą i głęboko o tem są przekonani „Henryk Drzewiecki" i Wanda Wasilewska. I dlatego tak, a nie inaczej napisali swe pierwsze książki. Co to jest zaś za miasto, którego życie proletarjackie opisują, z tego nie zdają sobie sprawy ani „H. Drzewiecki", ani Wanda Wasilewska. Zdaje się, że przedtem nie byli w stolicach dwóch narodów wprost nieproporcjonalnie i miljon procent od nas bogatszych. W Paryżu nie byli w okręgach 18-tym i 19-tym ani w „Faubourg du Temple"

na rue de Mignottes, rue Champsonet, rue de Belleville Rivoli (Ryfke-gasse) i t. p. W Londynie nie byli w East-End, w White-chapel, Missories, Magnolia-Street i tuż za Westminsterem. Kamerad Drzewiecki i towarzyszka Wasilewska, od nędzy i biedy specjaliści, nic jakgdyby nie wiedzą o tem, że to wielkie polskie „miasto bogaczów", to najbiedniejsze miasto na kuli ziemskiej, miasto sproletaryzowanej inteligencji i pracowników fizycznych, miasto, w którem ponad 60 proc. żyje z najemnej pracy, gdzie zaledwie 40 proc. ludności płaci podatek dochodowy.

Wogóle, co to jest Warszawa?

Największy konglomerat biedy z nędzą, o najmniejszej ilości hoteli, samochodów, telefonów, restauracyj, teatrów, kortów tenisowych, radjo-abonentów, lokalów rozrywkowych i z największem zatłoczeniem mieszkaniowem na jednym metrze kwadratowym. Bez żadnych już porównań z wielkiemi stolicami, a tylko w zestawieniu z Hagą, Pragą, Kopenhagą, z Budapesztem, z Medjolanem, Madrytem, jedno wielkie skupisko proletarjackiej inteligencji i biurokratycznego kołnierzykowatego proletarjatu o najmniejszej konsumcji wszystkich wogóle darów Bożych i ludzkich. Gdyby nie tych 350 tysięcy zacnych żydowinów, jeszcze trzymających się jako tako i jak się to mówi „śmierdzących forsą", to byłaby jedna wielka bajora biedy, bryndzy, dziadostwa. Kontrasty socjalne tak minimalne, że jedni jeszcze się kąpią, a drudzy już nie lub jeszcze nie; o droższych gatunkach win, cygar, dywanów, butów, rękawiczek niema tu mowy, bo niema amatorów. Krezusy z *City* taksamo jedzą flaki i kukurydzę, jak plebs na peryferji kupuje w sklepiczynach sardynki i ananas w ćwiartkach.

A tymczasem, i Drzewiecki, i Wasilewska tak

jakby mieszkali w Bostonie, Honolulu, Melbourne, Florida, Palm-Beach.

Dokoła widzą zionące przepaście klasowe. Drzewiecki *(Rosenbaum)*, komunista, zachowuje jeszcze jaką taką objektywność, neutralność, spokój, takt i w doktrynerce swej nie przekracza granicy przyzwoitości. Jego powieść („Kwaśniacy"), czyta się bez irytacji i bez oburzenia, a co więcej ludzi z tej jego kamienicy zaczyna się coraz więcej lubić, współczuć im całem sercem, a są momenty, w którychby się ten i ów człowiek na stare lata przyłączył do ich pochodu i szedł z Ulicznym, i ze Skrzypkami, z Poradą i na barykady, i niech potem kule biją, raz w kozie, a raz kozie śmierć, było nie było.

Wprost przeciwnie przy lekturze tej Wasilewskiej. Czytelnik nie może wyjść ze zdumienia. Córka uczonego klerka i historyka, wyjątkowo łagodnego, ewangelicznego, i inteligenta. Skąd u tej taka wścieklizna, taka demonja? Środowiskowo-rodzinne podłoże? Ongi przyjaźń z *Il Duce*, potem próba z ojca teką ministerjalną, fatalny zawód, rozgoryczenie, rozejście się, więc chyba przygnębiająca atmosfera domowa, i stąd nienawiść do całego globu za „krzywdę" ojca? Dość, że dynamika nienawiści socjalnej w tym reportażu Wasilewskiej tak olbrzymia, a chorobliwość „światopoglądu" tak prostacza, nieznośna, natrętna, napastliwa, że przy lekturze „Oblicza Dnia" budzą się (bo budzić się muszą) najgorsze instynkty. Nietylko nie nabiera się najmniejszego współczucia i jakiejkolwiek sympatji dla tych jaskiniowców murarzy, ale wprost budzą się wszelkie złe instynkty burżujskie, apetyty karne i egzekucyjne, żandarmskie, pacyfikatorskie czy pacyfikacyjne. Z Kwaśniakami owszem, ot nawet na stałe, tak jak „Baron" w „Na Dnie" Gorkiego. Z tymi od Wasilewskiej ni-

gdy! I odrazu hasła: obrona cywilizacji, obrona Zachodu, Bóg i Ojczyzna, ład i porządek, klerki i sentymentalisty do budy, a głos mają gazy łzawiące i panowie oficerowie. I pomyśleć sobie teraz, że tamto napisał żyd i notoryczny komunista, a to córka Leona Wasilewskiego.

Kto jednak przeczytał reportażową powieść Drzewieckiego i również reportażową spowiedź Wasilewskiej nie powinien się ograniczyć do tych dwóch książek, ale uzupełnić sobie wgląd w te sprawy i te światy jeszcze dwiema innemi pokrewnemi. Ma się na myśli E. E. Notha „Kamienicę" (wyd. „Ars"), no i Pantalejmona Romanowa znów arcyciekawą: „Własność", w tłumaczeniu oczywiście pana Lorie czy Lurie, ale dobrem. Dopiero te cztery tomy tworzą pewną całość, w każdym razie korespondują ze sobą i otwierają naszym mózgownicom dalekie aspekty i ciekawe perspektywy. Co nieco piekielna, względnie czyścowa egzystencja Kwiaśniaków powtarza się w niemieckich warunkach w koszarowej „Kamienicy" u Notha. Podczas gdy nieszczęśni lokatorzy murowanego posesjonata Rapowicza z powieści „Kwaśniacy" ciągną... pod cmentarz, Niemców... ciągnie z kasarnianej wegetacji ku życiu we własnem *home* (na własnych śmieciach), ku willi z ogródkiem, ku choćby kawałkowi własnej ziemi... I ci, i tamci, „zalegają z komornem" i dla jednych i dla drugich mizerota kamienicznik jest już uosobieniem ustroju kapitalistycznego, więc wcieleniem wszystkiego złego. Ale Kwaśniacy niemieccy wyzwalają się ze swego piekła w kierunku własnej „własności".

Mają zaś już tę „własność"... ci tam w Sowietach. Z powrotem. Po 17-tu latach. W bezklasowem marksistowskiem państwie spowrotem święte prawa własności. Przeszli przez erę kolektyw-

nego „żalpłoszczadiowania“ i miejskiego „upłotnienia“ (gęszczenia) i ze wstrętem i z obrzydzeniem odwracają się od tego... o czem się marzy Wasilewskiej i Drzewieckiemu. Powiastka Romanowa poucza właśnie, jakimto powinien być taki nowy sowiecki realnościowiec-kamienicznik, posiedziciel nieruchomości a właściwie *własnej willi*, a jakim nie powinien. Bolszakow ma odstraszająco i odstręczająco przypominać... Ropowiczów i dawnych posiedzicieli Czuczujskich, a Koczerygin, to wzór i model Stalinowskiego właściciela nieruchomości czyli posesji, ergo posesjonata.

Pytanie: coby teraz ludzie z książki Wasilewskiej powiedzieli, przewiezieni nagle aeroplanem pod Leningrad, gdyby ich tam postawiono pod żelazne sztachety czy bramę *willi* Koczerygina i gdyby zobaczyli, jak ten idealny bolszewik „kultywuje swój żardenik“, obcina pomidory, podlewa kalafiory i wogóle coś jakoś przypomina epiciera czy rentiera francuskiego. Już się tam zaczynają nawet ciągoty do... komfortu!...

W Warszawie cyfra zaległości podatkowych ze strony kamieniczników (kapitalistów) wynosi 79,5 proc. Kamienicznikiem po śmierci zostaje ostatecznie każdy, kto w Boga wierzy, bo pod kamieniem leży, na którym wyryto D. O. M. (dom).

Bismarck powiedział ongi o Polakach: „Dziwnie lekkomyślny naród i niedbały o dobra doczesne, stąd poszło, że stał się El-Doradem dla żydów“

Już trzydzieści lat temu powstał w Warszawie ulotny dwuwiersz:

„Nasze sklepy i kamienice, wasze kościoły i ulice“...

W powieści Drzewieckiego (Rosenberga) administrator domu i w pewnej mierze zły duch kamienicznika nazywa się Rubin; w rzeczywistej rze-

czywistości administratorami warszawskich nieruchomości bywają przeważnie Sarmaci, a *posiedzicielami właśnie Rubiny,* o grubych seidenbeutlach czyli jedwabnych sakiewkach z mamoną.

Niemcewicza: „3333 czyli Sen Niesłychany" należałoby wydać jeszcze przed Nowym Rokiem czyli przedtem nim zaczną z Palestyny stadami masowo wracać znowu Rubiny.

BOHATER POWIEŚCI FEUCHTWANGERA

Czerwiec, 1933.

Pisząc świeżo o „Genezie Nienawiści Hitlerowskiej“ użył jeden z Mannów dla skreślenia pobieżnego charakterystyki niemieckiego ministra propagandy, pana Goebbelsa, bardzo zastanawiających a całkiem niespodziewanych epitetów.

Dowiadujemy się więc z artykułu Henryka Manna, że „młody i ruchliwy minister oświecenia“, to człowiek „wykwintny i wrażliwy“, że „był znakomitym krytykiem, nawet ezoterykiem należącym do uświęconego koła poety Stefana George'a“, że odebrał „staranne ezoteryczne wykształcenie“... Poczem Henryk Mann pisze o *uśmiechu* Goebbelsa: „Istnieje bowiem uśmiech Goebbelsa o nieodpartym wdzięku, zdobywający mu serca“... Cały artykuł ma niby dowodzić, że Goebbels popełnił zdradę klerków, a przeszedł do prymitywów... ale... że... jednak...

Określenia, jakich użył, jakie wplątał znany niemiecki pisarz (czasowo na dobrowolnej banicji) dla scharakteryzowania „nowoczesnego kalifa Omara“ stoją w rażącej sprzeczności z konwencjonalnemi obelżywościami („kuternoga“, „kulawy trybun“, „demagog“), jakiemi posługuje się w pra-

sie brukowej, trotuarowej, rynsztokowej ta Tschandala (po staremu „swołocz"), która stanęła teraz w „obronie" popalonych i pohańbionych intelektualnych walorów i wartości. Śmieć jeden z drugim, wykarmiony na wydzielinach Pitigrillego i Margueritta zapluwa się z oburzenia i wstrząsu moralnego nad barbarzyństwem „wielkiego inkwizytora", który na stosach autodafe pali rzekomo dzieła... obu Mannów, a sam Henryk Mann pisze o Torquemadzie Goebbelsie: „wykwintny", „wrażliwy", „znakomity krytyk", „ezoteryk"... „z uśmiechem o nieodpartym wdzięku".

Trzydziestego maja roku 1933 przyjmowano Goebbelsa w Rzymie. Król Wiktor (z dynastji Sabaudzkiej) w towarzystwie całego ministerjum z Mussolinim na czele czekali na lotnisku Ciampino dwie godziny na przylot „kuternogi"... Na bankiecie pisarzy włoskich pierwszy przemawiał do Goebbelsa... Pirandello. Jakoś więc sobie daje radę „kulawy trybun" „z uśmiechem o nieodpartym wdzięku" nie zrażając się w minimalnej uncji wrzaskiem, rykiem, sykiem, piskiem, kwikiem, rżeniem, charczeniem całych rojowisk insektów z rozmaitych nor redakcyjnych i spelunek kawiarnianych w różnych miastach europejskich... Widocznie tedy ma mocne nerwy i pewien plan, pewne posłannictwo do spełnienia...

Zwiedzając potem Rzym, nowy, stary i najstarszy stąpał kuternoga (który się tak zawziął na tandetę ekskrementalistów) prawdopodobnie i po tych miejscach, po których kiedyś ongiś w niecałe kilkadziesiąt lat po narodzeniu Chrystusa stąpał także... Józef Flawiusz, bohater jednej ze skazanych na spalenie powieści Liona (sic?) Feuchtwangera. Opus monachijskiego pisarza noszące tytuł

„Wojna żydowska“ ma bowiem tworzywo zaczerpnięte z dziejowości dobranego narodu.

W ostatnich latach zaroiło się w literaturze niemieckiej od tematów ze Starego i Nowego Testamentu. Ten towar miał dobrą klijentelę. Zaczęło się to jeszcze od angielskiej „Salomy“ Oskara Wilde‘a. Teatralny sukces nagiej córeczki, tańczącej „perweśnie“ przed macochem Herodem podrażnił fantazję twórczą i zmysł handlowy rozmaitych utalentowanych geszefciarzy. Niejaki Meyer z Pragi, piszący pod pesudonimem Meyrink dał szybko „Golema“ dla tej samej klijenteli wielkomiejskiej, „Esterę“ wysunął na targi Max Brod. Zkolei pośpieszył z „Tamarą“ dr. Wolf (autor Cyankali), Erich Mühsam wyciągnął „Judasza“ (apoteoza), a Stef. Zweig „Jeremiasza“. Wobec tego Alfons Claar (recte Emil Rappaport) zaryzykował jeszcze raz z „Samsonem i Dalilą“, a nawet sędziwy nasz Nossig po swoich komedjowych „Hochstaplerach“ dał dramatycznego: „König von Sion“. Wogóle tematy biblijne i obrzezankowe stały się pewnikami (Haupttreffer, best-seller) czy to w beletrystyce, czy teatrze, gdzie zyskiwały pełną frekwencję: schodziła z afisza Ruth czy Betsabe, to wchodziła na afisz Rebeka lub Rachela, a publiczność wielkich miast niemieckich poprostu nie wychodziła z ziemi Chanaan, a jeśli już to najdalej do sąsiedniego Egiptu, kraju sprośnych Putyfar i czystych Józefów.

żaden temat nie leżał znów tak w charakterze i w indywidualnych predyspozycjach niejakiego Feuchtwangera „Liona“ (?), jak właśnie postać tego Józefa Flawiusza, najznakomitszego intelektualisty epoki rzymskiej, jakiego wydał ze siebie wybrany naród... „Lion“ (lew?) to obrotny, ruchliwy wszędobylski spekulant. Przy odrobinie „obro-

towego“ talentu odrazu mocna sytuacja na giełdzie literackiej. Równie dobrze i szczęśliwie mógł z tym kapitałem mózgowym zostać engrosistą wyrobów gumowych, jobberem zbożowym na „Picie“ w Chicago, jak współredaktorem „Manchester Guardianu“... Optował na rzecz literatury nadobnej i tu miał kilku wygranych kuszów giełdowych między nimi powieść „Jud Suss“, sceniczny faktomontaż historyczny o Warren Hastingsie, angielskiej East-Company i podbiciu Indyj: „Kalkuta, 4-ty Maja“, wogóle przedsięwzięcia w stylu osławionego z przekupstw Emila Ludwiga, swego czasu bardzo renomowanego skryby-voleura, autora t. z. historycznych monografij monumentalnych, kleconych na obstalunek à la minute (Schnell-maler), zachwycających nowych panów, nuworyszów i powojenne eufermy.

Poświęcamy tu więcej czasu i miejsca temu popisowemu okazowi klinicznemu przeznaczonej na spalenie a dziś już wymiecionej na gościnną Europę „literatury“ rewanżując się niejako temu bolszewikowi Ehrenburgowi, który tak pośpieszył się dwa miesiące temu z konterfektem negatywnym barda Hitlerowców Horst Wessela jako odwetem za panegiryk o tymże Wesselu Hansa Heinza Ewersa. Jeżeli bowiem Horst Wessel z jego „Schlageterem“ może być uważany za sztandarowego autora sztandarowego dzieła „„Nazich“, to znowuż Józef Flawjusz i jego autor „Lion“ Feuchtwanger najtypowiej symbolizują międzynarodowych „naszych“, ich koncepcję otaczającego świata i stosunek do reszty ludzkości (Kampf gegen die Umwelt).

Historyk „Wojny żydowskiej“ (Bellum Judaicum) Józef Flawjusz, to kwinta-essencja intelektualizmu judajskiego z ery cezara Wespazjana i jego syna Tytusa. Elementy psychiczne Flawjusza-

Azefa w większych lub mniejszych dozowaniach łatwo dadzą się odkryć i wydobyć chemiczną analizą z każdej większego kalibru indywidualności pisarskiej tego pochodzenia, odgrywającej większą rolę w narodzie „gospodarzu". Połączenie w jednej jednostce, w jednem indywiduum najskrajniejszej pozornie ugodowości, przystosowania się, przypodobnienia, asymilowania (Anpassung) (mimicry) i równocześnie najskrajniejszej odporności, odrębności, obcości i wrogości, oto co stanowi najgłębszą, najistotniejszą treść psychiczną i „kolor duszny" wielkiego Józefa Flawjusza. Azefizm w maksymalnym procencie. Dławiąca, gorączkowa, zżerająca nienawiść do świata i środowiska, na którem się pracowicie pasożytuje.

Bohater „Liona" Feuchtwangera potężnych Rzymian wielbi i nimi równocześnie gardzi. Zdradza Judajczyków z Rzymianami a Rzymian zdradza na benefis Judajczyków. Kiedy wojna żydowska kończy się spaleniem świątyni Salomona i rozpędzeniem Judajczyków na wieczne czasy Józefus Flavius pisze w stylu Cezara tej wojny żydowskiej historję sentymentalno-panegiryczno-heroiczną. W wygodnej willi rzymskiej przepychem otoczony *sclavus scribens.*

Lion Feuchtwanger anno Domini 1933 bierze pierwszego Azefa pod swoje „czarne skrzydła" i wybiela i czyści po adwokacku i tłumaczy „po ludzku", „humanitarnie", „zbliża"... i czyni pożałowania godnym, sympatycznym. Tak, zapewne, Sibarita, zgniłek, pieczeniarz, karjerowicz, dworak, szpieg, chytry, przebiegły, obleśny, wieprz, knur i poprostu świnia w każdym calu, zdrajca w każdej minucie, szelma w każdej sytuacji, gad, płaz, ale... Ale że, że to autor „Wojny żydowskiej", że potrafił zrobić wielką historyczną karjerę, od-

znaczył się, rozsławił, więc trzeba go „uprzystępnić“ i pokazać nawet jako model może nawet godny naśladowania...

W zwierciadle Józefa Flawjusza mogła przeglądnąć się ze satysfakcją i stwierdzić się w swem jestestwie moc znakomitości dzisiejszego świata, bo to i Sobelsohn (Radek) i Sauerwein i Herzog (Maurois) i Pollakow (Augur) i Kessel i Frauenstein (Lecache) i Asz i Basch i Rosenfeld („Humanité“) i Blum („Populaire“) i Mandel („Figaro“) i inne Flawjusze... z „Manchester Guardian“, „Pester Lloyd“, „Neue Freie“, „New York Tribune“... i sam Einstein i sam Trockij i dzisiejsze „Jud-Susse“.

To też nie można się dziwić wściekłości, z jaką płomienie stosów chwytały tonny takich tomów, jak Liona Feuchtwangera powieść o Józefie Flawjuszu.

I nie można się dziwić, że nawet poszkodowany i skrzywdzony niesłusznie Henryk Mann z takim respektem i z taką serdecznością skoncypował diatrybę, rzekomo przeciw Omarowi Goebbelsowi — wycelowaną...

ZIEMIE OBIECYWANE

Maj 1934.

Dużo teraz kłopotu będzie właściwie z tem: gdzie i jak? Na wielką skalę zaczyna się tak, jak na małą skalę z Samuelem Insullem i z Lwem Dawidowiczem Trockim. Bo właściwie nikt nie chce, a jednak tu i owdzie proponują o ile dałoby się przytem dużo, dużo zarobić. Paragwaj chce i Ekwador gotów odstąpić olbrzymie terytorjum, ale *gotów* za *gotówkę*. I Paragwaj i Ekwador widocznie cierpią na przejściowe kłopoty finansowe, którym aby jakoś zaradzić, każdej chwili na swoje łono przyjmą całe szesnaście miljonów. Nie mają nic do stracenia, a mogą wiele zyskać. Ofiarowują hojnie tyle a tyle set tysięcy kilometrów kwadratowych lasów i pampasów z polowaniami na pumy i jaguary.

Tymczasem inni znów wracają do tego Madagaskaru. Szczególnie uwziął się z tą „*idée persécutive*" francuski polityk François Poncet. I ma swoich zwolenników. Wszystkich przesadzić na Madagaskar. Na uwagę skromną, że tam przecież i trąd i trędowaci, odpowiada cicho, że trąd nie da rady i sam pierwszy ustąpi. A że tam ziemia żyzna, więc kolonizację lekko zniesie... Madagaskar.

Literat M. Rawicz zapalił się do Austryalji. Terytorjum olbrzymie, a kompletnie na północy pu-

ste. Dwa mieszkańce na jeden kilometr kwadratowy. Więc się wszyscy pomieszczą. Jakaś tam wyjechała już komisja ekspertów i ma zdecydować co i jak i od kiedy. Mają przyjść żółci Japończycy i Chińczycy i zalać wszystko jak potop, to może lepiej już, żeby tu zmontować Judenstaat na złość Japończykom.

Rzecz prosta, że raz po raz wracają i pomysły bardzo antyczne z przed lat więcej, niż trzydziestu. Widząc już teraz dokładnie, na co się to zanosi w Palestynie, jak groźnie zaczyna dymić wulkan panarabskiego rozbudzenia, zaczynają szukać i badać, jak do tego doszło, kto się przy tem upierał i dlaczego tam, a nie gdzieindziej? Jak to brzmiało dosłownie w ewangelji sjonistycznej?

Otóż w pamiętnikach Hercla (tom I strona 200 czyta się czarno na białem:

> „Mogę opowiedzieć panom w tej chwili wszystko o Ziemi Obiecanej, nie mogę tylko określić, gdzie ona leży.
>
> Kiedy ustalimy jaka część świata i jaki kraj mógłby wchodzić w rachubę, wówczas z największą ostrożnością rozpoczniemy kroki dyplomatyczne.
>
> Przez jakiś czas myślałem o Palestynie.
>
> Byłaby wskazana, ponieważ jest to niezapomniana siedziba naszego narodu, ponieważ nazwa sama byłaby już programem i ponieważ walnie przyciągałaby masy proletarjatu.
>
> Jednak żydzi *nie są już naogół ludźmi wschodu,* przyzwyczaili się do zupełnie innego klimatu i mój system przeniesienia żydów, o którym mowa będzie później, dałby się tam z trudnością przeprowadzić".

Also sprach dr. T. Hercl. Palestyna zaś to była właściwie idea Napoleona (wedle badacza angielskie-

go Guedelli), potem idea Disraeliego (w dwóch powieściach przeprowadzona), a wreszcie Dumasa (syna) w sztuce „żona Klaudjusza". Hercl był początkowo za Ugandą barona Hirscha. W r. 1896 dawał żydom sułtan Abdul-Hamid Anatolję. Mogli brać. Nie chcieli. Potem Hercl przechylał się ku Argentynie, uważając jako równomierną możliwość przesiedlania. Tradycjonalizm był mu tak obojętny, że nawet pozwalał sobie na „witze": „czy będziecie kupowali bilety kolejowe w Palestynie po hebrajsku?" Nie był więc prorokiem, czy jasnowidzem, figlarny feljetonista z „Neue Freie Presse". Jest hipoteza, że to Polak Newliński, jeden z wpływowych doradców Abdul-Hamida, a potem protektor Hercla, nakierował go programowo ku Palestynie. Już w r. 1913 zaczęły się z rządem portugalskim pierwsze pertraktacje o Angolę. Zangwill był jakiś czas Ekwadorczykiem... Ale już najzawziętszym antagonistą programu palestyńskiego okazał się stary, przewidujący Salomon Reinach (autor „Orfeusza"), który w r. 1917-tym dał „Morning-Postowi" taki wywiad:

„Powtarzam, że syjonizm i państwo żydowskie w Palestynie jest niedorzecznością; niedorzecznością jest państwo, które ma mieć za podstawę istnienia religję, gdyż przeczy to nowożytnym zasadom budowy wszelkich organizmów państwowych. Obszary, jakie syjoniści rewindykują dla siebie, przez 20 wieków przechodziły różne koleje: Persowie, Grecy, Arabowie, Turcy mieszkali na tych ziemiach. Było też królestwo francuskie w Jerozolimie. Palestyna jest kolebką chrześcijaństwa, a Jerozolima jest jednem z trzech świętych miast wyznawców Mahometa. żydzi, mieszkający w Europie, nie są żydami pochodzenia palestyńskiego. żydzi ro-

syjscy, polscy i galicyjscy, są potomkami Chazarów. Z tych wszystkich powodów **żydzi nie mają żadnych praw do Palestyny".**

Also sprach Salomon Reinach.

Teraz to sobie powoli zaczynają różni różnie przypominać i komentować, w miarę, jak przychodzą różne takie niemiłe depesze z Haiffy, z Tel-Awiw, Jerozolimy, a to z Damaszku i z Bagdadu, a to z Kairu i... Marakesz..., a to z pola walki, a raczej wojny zwycięskiego króla Hedżasu.

Więc tedy ci i owi znowu ze swoją Ugandą czyli Kenją, którą możeby i Anglicy ochotnie ustąpili, byle się pozbyć nawału zgryzot i kłopotów, jakie mają z Erec Izrael. W Londynie w pewnych kołach mocno ta Uganda znów wentylowana. A inni znów, żeby z Argentyną, gdzie najstarsze kolonje I. C. A. i gdzie finansowo i prasowo stoją bardzo silnie. Niektórzy znowu z wyspą Cypr. Ładna wyspa, też ma pomarańcze, inny układ celny z Anglją, businessy znacznie grubsze, tak że z Palestyny ni stąd ni zowąd nagle moc geszefciarzy już się przeniosło i różne „korporeszen" pozakładało.

W ostatnich czasach znów zgalwanizowano pomysły z Bir-Bidżanem na Syberji. Ten Usyszkin pesymista tak okropnie kracze o klapie palestyńskiej, tak... *gliwicuje* na temat, jak to będzie trzeba pakować manaty, że nawet Bir-Bidżan znów wypłynął, jako coś całkiem serjo. Podobno Litwinow dużo na ten temat rozprawiał, kiedy był w Waszyngtonie.

Gotowi pomóc. Felix Wahrburg i inni bankierzy stanęli za tem. Także angielski „lord" Marley. Ale na całkiem szeroką skalę. Nietylko ten tajgowaty kompleks ziemi nad rzeką Birą i Bidżanem, ale co innego: wielka autonomiczna, neutralna, wielka, republika tamponowa z Primorjem, pomo-

rzem pod patronatem Ligi Narodów, nietykalna, zabezpieczająca tyły od strony Japonji... wielka Neopalestyna... Tam żadnych Arabów już niema. Ziemia zaś urodzajna, nie taka ciężka i nieżyczliwa, jak... w Ziemi Obiecanej. Tuby nie uciekali, jak w Palestynie, do miast i na Cypr. Chyba do Chabarowska?... lub do Charbina? Może tu udałoby się łatwiej zrobić z luftmenszów Anteuszów... Primorje nad Amurom... 400 000 km. kw....

W każdym więc razie trzeba będzie którąś z tych „Ziem Obiecywanych" wnet wybierać, bo w Palestynie dobrze nie jest i zapowiada się groźnie. To też i moda na Palestynę powoli odpływa i zanika. Mimo przeraźliwego, ogłuszającego, obłędnego, ogłupiającego wrzasku, ryku, krzyku i wycia reklamowego, cyfry suche i mocne (cyfry przez Arabów wynalezione!), wyraźnie mówią, że stosunek proporcjonalny żydów w Palestynie maleje (MALEJE). W roku 1926 żydzi wynosili 19,4 proc. ludności, a w r. 1932 już tylko 17,1 proc. ludności. Zaczem cały wrzask piekielny to szacher, jak to mawiał Marx.

I choć z Warszawy aranżują teatralnie wyreżyserowane „masowe" wyjazdy chaluców, to to też jest lekki bluff i szwindel.

I pan Pierroth w „Naszym Przeglądzie" słusznie załamuje ręce:

> „Oto — zakomunikowano mi, że stałe, miesięczne, nikłe zresztą ofiary na Keren Kajemeth — składa w Warszawie — nie więcej, niż 600 osób. Słownie: sześćset osób. Powtarzam: sześćset osób! Na 320 tysięcy żydów w Warszawie — tylko sześćset rzuca niekiedy po parę groszy — do świętej skarbonki Wyzwolenia. Za Palestyną podnoszą się wszystkie ręce. Lecz

tylko w sześciuset dłoniach są grosze na wykup ziemi".

Całkiem zaś lojalnie, otwarcie i szczerze potwierdza to tygodnik żydowski „Opinja" (nr. 17 z 28 kwietnia):

„Sjonizm, a z niem wszystkie narodowo-konstruktywne czynniki w żydostwie, walczą i walczyć będą o odrodzenie i wyzwolenie narodu żydowskiego na całym świecie. Ze żydowską Palestyną łączymy nadzieje znormalizowania, a więc wzmocnienia obecnej naszej pozycji kulturalnej i politycznej w diasporze, jak z drugiej strony silne narodowo żydowskie skupienia mniejszościowe są kardynalnym warunkiem powodzenia dzieła odbudowy Palestyny, że niema mowy *o rezygnacji z naszego prawa do życia tam, gdzie żyjemy,* o które to prawa nawet po realizacji naszych najśmielszych marzeń palestyńskich, walczyć będziemy dla każdego żyda w galucie".

Galuth, to nie jest już tylko... Galicja, nie, obecnie jest to cała Sarmacja, całe mocarstwo. Niema mowy o rezygnacji z Polski. Będzie wnet mowa o rezygnacji z Palestyny, ale nigdy z Polski!... Trick z Palestyną *wzmacnia pozycje w diasporze,* głównie w diasporze polskiej.

Negatywne ustosunkowanie się naszych sfer miarodajnych do obozu walki z inwazją (ustosunkowanie z akompanjamentem represyj) w rezultacie definitywnym daje po 10 latach to, że tutaj już jest Uganda i Angola i Cypr i Madagaskar i Bir-Bidżan i Paragwaj i Argentyna i Australja. Pocóż więc się martwią, poco szukają, poco wracają od tradycjonalizmu do terytorjalizmu, od Hercla do Hirscha?

GDZIE BYŁY SODOMA I GOMORA

Grudzień 1934.

Aby się w Palestynie orjentować, dobrze jest od czasu do czasu mieć pod ręką także wydawnictwa niemieckie. Może bywają czasem nudnawe i pedantyczne, ale zawsze *najrzetelniejsze* i wyczerpujące temat. Ze świeżych przydatne i nieodzowne „Palästina-Bilderbuch“ H. Casparius, Wien. Moc oczywiście obrazków z podpisami w 4 językach: angielskim, niemieckim, hebrajskim i... polskim. Drugie „Palästina-Kunde“ Hugo Herrmana w 4 częściach z kartami, tabelami, diagramami. Wydane też we Wiedniu. Ale tak w pierwszem, jak i w drugiem stosunkowo jeszcze mało o tem, co tam najważniejsze, to jest pierwsze o Haiffie, przyszłym porcie wojennym, a już obecnie naftowym, a drugie o Morzu Martwem i jego ukrytych, tajemniczych skarbach...

Otóż spokojnie dyskretnie dokonała tam W. Brytanja olbrzymiego dzieła połączenia swoich naftowych „źródeł“ z Mezopotamji (Mossul) z „początkującym“ portem śródziemnomorskim w Palestynie z Haiffą. Przedsięwzięcie było w całem tego słowa znaczeniu gigantyczne. Sowiety z czegoś podobnego zrobiłyby tam-tamowy hałas jerychoński na cały globus. Anglja woli dyskretnie i to z różnych powodów... Wybudowano więc ruro-

ciąg *(pipeline)*, przechodzący przez kilka pustyń, rurociąg nad ziemią i pod ziemią. Pracowało do 30.000 ludzi. Gotowe było w półtora roku.

Finansowały gigantyczne przedsięwzięcie naftowe kompanje: holenderski Shell, Anglo-Persian-Oil, Irak-Petroleum Comp., no i amerykański Standard-Oil. W czerwcu połączono już poszczególne pipeliny części, a obecnie wali sobie ropa do tanków naftowych w porcie Haiffskim. Zbiorników nafty narazie jest 17, z czasem obiecywano sobie tyle miljonów galonów, że ta nafta mezopotamska pokryć miała jedną siódmą zapotrzebowania europejskiego. Tymczasem atoli klapa.

Miała zaś być ze względu na tę naftę Haiffa awansowana na główną bazę militarną W. Brytanji na Wschodzie, bazę dla „Big Flet". Dotychczas bazą dla tej floty była wyspa Malta, ta, której ludność włoska atoli inklinuje i manifestuje stale na rzecz Italji. Haiffa będzie wygodniejszą. W jej porcie zmieści się 40 pancerników, czy krążowników podobno całkiem wygodnie. A angielska flota śródziemnomorska karmi się nie węglem, lecz naftą, a nafta też potrzebna jest do życia hydroplanom i aeroplanom, których stacje cicho i dyskretnie rozbudowuje się też w Palestynie. Plaża dla kąpiących się syjonistów i syjonistek została w Haiffie zwężona do jednej piątej swej części; reszta wybrzeża dla nafty i dla floty.

Z tej samej Haiffy pójdzie też linja kolejowa do Akkaby i dalej do Bagdadu, na której to linji łatwo będzie można przerzucać wojska dla „pacyfikacji" rozmaitych emirów, beyów, królów i maharadżów, własną państwowość zanadto serjo biorących... I w ten sposób mała, maleńka Palestyna staje się najważniejszym „punktem grawitacyjnym" zagranicznej polityki W. Brytanji w drodze

do Indyj... Już to tego kraiku John Bull nigdy z rąk nie wypuści.

Drugim ważnym a nieco w cieniu trzymanym „punktem“ jest Morze Martwe.

Pisze się o niem bardzo skąpo, a tymczasem to temat wyjątkowo interesujący. Do tego Morza Martwego roszczą sobie jeszcze pretensję Turcy, gdyż mają zadawnione koncesje. Sprawa jest w sądach. W Izbie Gmin interpelował niedawno o te koncesje tureckie colonel Todd. Ale jakkolwiek sądy rozstrzygną... John Bull już „Morza Martwego“ z rąk nie wypuści nigdy! Dlaczego? Zaraz się przekonamy.

Jednem z wielkich dzieł, jakie przeprowadzili w Palestynie nowi panowie, czyli okupacja syjonistyczna, są bezsprzecznie zakłady elektryfikacyjne (Tel Or) zużywające siły wodne prastarego Jordanu. Dokonał tego inżynier z Rosji, emigrant, Pinkus Rotenberg; eksploatuje „Palestina Electric Corporation“.

Znacznie większą wagę w niedalekiej przyszłości będzie miało atoli drugie dzieło, to jest ożywienie „Martwego Morza“, dokonane również przez ex-rosyjskiego inżyniera Nowowiejskiego, eksploatowane przez „Palestine Potash Comp.“ (Potash-Works) i przez „Kalia Searside and Health Resort“.

Najpierw oczywiście trzeba sobie przypomnieć co to jest? Przedewszystkiem nie żadne to morze, lecz jezioro zaledwie nieco większe od Lemańskiego, czyli 920 km. kw. Ważne jest najpierw przez to, że znajduje się 394 m. poniżej Morza Śródziemnego, czyli że wogóle przedstawia najniższy teren na kuli o największem ciśnieniu powietrza i największej zawartości tlenu. Z tem mniejsza, gdyż to ważny szczegół tylko dla celów kuracyjnych. Znacz-

nie ważniejszy szczegół to ten, że to jezioro jest *przesolone.*

Kiedyś w bardzo odległych czasach było tu bardzo pięknie i nad tem modrem jeziorem porozkładały się dwa miasta: Sodoma i Gomora. Mieszkańcy tych miast okazali się zarazem niepohamowanymi erotomanami, a nawet zwyrodnialcami, zresztą mało pomysłowymi. Sodoma specjalizowała się w homoseksualiźmie, obywatele Gomory zaczepiali nawet mlekodajne kozy. Kiedy napomnienia i groźby Jehowy padały jak groch o ściany murów, Jehowa zesłał aniołów. Wobec tych nawet Sodomici zachowali się tak nieodpowiednio (szczegóły w Starym Testamencie), że przyszła wreszcie kara boska i oba miasta zostały doszczętnie zniszczone. *Nec locus ubi Sodoma fuerit.*

Krajobraz teraz zmienił się za karę na ponury i straszny. Same skały i skały. żadnej literalnie roślinności, żadnego zwierzostanu, ani ptactwa, ani drzewka, ani roślinki, tylko kamień i kamień, a w środku jezioro, złe jezioro o przeciętnej głębi 329 metrów, dochodzącej do 1200 metrów. A woda w tem jeziorze ciemna, martwa, oleista, tłustawa, lepka, brudna, ciemna, maziowata, cuchnąca, gorzka, jadowita, ługowata, trupia, wstrętna. Ani jednej rybki, ani jednego robaczka, ani ślimaczka, ani żadnego organicznego tworu. A na to miejsce bogactwa, nieprzebrane bogactwa, tajemnicze bogactwa.

Po jednej stronie jeziora, tam gdzie leżały Sodoma i Gomora, tam teraz urządzono modne kąpielisko. Okazało się, że ta woda obrzydliwa ma wartości lecznicze dla rachitycznych i reumatycznych. Z Jeruzalem 37 klm. autem, asfaltowaną szosą, jak do Konstancina. Więc kiedy tam w Jerozolimie zimno, to tu, gdzie zawsze do 40 st. C., przyjeż-

dżają przyjaciele wykąpać się w przesolonej mazi, wytańczyć (King-David-Caffe) i przejechać na motorowych statkach. Po drugiej stronie hard-labour (ciężkie roboty) eksploatacyjne inżyniera Nowowiejskiego.

Normalne zasolenie 26 proc. Poniżej 70 metrów głębi 30 proc. i więcej.

Chloru magnezjowego (obliczono) zawiera jezioro 22 miljardów tonn, chloru sodu 11 miljardów tonn, chloru wapna 5 miljardów tonn, bromu magnezjowego 1 miljard.

Są obliczenia jeszcze bardziej *przesolone*, że jezioro zawiera 41 miljardów tonn soli, że 81 biljonów potasu, że 583 tryljony tonn bromu, że soli potasowych starczy na 2000 lat dla całej ludzkości. Takie cyfry *przesolone* czytało się w syjonistycznych egzaltowanych artykułach.

W każdym razie bogactwa nieopisane i może istotnie „najcenniejszy punkt globu" (Dead Sea Potash Company Limited). Z tych składników chemicznych wiele bardzo ważnych jest tak dla wyrabiania wojennych materjałów wybuchowych, jak także do broni chemicznej...

W ostatnich czasach przeniósł się na stały pobyt do Jeruzalem i pracuje w tamtejszym Instytucie Agrochemji (w Rechobot) b. prezes i leader syjonizmu, znakomity chemik, dr. Weitzman, ten sam, który w czasie wojny oddał Brytanji takie usługi, jakie prof. Haber Germanji, za co głównie rodacy i współwyznawcy jego Palestynę jako siedzibę otrzymali.

Teraz ten genjalny izraelita (pochodzący z miasteczka Motyle pod Pińskiem) studjuje w swem laboratorjum nowe możliwości tak bezcenne, jak i niszczycielskie tych skarbów chemicznych,

które zawiera w swoich głębinach ożywione „Morze Martwe“.

Z rewelacjami o tem wystąpił kairski dziennik arabski „Al Balag“. W „Al Balagu“ określono to naiwnie, że dr. Weitzmann pracuje nad wynalezieniem „nowych trucizn“. Oczywiście prasa syjonistyczna rewelacje „Al Balagu“ wyśmiała, a angielska pokryła wiele mówiącem milczeniem, jak „pokrywane“ milczeniem jest to, że 90 proc. z inwestowanych w przemysł chemiczny 421.000 funtów szterlingów idzie na badania i eksploatowanie morza „Martwego“. Konspiracja zresztą pokrywała też całą działalność wynalazczą chemiczną wojenną prof. Weitzmana, jak zresztą i o odkryciach prof. Habera nic się długie lata nie wiedziało...

W każdym razie biedni, bardzo biedni Arabowie. Ale i... Europejczyków też czekają niemiłe niespodzianki.

ISTAKLAL

17 listopada 1933.

Kto gra w szachy, pali przytem fajkę, popija czarną kawę, a na kartce notuje cyfry wygranej czy przegranej partji, to powinien sobie jednak uświadomić, że wszystko to wynaleźli mu... Arabowie. I te cyfry i te literki i tę kawę i tę fajkę i te szachy i wiele wiele rzeczy innych!...

Pierwszy istniejący opis geograficzny zamierzchłej prastarej Polski dał także pisarz... arabski...

Wobec tego wypada nam chyba zająć się okazyjnie niedolą pewnej prasy... temcibardziej, że trochę cośkolwieczek pewne analogijki, to tam się i znajdą. W ostatnich latach nawet bardzo, albowiem dziwnem zdarzeniem okoliczności i tu i tam narodowa prasa w srogiej żywie opresji.

I tu i tam sypią się przeczęste konfiskaty, jakoże nie wolno to i nie wolno tamto, a konfiksacje idą zawsze w obronie i ochronie jednych i tych samych. Czasem jednego i tego samego dnia bywało, że tu wsadzają do kozy młodych Lachów, a tam znowuż młodych... Fellachów... za przewiny i nieprawostki te same. Poczem i gazetki, które się zanadto o krzywdach młodzieniaszków autochtonów rozpisały muszą być oczywiście karane, jakoże wtrącają dwa grosze do tego, na czem zna się tyl-

ko zwierzchność, „mandatarjusze" oraz *high comissioner*.

Za te same sprawki, czasem tego samego dnia, aresztowany bywa zajadły endek Obwiepolski w Częstochowie, a w... Betlehem zadzierzysty redaktor pisma „Saul al Arab". Zaczepiali znowu, kogo zaczepiać nie wolno; nie uchodzi! dla „złotego Cielca" respektu też nie okazali i wogóle, wyraźnie sobie z omnipotencji Geldhabów drwią i szydzą. U nas zamykają „Bogoojczyzniaków", u nich omal synchronicznie lokale... „Istaklalu".

Może się tak zdarzyć, że tu skazany będzie na grzywienkę śmiałek, co zniesławił Mońka Szapirę, a tam, w Nablus czy Sichem, zuchwalec, co obraził Szapirę Mońka. Ta sama jakaś ręka opiekuńcza (*hiddenhand* nazywają Anglicy) czuwa nad spokojnym biegiem dobrych „interesów" i w *golusie* i w *jiszuwie*. I ta sama karci ojcosko zbyt swarliwą prasę Lachów i Fellachów. I tu i tam, rosną też zastępy takich, w których szeroki ogół będzie widział i uwielbiał wnet swoich bohaterów i męczenników, zaczem i przyszłych... władców i zmienionej sytuacji panów.

W pierwszych dniach lipca otwarto w Jerozolimie wystawę arabską. Ani jedna wzmianka, wzmianeczka drobniuchna nie przeciekła o tej „Pewuce" arabskiej do prasy polskiej. Tak szczelnym *„ejruwem"* jesteśmy otoczeni. A na tej to wystawie była też sprezentowana i arabska prasa.

Jest sobie i taka. Nie trzeba bowiem wierzyć, że ci Arabowie, to dzicz, tłuszcza, czerń. Trochę kultury to tam jeszcze zostało, a ci, co znają Hiszpanję, twierdzą, że to nawet była kultura wielka, wspaniała, bohaterska, rycerska i gatunek ludzki podobno bardzo honorny: i nie kłamią i nie łżą i nie oszukują, a tylko nieco kłótliwi, zwadliwi

i często do korda i do stali (damasceńskiej), którą tak udoskonalili...

Prasa jest skromna! Ot, ledwo wegetują, przepychając z dnia na dzień. Jeszcze najlepiej prezentują się „El Felestin“ w Jaffie, dalej organ Egzekutywy arabskiej, oficjalny „Al Hajat“, no i organ wielkiego muftiego jerozolimskiego, Husseina „Janna al Arabia“. Gorzej już organ ugodowego burmistrza Jerozolimy, wroga familji Muftich, Naszaszibiego, „Meraat el Szark“. Są jeszcze „El Karmel“, raz po raz zawieszany, „Al Islamia“ w Haiffie, „El Dranea“ i kilka innych, efemerydalny żywot prowadzących. Znacznie mocniej rozrosła się prasa arabska w Damaszku, Bejrucie, w Bagdadzie, w Kairze, w Tunisie, w Marokku, na wyspie Cypr... w Ankarze..., w Mecce... Nawet w Paryżu wychodzi dwutygodnik chrześcijan arabskich, „Sarat Ess Shal“, pod kierunkiem Issa Ben Daka. Cała ta prasa oczywiście jeszcze w stadjum pacholęcem, gdzieniegdzie zaś w niemowlęctwie. Całe dziesięć lat temu czysto informacyjna, spokojna, grzeczna... a od deklaracji Balfoura i od słynnego listu („Mój drogi lordzie Rotschild“...) coraz mniej indyferentna, coraz bardziej rozpalająca się, dzisiaj dziko patrjotyczna, nacjonalna i, co to obwijać w bawełnę — endecka.

Tego cudu ze sennym i śpiącym, omal osiemnastomiljonowym „szczepem“ umiało dokonać tych kilkadziesiąt tysięcy przywędrowanych do Palestyny obcych przybyszów.

Palestyńska prasa arabska zamykana, zawieszona. Nawet arabskie pisma z Kairu mają wstęp zakazany do Palestyny. To samo gazety z Transjordanji, Syrji, Iraku, które wychodzą w... żałobnych obwódkach... no bo bądź co bądź bywa tam moc zabitych i rannych... bomby z gazami łzawią-

cemi... karabiny maszynowe w robocie; wdów i sierot dużo zostało po insurgentach i powstańcach.

Idą teraz ciężkie dni żałoby narodowej, a potem, wzdłuż całego Morza Śródziemnego: narodzie więzy rwij! Istaklal! Istaklal! co znaczy po polsku: „niepodległość“.

A tego słowa już tam z mózgów miljonów nikt nie wyruguje i nie wytnie. Te kilka dni październikowych miljony Arabistanu rozbudziły z letargu, z „kismetu“. Idzie ich godzina dziejowa...

Kto gra w szachy, pali przytem fajkę, popija czarną kawę, a na kartce notuje cyfry wygranej czy przegranej partji... ten już odtąd musi się interesować wyzwoleniem tych Semitów, którzy to wszystko i wiele, wiele jeszcze pięknych wynalazków dali ludzkości.

Istaklal!...

W PARYŻU STAWISKI, W PALESTYNIE STAWSKI

Roku 1933, 16-go czerwca obywatel polski Abraham Stawski nad brzegiem morza, na plaży tuż pod Tel-Awiwem w Palestynie, zastrzelił skrytobójczo spacerującego wieczorną porą wybitnego polityka i działacza żydowskiego dr. Chaima Arlosorowa. Małżonka zamordowanego, towarzysząca mężowi na spacerze natychmiast przy konfrontacji rozpoznała mordercę. Stawski miał wspólników w drugim emigrancie Rosenblacie i w inspiratorze morderstwa dr. Achi Meirze również obywatelu polskim, tym razem z Rzeszowa. Mord miał tło i powody polityczne. Dr. Arlosorow był reprezentantem programu politycznego umiarkowanego, zrównoważonego, *dążącego do ugody z nieszczęsnymi Arabami* i podtrzymującego współpracę z Wielką Brytanją, z jej mandaturą, z administracją i biurokracją. Dr. Arlosorow był właśnie w trakcie nawiązania jakichś pertraktacyj nawet z Berlinem, umożliwiających większy napływ żydowskiej emigracji z Niemiec, kiedy tę pracę dla swoich przerwała mu kula z browninga.

Szedł sobie wieczorem nad brzegiem morza znanym szlakiem spacerowym wraz z żoną, bezbronny, niczego złego się nie spodziewający, niebaczny. Kiedy dochodził pod mury starego cmen-

tarza arabskiego, obskoczyło ich trzech młodych ludzi, „obywateli polskich". Jeden poświecił latarką elektryczną w oczy napadniętego a drugi dał do bezbronnego trzy strzały z rewolweru. Poczem uciekli. Wszystko było zaaranżowane z premedytacją i planowo. Kilkanaście fałszywych świadków czekało umówionych, żeby widzieli ich równocześnie to tu, to tam w lokalach i gospodach w Tel-Awiw, więc alibi było przygotowane. Niestety, szczęśliwym w nieszczęściu trafem żona napadniętego zapamiętała dobrze twarz głównego zbrodniarza. Dr. Chaim Arlosorow przewieziony do szpitala tejże nocy jeszcze zmarł. Natychmiast policja rozpoczęła poszukiwania. Przeznaczono nagrodę za ujęcie mordercy, skromną oczywiście, to jest taką, na jaką rząd mandatowy angielski może sobie pozwolić, mając pewność, że sprawca nie pozostanie nieznanym. Na drugi już czy trzeci dzień ujęto wszystkich trzech „obywateli polskich": Rosenblatt, Achi Meir i Abraham Stawski z Tarnowa (skąd i Sobelsohn). Śledztwo i przesłuchiwanie trwały z górą sześć miesięcy. Aczkolwiek w okupowanej obecnie „Ziemi Obiecanej" napaści, morderstwa, rzezie, bratobójczy teror bez przerwy są na porządku dziennym, to jednak tym razem wstrząs „moralny" był olbrzymi. Cała opinja palestyńska omal jednogłośnie (wraz z rabinami) odrazu zwróciła się przeciw właściwym sprawcom mordu, wskazując ich palcami. Zamordowany był jednym z przywódców robotniczych a w programie miał ugodę z tubylcami Arabami. Świeżo wrócił z hitlerowskich Niemiec. Śmierć jego zadeklarowali żabotyńcy czyli wpół obłąkani, całkiem patologiczni szowiniści, nienawidzący obłędnie przedewszystkiem... Anglików (sic!), hitlerowcy na opak, to jest uważający wszystkie rasy ludzkie za

mierzwę, a siebie za elitę rasową, militaryści, falsefascyści, potomkowie Jozuego, nowi Machabeje. Ci to właśnie syjoniści-maximaliści, na których organ ostatnio zmienił się warszawski „Nasz Przegląd", rozpoczęli na olbrzymią skalę zaaranżowaną akcję obrony morderstw. Z olbrzymim ryzykiem zadecydowano zrobić ze Stawskiego nową ofiarę w rodzaju Dreyfussa. Tu trzeba dodać, że tak rabini palestyńscy, jak i notable żydowskie tamże, a więc miljoner pomarańczowy litwak Szmilański, jak i burmistrz Tel-Awiwu Dyzenghoff początkowo byli przeciw ingerowaniu do akcji obrończej, wiedząc dokładnie, kto jest mordercą...

I wtedy to czytało się w umiarkowanie syjonistycznej „Opinji" warszawskiej całą moc artykułów potępiających obóz Żabotyńskiego i jego terorystyczne metody, narzucane syjonizmowi przez litwaków z dawnej Rosji. Między innymi zaś taki charakterystyczny przedruk z „Jüdische Rundschau":

> „Chaim Arlosorow został zamordowany. Przez chwilę się wydawało, że cały naród stoi wstrząśnięty przed tym czynem. Straszna jest sama myśl, że mord mógł być dokonany przez żydów. Niezależnie od tego, czy się oskarżonym dowiodło winy czy nie, już sama możliwość takiego podejrzenia powinnaby była stanowić dla całego narodu bodziec do oprzytomnienia. Oskarżeni przeczą oskarżeniu. Ale już w śledztwie wydobyto materjał świadczący, że niektóre koła w narodzie żydowskim odnoszą się z sympatją do takich czynów, jak ten mord".

W toku śledztwa wszyscy wezwani kłamali, łgali, krzywoprzysięgali, kręcili, oszukiwali, wypierali się, odwoływali swe zeznania, znów kłamali, bez opamiętania. Przemęczonych i wprost chorych

z wysilenia i obrzydzenia sędziów śledczych musiano kilkakrotnie zmieniać. W śledztwie okazało się, że morderca jest tylko przypadkowem narzędziem, wybranem z mętów: karciarz, pijak, włóczykij, „verkommene Existenz“, od jakich roi się w Tel-Awiw, w Haiffie, w Jerozolimie i wogóle.

Ze Stawskim siedział w więzieniu arabski włóczęga, pono ex-komunista Abdul Medżid (może i prowok?). Tego to desperata namówili wspólnicy Rosenblatt i Achi Meir (z Rzeszowa), aby wziął winę na siebie. Tyle a tyle mu zapłacą, jak wyjdzie z więzienia, albo go nawet wykradną. I Arab niby dał się skusić. I zameldował się do sędziego śledczego i zeznał, że to on Abdul Medżid, zamordował dr. Chaima Arlosorowa. I poszły zaraz na cały świat telegramy radosne: „Zabił Arab Abdul Medżid“, a zgorączkowana Walkirja Wolman (Sieraczkowa) wyrżnęła kolejno 5 triumfalnych listów do „Naszego Przeglądu“ o niewinności „osiwiałego“ w więzieniu „młodzieńca żydowskiego“ (ma lat 27) Stawskiego (szofera z Tel-Awiwskich spelunek).

Aliści? Aliści przyszły pierwsze dni lutego i do sędziego śledczego znów zgłasza się Abdul Medżid. Nic nie pomagają perswazje londyńskiego mecenasa z rodu Samuelów. Arab zeznaje po raz drugi, że przedtem zeznawał fałszywie, że mu żydy tyle a tyle obiecywały. I wśród „jiszuwu“ skandal. Po paryskim Stawiskim Stawski palestyński. Prasa żydowska, a więc i agencje światowe i „wielka“ prasa starały się to przemilczeć, ale świat muzułmański dostał w ręce nowy atut, nowy argument w walce tragicznej ze *straszliwym* najazdem.

Słowo *straszliwy* jest już jednak na miejscu, skoro się zestawi bilans tragicznej kroniki palestyńskiej z ostatnich lat.

Na dorocznem zebraniu „National League" angielskiej w Londynie dziesięciu mówców, przeważnie z Izby lordów, dało wyczerpujący obraz tego przedpiekła, w które zamieniła się Ziemia Święta. W Jerozolimie od jakiegoś czasu wychodzi pod redakcją E. A. Ghory tygodnik angielski „The Arab Federation", broniący interesów skatowanej ludności tubylczej i domagający się likwidacji poronionego Balfouroskiego przedsięwzięcia. Ostatnio i w Rzymie zorganizowano „Komitet Obrony interesów katolickich" i w Watykanie zdecydowano akcję mającą na celu położenie kresu dalszej dechrystjanizacji miejsc świętych w Palestynie. Tu nie chodzi już tylko o ochronę Arabów i nie rozdrażnianie dalsze całego świata muzułmańskiego. To rzecz osobna i to są troski i zmartwienia angielskie. To rzecz inna. Tę sytuację i ustosunkowanie wzajemne dwóch narodów semickich charakteryzuje najtrafniej warszawskie *żydowskie „Nowe Pismo"*, gdzie czytaliśmy:

„W imię zdobycia ziemi, wyrzuca się z gruntów fellachów, którzy grunta te uprawiają z dziada pradziada. Cała bodajże nowoczesna kolonizacja syjonistyczna, te wszystkie „Emeki", „Wady" i inne „chluby" poalesyjonistów przesiąknięte są dosłownie *krwią i łzami wyrzucanych stamtąd mas arabskich*, znaczone są śladami karabinów, kulomiotów i pancerników angielskich, przy pomocy których syjoniści wygnali Arabów z ich ziemi".

Ten problem piekący i narastający gorączkowo rozstrzygnięty będzie inaczej, na wielką skalę, może i przy pomocy zdecydowanego już w Londynie podziału na dwie Palestyny z kilkoma *enclave* miejskimi.

Tu chodzi o co innego, o normalizację i pacyfikację życia potocznego wśród samych żydów. Tak dalej bowiem iść nie może. Te ciągłe manifestacje i demonstracje, walki bratobójcze grup z grupami, strajki, bojkoty, bitwy regularne, bomby łzawiące, teroryzmy, napady trumpeldorczyków na kibuczników, kibuczników na betarowców, betarowców na robotników z Histadrut, a znów radykalnej lewicy Hashzomer Hazair na umiarkowaną lewicę, te ciągłe awantury i burdy, rozruchy i obrzucania wzajemne jajami i demolowania lokalów, a wreszcie te krwawe już zamachy terorystyczne, lynczowania, kamieniowania i mordy (Fehmemordy) całkiem w stylu „Nazich" (z wiosny r. 1933) jednak muszą wreszcie się skończyć! Mordownia w Haiffie przez 4 dni styczniowe trwająca powinna była chyba ocucić i otrzeźwić całe 300.000 „Al Jahudim", otoczone spienionem wzburzonem morzem arabskiej nienawiści. Partyjnickie żydowskie rozwydrzenie, tolerowane w Polsce, w dalszym ciągu praktykowane w Erec Izrael, może mieć fatalne następstwa. Stawski w Palestynie zaszkodził żydom jeszcze więcej, niż Stawiski w Paryżu. Jeżeli emigracja ma się dalej rozwijać z pewnym chociażby nadal *bagatelnie minimalnym programem*, pomniejszać potworny balast Polski, to żydzi będą musieli wszelkiemi możliwemi metodami leczyć się ze swej *mental-cruelty*, zaprzestać tych ustawicznych samopogromów i lynczów i nie starać się wybielać takich Stawskich, którzy powinni być szybko wieszani na gałęziach cedrów Libańskich, czy też pomarańczowych drzewek z najbliższego pardesu.

W rok omal po zamordowaniu dr. Arlosorowa przez Tarnowianina Stawskiego nastąpiła roz-

prawa główna. Wdowie po Arlosorowie grożono wielokrotnie śmiercią, tak że musiała być specjalnie chroniona przed rodakami. Prasa żabotypów plugawiła ją co się zowie. Rozprawa trwała prawie dwa tygodnie. Inż. Rosenblatt jako współwinowajca odpadł. Stawski zachowywał się bezczelnie, gdy miał obiecany sukurs „całego cywilizowanego świata“. Achi-Meir kilkakrotnie „groził“ głodówką. Przy okazji przypomniano mu, że na wiecu studenckim tak *dosłownie* przemawiał do żydowskich korporantów w Jerozolimie:

„Jesteście korporantami z pozoru, z czapki i z wstęgi, ale nie macie w sobie ducha prawdziwych korporantów. Nie macie w sobie odwagi, by działać, jak korporanci niemieccy, którzy zamordowali Rathenau‘a (nie wchodzę w to, czy słusznie uczynili, czy nie), którzy zabili Karola Liebknechta i Różę Luksemburg“.

Ponieważ jednak sam nie strzelał, więc miał tylko sprawę o należenie do terorystycznej bojówki „Brith Habarjanin“.
Dalsze nici konspiracji terorystycznej sięgały aż wysoko do góry Machabelskiej opętanego psychozą militarystyczną odeskiego Bramarbasa żabotyńskiego. Wszyscy normalni, spokojni syjoniści na tego awanturnika politycznego wskazywali jawnem słowem i drukiem jako na właściwego promotora ohydnego mordu i autora jeszcze nikczemniejszej, puszczonej w obieg inspiracji, jakoby mord miał tło romantyczno-seksualne i Arlosorowa zamordowały „zbiry“nasłane przez pierwszego męża pani Arlosorowej. Wszystko, co jeszcze uczciwe i solidne w Izraelu potępiło ten mord bez zastrzeżeń. Ale ideę trzeba było jednak wszelkiemi sposobami ocalić i ratować. Zdecydowano w Syjonie

zdjąć winę z obozu rewizjonistycznego wszelkiemi możliwemi sposobami. Chodziło o to, aby sprawę jak najwięcej zagmatwać i zaciemnić. Podstawiono moc różnych „świadków“ łącznie z krzywoprzysiężnymi, którzy owego wieczoru widzieli karciarza Stawskiego w tej a w tej Tel-Awiwskiej restauracji. Z Londynu sprowadzono „kepełe“ adwokackie, spokrewnione z potentatami Shylockracji dr. Horatio (sic!) Samuela. Angielskich sędziów śledczych otaczano gęstemi pajęczynami kłamstw, zaprzeczeń, sprzeczności, „niezgodności“, oszustw. Korespondenci wszystkich warszawskich, wiedeńskich, paryskich i londyńskich „Momentów“ i „Hajntów“ załgiwali się wprost obłędnie, aby tylko ratować mordercę i jego kompanów. „Biedny Stawski osiwiał“ — pisała p. Wolman Sieraczko w „Naszym Przeglądzie“. Mordercę Arlosorowa Stawskiego skazano.

Przebywający w Ameryce największy i ogólnem mirem w żydostwie *dotąd cieszący* się Dawid Piński zaraz po wyroku dał żydowskiej prasie żargonowej wywiad, w którym powiedział:

> „Pierwszą moją reakcją na wiadomość o wyroku było, iż nie zdoła on nam zwrócić Arlosorowa. Właśnie propaganda i agitacja rewizjonistów uczyniła możliwem to zabójstwo. Szkoda, że żyd spowodował rozłam, który powstał w żydostwie i jest niebezpieczny dla przyszłości Palestyny. Musimy przyjąć wyrok sądu. Jest to słuszny wyrok, który opierał się na dostatecznych dowodach“.

W międzyczasie atoli „Mędrcy Syjonu“ postanowili inaczej. Mimo wszystko, mordercę trzeba ratować. Jest nowym „bohaterem narodowym“. Wyrok śmierci, to nowe „zabójstwo jurydyczne“.

W obronie mordercy wystąpił naczelny rabin Jerozolimy, a za nim szesnastu innych, którzy rok temu wyklęli w synagogach Stawskiego, Meira i Rosenblatta. Poczem wspólna enuncjacja 110 „czołowych osobistości" w Palestynie, między nimi pomarańczowy plantator Szmilański Mojżesz, burmistrz Dyzenghoff. Przeciw sławnemu Pińskiemu stanął pokątny wierszoróbca hebrajski, Saul Czernichowski. W Paryżu w obronie „faszysty" wystąpił komunista mecenas Henri Torres. W Warszawie podstawił łapę (jak zawsze, gdy gdzie kują) pornograf Blumenthal. I znów zaczyna się piekielne widowisko wedle znanej i wypróbowanej reżyserji: „Jak Abdul Medżid i Issa Darwisz zamordowali dr. Arlosorowa?" (artykuł dr. Jewina, korespondencja Miriam Sieraczkowej).

Robotnicza organizacja „Histadruth" ostrzegała, pismo „Doar Hajom" odradzało, ale to nic a nic już nie pomoże. Wpadli w szał, w obłęd masowy, w histerję. Już będą wyli na wszystkie głosy: Barabasza! Barabasza! Biedna wdowa po zasłużonym, spokojnym, normalnym działaczu i pisarzu wolała tajemnie wyjechać z *„Zauberreich der Liebe"*, z *„Prosperity-Landu"*. Za dużo wyroków śmierci dostawała.

A dziś wszystkie szpitale w Palestynie pełne rannych... po takich a takich awanturach, demonstracjach, walkach z Arabami i bitwach bratobójczych.

A w Tyberjadzie zawalonej głód i zaraza i nędza i pomór i kara Boża.

A gdzieś na dnie morza zapadł w piachy pierwszy wspaniały okręt żydowski z dumną nazwą: „Emanuel". Przed ośmiu miesiącami nabyty, we wrześniu r. 1933 wypłynął z Danji do Antwerpji, potem do Anglji, do Grecji. Miał całą załogę ży-

dowską i płynął pod banderą syjonistyczną. Po raz ostatni widziano go w porcie Pireus. Od 30 stycznia 1934 niema o „Emanuelu“ żadnej wieści i wszelki ślad zaginął..

Na wybrzeżu tego samego Śródziemnego Morza zamordowano Arlosorowa...

EWA KUSI GRAPEFRUITEM

Łatwo stosunkowo jest rządzić narodem, który powoli ale systematycznie, cicho, grzecznie i bez szemrania odzwyczaja się od jadła i napojów, od pokarmów i trunków. Takie coś większe bywa wtedy w pysku i można tem poganiać, jak się żywnie zechce. Coraz to chudsze i bledsze ale za to smuklejsze, no, i cierpliwe. Zapakować to to do klatek, to siedzi, wypuścić to to na luft, to se chodzi i chwali Boga, że mu się jeszcze pedały ruszają i za łokomocję nożną podatku się nie płaci.

W ostatnich sezonach oduczają się od mleka, od mięsa, od spirytualjów, nawet od ryżu. Za sanackiego króla asa milcz i zaciskaj pasa. Wnet będą się karmili tylko szczawiem, szpinakiem, kotletami z pokrzywy, popijając to odwarem z liści kasztanowych.

Mleka na ten przykład przeciętny Amerykanin nawet już w ciężkiej kryzie (rok 1932) wypijał na głowę rocznie 225 litrów, przeciętny Warszawianin na głowę rocznie 70 litrów. Toteż zaraz przez to skromniejszy jest i cichszy i do awantur mniej pochopny.

Spirytusu konsumcja też spadła ślicznie, co też wszystkim raczej na zdrowie i na pokorę wyjdzie. Ubój trzody chlewnej, owiec, wołów i t. p. także się skurczył, co się zowie, bo to i eksport całkowi-

cie spad a wewnętrzna konsumcja o 5 procent, o jeden kg. rocznie na głowę; w roku 1932 jeszcze bywało 19,26, a w tym roku Pańskim już tylko 18,31, a nikt tego nawet nie spostrzegł, że o 31 miljonów kg. mniej. O 60 procent spadł sobie wypiek ciast i ciasteczek, przyczem spożycie drożdży w mocarstwie z 913 (1932) na 403 tonny (1933) a jednak jakoś się żyje.

Tak mówi statystyka, a potwierdzają nasi bekono-miści.

No, i co z tego? A jednak żyjemy i ruszamy się, kiwamy głowami i palcami w bucie, a za to przynajmniej buty nie mamy, dumy, pychy, która nas przedtem rozsadzała i kazała nam powtarzać, że „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“, albo nawet zgoła po łacinie: „*habeas corpus*“ czy „*neminem captivabimus nisi iure victum*“...

Chudniejemy tedy, szczuplejemy, robimy się *sweelt i smart,* a zamiast ananasa, milcz i zaciskaj pasa, co wszystkim tylko na pożytek wyjść może, byle tylko przeżyć, przepchać się, wyjść z tego jakoś na czysto i przenieść się wreszcie na Bródno lub na Czyste, gdzie łaska. Martwić się przesadnie niema znowu tak czego, skoro nawet nas czeka nowe „Święto Morza“. A nadto nadchodzi sezon owoców. O tych to zaś owocach uczony belgijski van den Velde, którego nie należy mieszać z Vanderveldem, orzekł autorytatywnie, że mają najwięcej witamin i wogóle kaloryj i t. p.

Można się tedy bardzo łatwo obejść i bez pieczywa i bez piwa, i mięsa z bydła rogatego, które konsumenta robi rogatym, zadziornym, zadzierzystym, kłótliwym, buntowniczym, no i przedewszystkiem ciekawskim i stawiającym dookoła różne niedyskretne pytania.

Owoce nadchodzą i basta! Sezon owoców się

zbliża. Morele, gruszki, brzoskwinie, jabłka, śliwki, winogrona! *Mangei taci*, jak mówią w Italji. Jeść co dnia i milczeć, a pasa zaciskać ile się wlezie. Jeszcze owoców na każdego chyba wystarczy! Dziękować Bogu, że się nie potrzebujemy obżerać mięsem, od czego są wszystkie artretyzmy, reumatyzmy, angina pectoris, sejmokracja, przerost gruczołów politycznych i t. p. Przyjdą gruszki na wierzbach, przyjdą renety, kasztele, papierówki, to każdy będzie się mógł najeść do syta i dziękować Bogu, że nie jedzie do obozu campingowego, którego się tak domagali dla Polaków Menkes i Wasserzug, Hajnt i Moment, Betarowcy i Agudasy, Mędrcy Syjonu i kanalja z Orjent-Expressu.

Ale obok owoców krajowych, są przecież także frukta południowe, popołudniowe, podzwrotnikowe, tropikalne, i tropikantne. I te mają jeszcze więcej pono i witamin ukrytych i kaloryj zgoła pożywnych!

Mamy tu na myśli owoce „cytrusowe“, inaczej zwane „pampemusy“ nie jakieś zwykłe pomarańcze z Katanji, czy mandarynki z Egiptu! Te mają mniej witamin. Najwięcej witamin mają tylko i jedynie i wyłącznie grapefruity i to grapefruity z Haify, Jaffy, z Tel-Awiw, z Petach-Tikwa, z Daganji, jednem słowem grapefruity z pardesów, z kwuców, z moszawów, z kolektywów i komun palestyńskich!

Do tych to owoców rajskich, hebrajskich, namawia nas i przekonuje i kolega dziennikarz Cytryn i panna Ewa Pomeranz, starsza córka tego Pomeranza, co to miał sklepiczynę z owocami na Granicznej, a teraz przenosi się na Nowy Świat, zakładając „Nowoczesną Owocarnię“ z neonowemi lampjonami i obsługą damską w „lnianych serdakach“.

Chodzi bowiem o to, aby Polska nauczyła się raz wreszcie znacznie więcej importować z Palestyny. Dotychczas bierze bardzo mało: Trochę fig, daktyli, rodzynków, migdałów, oliwy, tytoniu, wina Karmel i paczki z grapefruktami.

Co to znaczy? Co komu z tego przyjdzie? To jest minimalny mikroskopijny udział we wzajemnych obrotach dwóch przyjaciół do grobowej deski. A tu trzeba się ratować obopólnie.

Na te cytrokulturę palestyńską idzie już krach „globalny". Zanadto to rozbudowano, za szybko i za szeroko, zanadto jednostronnie. „Monokulturą" nazwał to dr. Rotenstreich, który domaga się nawet pardesów i to na lat pięć; Również grozi i pomstuje największy plantator, miljoner Szmilańskij z Rochowoth jubilat: *stop pomerance!* Zanadto się rozrosło a nic więcej obok tego z normalnych ziemiopłodów.

Bo i co dłużej ukrywać. To było najłatwiejsze i najmniej znojnej, ciężkiej serjo pracy wymagały takie gaiki z równolegle zasadzonemi drzewkami. Toteż najwięcej przytem pracowały właściwie dziewczyny i panienki z największem zamiłowaniem do ogrodowizny.

Ostrzegano z różnych stron. Nie słuchali. 30 proc. ziemi leży nadal odłogiem, a wraz z południn. pustynią 60 proc., a na 3.777 km. 150 km. kw. pod plantacje pomarańcz. Inne źródła dają inne cyfry, ale w każdym razie w całej Palestynie (nie większej jak Wileńszczyzna, lub województwo kieleckie) nic tylko pomarańcze, cytryny i grapefruity. Trudniejsze oliwki już ich nudziły i nużyły, a eukaliptusy i cyprysy hodowali sobie w... doniczkach. Toteż i doszli z produkcją do imponujących cyfr: w r. 1928 półtora miljona skrzynek, a w r. 1933 4.350.000. W sezonie owocowym bieżącym

blagują, że do 10-go kwietnia już poszło 5.304.540 skrzyń, a już wyplatają bzdury, że 200.000 dunamów ziemi pójdzie pod pomarańcze, a za kilka lat będzie z tego 20 miljonów skrzynek i cały świat niemi zasypią.

Wierzą w to naiwnie jak noworodki literaty. Natomiast stare wygi plantatory, importery, kantorzysty, bankiery (Ben Tuwim, dyrektor Anglo-Palestina B) załamują już ręce.

Idzie krach, idzie krach, już puka do frontowych drzwi. Kto dotychczas kupował te skrzynki? Anglicy pierwsi choć nie najwięcej! Przez dwa lata Brazylja i Afryka Południ. założyły olbrzymie plantacje i za tańszy pieniądz odstępują lepszy towar (w zimie i z aromatem). Drugie szły Niemcy. Jeszcze więcej brały. Nawet w r. 1933!!! Zdradził to p. N. Szwalbe w artykule p. t. „Perspektywy gospodarcze“:

„Niemcy okazały się w roku ubiegłym jednym z najpoważniejszych odbiorców pomarańczy jaffskich na kontynencie europejskim, importowały bowiem na sumę 373 tysięcy funtów (w roku 1932 na 332 tysiące). Eksport z Niemiec do Palestyny wzrósł wszakże znacznie mocniej, doszedł bowiem do 1.193 tysięcy podczas gdy w roku 1932 wynosił 775 tysięcy funtów“.

Hear! Hear! Słuchajcie! Słuchajcie! Więc w tym roku, w którym tysiącem głosów, w tysiącach artykułów wyli o bojkocie, w Palestynie kupowali od Niemców i sprzedawali Niemcom całe góry pomarańcz i grapefruitów.

Z tem się teraz już skończyło.

Za bojkot i Greuelpropagandę Niemcy przeszli do retorsji. Już tam przez Triest jedna skrzyneczka nie przejedzie. Już z Hiszpanją układ handlowy

zawarty. No, i teraz zostają ze swojemi skrzynkami na łodzie i na wodzie. A z plantacyj będą plajtacje i płacz i zgrzytanie zębów.

Wobec tego teraz z afektami do szkalowanej przez czternaście lat Polski:

„Wy mięsa już prawie nie jadacie. My jeszcze jadamy, choć w Warszawie koszerne kilo o 40 groszy droższe. Jeszcze nas jednak z trudem stać na tę troszkę. Ale mamy grapefruity. A was bardzo kochamy. I nawet, jak jesteśmy w Palestynie, to ciągle o was mówimy i do Warszawy tęsknimy. Macie znów szczęśliwie okazję, żeby nas ratować. Nasz bilans handlowy deficytowy. Cała sympatja Jiszuwu jest po waszej stronie, Polski. Nasz import podskoczył ostatnio z 7,77 na 11,12 miljonów funtów. Wyście z tego coprawda nic nie zarobili. Sery sprowadzaliśmy z Łotwy (sic!); jajka z Turcji, masło z Argentyny, od was tylko trochę mebelków, rury, kotły, marynarki i kalesony. Byliście przez dziesięć lat na dziesiątem dopiero miejscu, jak stwierdził sam pan prezes P. K. O. Ale my obiecujemy poprawę stosunków i pogłębienie. My będziemy dla was „bramą wypadową" do zdobycia rynków Bliskiego Orjentu, dziubuśki! Tylko teraz zlitujcie się nad waszymi Benjaminkami. Palcie nasz tytoń!! Zróbcie zniżki celne na naszą cytrokulturę! I zjadajcie masowo i musowo nasze grapefruity!".

Tak kusi panna Ewa Pomeranz pod drzewem od wiadomości złego i dobrego geszeftu.

A my, jakto my. Adam uległ. To tam i z nami niewiadomo, jak będzie. W roku ostatnim choć tam mamy własne sady i własnych sadystów, to jednak na obce frukta wydaliśmy okrągło 13 miljonów 672.000.

W tym roku jeszcze bida większa, cięższe czasy, zaciśnięte pasy, no i owoców też się mniej konsumuje.

No, ale jak oni każą, to próżno i darmo. Ani Święty Boże nie pomoże! Będziem się zażerali grape-fruitami, byle tylko ratować Syjon z katastrofalnej opresji.

POCZĄTEK KOŃCA
1934

Zawsze się gościom (gość nieproszony) odradzało, jeżeli już nie wprost, to między wierszami, żeby się conieco oszczędzali i nie wyładowywali takich olbrzymich zapasów nienawiści i wścieklizny przeciw tym tam z Berlina. Biorąc in summa summarum, jeszcze nie tacy *straszni jak ci, co dopiero nadchodzą.* Sami goście przyznają się, że liczą w Niemczech 150 zabitych, conieco w ucieczce jeszcze, a oficjalnie skazanych na banicję 1.300. Reszta sama uciekła, a teraz pono wszystkiemi bokami i kątami, przez zieloną granicę i tylnymi schodami sobie najspokojniej wraca. Takie wieści pantoflowe przyszły do Warszawy (Agencja): „Magiel Parowy") i szerzą się po kawiarniach i po przedmieściach: masowo wracają żydzi do Niemiec. Coś się tam święci, coś się tam dzieje. Coś się tam zmienia. W każdym razie — baczność! Dość, że raczej odprężenie. Może ich tam pewną porcję wpuszczą, a kiedy zaczną chyłkiem spokojnie wracać i greuelpropagrandziarze, to się tam z nimi rozprawią, a przy okazji i resztę conieco przykładnie „obsztorcują". W każdym razie w tem obłędnem stadowem ujadaniu i przeklinaniu po dziesiąte pokolenie była gruba Berta przesada. Ale w każdym drugim razie: Schleicher odszedł, ale

Streicher został. Nie jest tak dobrze, ale nie bywało tak źle znowu. Trochę więc wściekłości i przekleństw trzeba było jednak zamagazynować, bo mogą się przydać na później. A może nawet wnet. Ale w całkiem innej świata stronie.

Następny akt będzie się dział gdzieindziej całkiem, bo nad Morzem Śródziemnem. Wzdłuż całego Śródziemnego, Czerwonego, Czarnego, Martwego i może nad zatoką Perską. Ten akt właściwie już się zaczął. Nosi tytuł: Islam się budzi.

Piątego sierpnia w Tracji, w mieście Kirkilisse nad wieczorem kończyła się rozprawa sądowa. Sześć osób oskarżonych o napaści na bogatych kupców skazano na karę więzienia od 3 do 6 miesięcy... Ale trzech wysokich urzędników, którym przypisują miejscowi „Lewantyńcy" główną winę ostrych pogromów, zostało całkiem uwolnionych. Tego samego dnia atoli wybuchły „dausze" (judenhece) w Smyrnie o „charakterze przeważnie gospodarczym"...

Z Tracji tureckiej przenosi się psychoza do Tracji greckiej. Jak pismo „Akszam" w Stambule, tak w Tracji greckiej znów grecki „Efros" rozpoczęło „ordynarną kampanję". Niepokoje przeniosły się i na wyspę Rhodos, znaną z przysłowia: hic Rhodos! hic salta! Zobaczymy, jak tam zatańczą. W każdym razie władze tureckie (jak zapewnia Żat) nie będą tolerowały żadnych wystąpień, no i jak w Atenach premjer, tak w Angorze premjer-pasza jeszcze raz na wszystkie strony radjował, że spokój normalny będzie przewrócony, czy też przywrócony. Od tego są ministry, prezydenty, żeby żydom prawiły komplementy. Bądź co bądź jednak poszło znowu sporo młodych Turków do więzień i siedzi tak, jak siedzą Polacy, Rumuni, Grecy, Austrjacy, Kanadyjczycy, Transwalczycy, Ar-

gentyńcy, Afganistańcy, no a wszyscy wszędzie za to samo, za walkę, wypowiedzianą Shylokracji złotej i czerwonej...

Na drugi dzień po Kirkilisse poszli znów gromadnie do więzień Algerczycy. W tem samem Constantinie, w którym zeszłego roku, wybuchły rozruchy i teraz. Ale już nieco znacznie większe. żołnierz izraelita wolnomyśliciel wszedł do meczetu i zaczął pijany pyskować. Pewnie mu przyszło do łba: precz z Allahem! Heil Trocki! Jeden wystarczy. Od jednego się zaczęło i wraz duży pogrom, niczem na Ukrainie, choć Puryszkiewiczów niema.

Zeszłego tygodnia w jednem miasteczku trackiem zdemolowali Turcy 65 domów i tu także nie obeszło się bez pustoszeń w dzielnicy bogatych bankierów i bajkowych bankietów. Kiedy sami Gallowie nie mogli sobie dać rady z rewolucyjnie podnieconymi autochtonami (Arabami), sprowadzono Sene-Gallów, czyli czarne wojsko. Balance of power. Divide et impera. Strzelców senegalskich na Arabów algierskich. Nie jest dobrze wyznawcom Mahometa pod berłem brytańskiem, ale nie jest też dobrze pod francuską batutą. Opisał to niedawno poseł „Cat“ w „Słowie“, stamtąd powróciwszy:

> „Cóż za potworny wyzysk stosuje Francja wobec różnych państw arabskich, wobec takiego Marokka, wobec skarbu tego państwa, jego finansów, jego życia gospodarczego. A przecież Marokko, to nie murzyni, to Arabowie, to ludzie o wielkiej kulturze. W Casablanca jest cały kwartał domów publicznych, strzeżonych specjalnemi bramami. U bram stoją żołnierze. Pułki mają dostęp według dni. Dziś idą spahisi, jutro żuawi, pojutrze artylerja konna, a we czwartek strzelcy senegalscy. Ten kwartał do-

mów publicznych należy do towarzystwa akcyjnego i wymieniano mi barokową nazwę loży (wszystkie nazwy lóż są barokowe), której „bracia“ wchodzą do zarządu tego towarzystwa akcyjnego“.

Można sobie teraz wyobrazić wzrost dekonfitury i malkontencji arabskiej (mahometańskiej) na całem pobrzeżu od Constantine — Tunis, dalej po Aleksandrję i Kair i dalej Jaffa — Haiffa i aż do Stambułu, kiedy znów gruchną wiadomości o 70 ciężko rannych i 20 zabitych, a „według informacji ze źródeł prywatnych“ liczba ofiar znacznie większa.

Znów młodzież w kairskim uniwersytecie „Al Azhar“ ogłosi strajk jednodniowy. Zgrzytanie zębów: Król królów w Mecce i pan panów w Teheranie. Pójdzie pomruk narastającego gniewu i w Iraku, i w Iranie, i po Wahabitach, i po Wafdystach i przyjdą znów demonstracje i w Bejrucie i w Bombaju...

W Chicago, gdzie dolar Shylokracji rządzi, wystawiają teraz: „The Romance of a people“, osiem obrazów z dziejów narodu wybranego. Wielki przepych a nagich golasów girlsów tańczy pono tysiąc przed Salomonem, czy przed Herodem. Tak się chwalą w swej prasie. Tam „The Romance of a people“, a tu się zaczyna „The Tragedy of a people“:

Fatalnie żydzi zrobili, że zadarli tak straszliwie z całym światem muzułmańskim. Z Niemcami jeszcze walczą jako tako. Wygląda to jak python z aligatorem. Kości trzeszcza a ludzkość przerażona patrzy ze zgrozą na dwie rozsierdzone bestje. Tu zsemitylizowane i zdeprawowane metropolje jeszcze podtrzymują wigor i wytrzymałość śliskiego

Pythona. Przekupiona prawie cała prasa podsyca płaza i złorzeczy Kajmakanowi.

Tam, nad Śródziemnem pójdzie inaczej. Islam się budzi, porozdzielany na cały szereg państw i państewek, ale w wierze jednolity, w poczuciu rasowej spólnoty co tydzień aktywniejszy.

I są Anglicy, co przewidują dokładnie dalszy rozwój wypadków. I ostrzegają! Ale ci są przemilczani. W Izbie lordów była przed zamknięciem z końcem lipca dyskusja. Całą przed nami zatajono. Po stronie syjonistów, w interesie inwazji mówili lord Melchett i lord Reading (Rufus Isaacs). Po stronie Europejczyków lord Tempeltown i lord Harewood. Ostrzegali.

Wielka „National-League" zwołała specjalne zgromadzenie w obronie Arabów. Przewodniczył lord Hereford. Były gubernator wojskowy Jerozolimy, pułk. Waters Taylor wygłosił przemówienie. W skróceniu podajemy je tu za „żatem", w prasie polskiej przemilczane:

> „Pod względem geograficznym, historycznym, językowym i kulturalnym Palestyna stanowi część składową świata arabskiego. Armji brytyjskiej, która udała się na zdobycie Palestyny, nie mówiono, że idzie ona walczyć o „żydowską siedzibę narodową"! Przeciwnie, zapewniano nas, że walczymy o sprawę arabską, jak o swoją własną. W szeregach tureckich byli żydzi, którzy w *naszej* obronie oddali swą krew i mieli wielkie zasługi, za co otrzymali wynagrodzenie pieniężne. Ci żydzi byli z nami i mieli stać się zalążkiem osiedla *(home)* żydowskiego w Palestynie. Ale zostali steroryzowani przez syjonistów, a syjonizm był pierwotnie ruchem idealistycznym, niebawem jednak przekształcił się w materjalistyczny i wojowniczo-

polityczny, kierowany przez międzynarodowe żydostwo i finansjerę. Te ostatnie ukrywają się za *dymną zasłoną idealistycznego syjonizmu*... Czy żydzi byli nam kiedykolwiek wdzięczni? *Nic, prócz zgryzot nie mieliśmy od nich*. Oczerniali nas w Genewie... Zdobycze żydowskie w Palestynie są istotnie zdumiewające, lecz dobrobyt palestyński jest dobrobytem czysto żydowskim. *Arabowie nic na nim nie zyskali*. Międzynarodowe żydostwo inwestowało w tym kraju 45 milj. funtów szterlingów i to oczywiście stworzyło pozory dobrobytu.... Gdyby w Palestynie nie było angielskiego garnizonu, nie byłoby tam ani żydów, ani żydowskiej siedziby narodowej. Żydzi uskarżają się na Hitlera, lecz Arabów traktują gorzej niż ich Hitler".

Tak mówił colonel Waters Taylor, b. gubernator Jerozolimy, na zgromadzeniu Ligi, a zdanie jego podzielają wszyscy wojskowi, wszyscy urzędnicy, cała administracja, której członkowie choćby przez rok mieli ciężkie zadanie urzędowania w Palestynie.

Tak samo wypowiedzieli się i b. minister Shiels i statystyk E. Mills. I Plumer i Passfield. I generał Bolls, który pierwszy (przed Allenbym) tam wkraczał i były minister kolonji Cunliffe-Lister i doradca Abdullaha (Transjordanja) col. Cox i cały szereg komisyj różnych, które nad tym węzłem gordyjskim w różnych czasach debatowały.

Z ich raportów i ostrzeżeń możnaby całą księgę (pomarańczową?) ułożyć.

Niespełniono obietnic. Jeżeli nie Lawrence'a, to gen. Mac Mahona i Allenbyego. I to się mści. I będzie się mścić.

Syjon to epizod. *Dausze* w Adryanopolu (Tracja) i w Constantine (Algier) to tylko próby i tre-

ningi. Jeżeli Izrael się nie opamięta, będzie miał do czynienia z Izmaelem, z Islamem i z Istaklalem... Same bomby na Bombaj nie dadzą rady budzącemu się nowemu ruchowi mas nieprzejrzanych i nieprzeliczonych.

NIEDROGIE EXTAZY

Trzeba to skonstatować, że świat dziennikarski znacznie więcej teraz podróżuje po całym świecie Bożym, niż przed wojną.

Namnożyło się bowiem na głobie wiele takich makrokosmów państwowych, które z różnych względów potrzebują poparcia opinji publicznej na świecie, na rozmaity sposób kultywują tak zwaną propagandę, inaczej mówiąc: *fishing of compliments.* Przeważnie więc zapraszają do siebie mniejsze lub większe ekipy prasowych potentatów dla sprezentowania im rezultatów swoich „radosnych twórczości" (Potemkino, potem... radjo). Im taki kraj ma więcej grzechów na sumieniu, tem namiętniej zaprasza gości na naoczne ogiądanie postępów kulturalnych, jakie wyczynił w ostatniem *decennium.* Szczególnie, gdy państwo zmieniło swój ustrój (przepędziło dynastję) albo dynastja właśnie sprawuje się niezbyt przykładnie, albo przed wybuchem nowej rewolucji, lub zaraz po wybuchu, podczas t. zw. stabilizowania stosunków i krzepnięcia nowej „elity", dalej tuż przed bankructwem lub już po bankructwie, ewentualnie gdy się zamierza znowu gdzieś kogoś naciągnąć, wtedy zaprasza się dzielnych *spec*'ów pisarskich, którzyby te cuda, co widzieli pięknemi potem słowy opisali. Pokłosie takich opisów z superlatywami prezentuje się następnie swoim wiernym poddanym,

szczególnie pod nos wtykając obywatelom-opozycjonistom. Poczem już spokojniej rządzi się dalej, znów improwizując i fuszerując, co się wlezie i zmieści.

Jak myśmy więc nieraz zapraszali, tak i nas oczywiście teraz zapraszają, szczególnie tam wszędzie, gdzie coś się pruje, psuje, nie klapuje. Gośćmi jesteśmy tam milej widzianymi, że jako gatunek świeży, młody i „wszechświatowo“ debiutujący, po powrocie nie szczędzimy komplementów i superlatywów dla krajów amfitryońskich: skąd tylko kto wróci, każda „liszka swój ogon chwali“ i cuda, cudeńka rozpowiada... Dziwić się temu to tak całkiem i nie można i nie wypada. Widywali przeważnie *fasady* i to oświetlone *a giorno*. *Cadılac*'i zawoziły, *Hispano-Suise* odwoziły, stale auty (często... autostrady), a wieczorami... rauty. Tu i ówdzie albo królowa z dworem (np. w Sardanji), albo prezydent z orszakiem, względnie miejscowy dyktator opatrznościowy „*ghazi*“ albo „*principe*“ (jak w Macchiavell'u...). Jak się to i dziwić młodziankom potem, że za powrotem na szpalty cierpliwego papieru wylewane są entuzjazmy i ekstazy. Ten rozczulony Hiszpanją królewską za Primo de Rivery, a w rok potem w tej samej gazetce polskiej... następny upojony Hiszpanją republikańską za rządów Sancho Pansów. Z relacyj turystycznych tego jednego okazuje się, że dotychczas osławiona kociokwikiem Ryga jest jednak najpiękniejszem miastem obu hemisfer. Nigdzie niema tak pięknych nowych gmachów, jak w... Albanji, natomiast najpiękniejsza plaża świata jest wyłącznie w uroczej... Estonji. Kapitan Lepecki nie ma dość słów zachwytu dla syberyjskiej republiki radzieckiej, podczas gdy inny major czy pułkownik znalazł znów prawdziwe Eldorado w Boliwji względnie w Honduras.

Ten upojony czarem krajobrazu Mandżukoo, a tamten odnajduje niepospolity „wdzięk“ u Łotyszów. Tego oczarowała dozgonnie Liberja, a tamten nie rozumie, dlaczego nie zwiedza się masowo Nowej Zelandji, albo też Australji całej. Przeważnie wszyscy nasi piszący wojażerowie oburzeni są tem, że tak mało nasz naród interesuje się Islandją względnie Irlandją, choć i od... Hondurasu „moglibyśmy się tego lub owego nauczyć“, nie mówiąc już o Meksyku, oczywiście nowoczesnym. I również wszyscy nie mają dość słów zachwytu nad omal staropolską gościnnością, nadspodziewanie odkrytą a to w Sardanji (Caillavet i de Flers), a to u Finnów, a to u Bułgarów. Można być pewnym, że i stara, poczciwa Macedonja, zaprosiwszy piszących turystów z Polski, dobrzeby na tem wyszła i okazała się czemś w rodzaju „*Alices Wonderland*“, czyli terenem ustabilizowanym i unormalizowanym jak w... bajce. Świadczy ta wrodzona, potężna i szczerozłota zdolność do uniesień z jednej strony o młodzieńczej chłonności i emocjonalności, z drugiej zaś strony o pewnem, że się tak wyrazimy, piekielnem zblazowaniu szarą i do pewnego stopnia, że tak powiemy, cholerną rzeczywistością własnego *home!* Każdego, co się zdoła wyrwać poprostu na kilka dni z „ojczyzny łona“ choćby do Sardanji, ogarnia i rozpiera jakiś szał radości, przyczem nie zbywa i na przypadkach lekkiego rozmiękczenia cerebralnego u nawet zatwardziałych sceptyków.

Rekordu takiego ogorzenia galopującego i typowo miesięcznego (bo po miesiącu pobytu) dostarczył młody, sanatorny konserwatysta p. K. Prószyński swoją książeczką o... Palestynie. Kraj to jest, o którym wychodzi na świat mniejwięcej jedna książka może nie dziennie, ale w każdym razie

miesięcznie. Opisana, ofilmowana jest tam teraz każda piędź ziemi i pod względem reklamy wyeksploatowana, co się zowie. Coś nowego powiedzieć na ten temat byłoby pod *każdym* względem tedy trudno. A jednak już świeżo powiedział znów Francuz p. Jean de Krlecque *(„Israel en Palestine“)*. Pan Prószyński popisał i popisał się tylko ekstazami. Bez cienia własnego sądu dał się biernie, po „sławiańsku“ zasugestjonować, zahypnotyzować gościnnemu otoczeniu..., „prezesowi“ Farbsteinowi... i grubej książce Millsa... I nie odmówił sobie przy tej okazji i aroganckich wierzgań w stronę publicystów z obozu narodowego w tej materji od lat się grzebiących...

Rozczuliło młodzieńca impulsywnego to przedewszystkiem, że może z chalucami i komunistami „rozgadywać“ po rusku i po polsku... Więc, że niby ten cały „Erec“, to jakieś *dependance* Polski..., rozszerzona aż nad Morze Śródziemne Judosławja... Podobnemu omanieniu uległo też kilku dziennikarzy polskich, którzy popłynęli na „Polonji“ i dojechali aż do archipelagu Absurdów. Książę Radziwiłł Sierotka pielgrzymował jak tysiące innych Polaków wszystkich generacyj do Grobu Pańskiego w Palestynie, a ci młodzi turyści wyłącznie do kolebki regeneracji i prepotencji Machabojów. Młode Lachy martyrologji Fellachów nie raczyły nawet zauważyć.

Ostatni tydzień w Palestynie, bunt Arabów i krwawe rzezie w Palestynie chyba ich wytrzeźwiły jednak z upojenia tak lichem winem, jak ten „karmel“ *made in Tel-Awiw.*

Niechno tam wysoce zresztą utalentowany publicysta przeczyta teraz w lipcu r. 1936 po raz *drugi,* co wypisywał w swojej „Palestyna *po raz trzeci*“...

CÓRA FARAONA

W zacisznej, starodawnej (old fashion) restauracyjce warszawskiej (gdzie bywały najlepsze wina) wisi sobie taki bardzo starszy obraz pędzla niewiadomego: córa Faraona odkrywa w zieleni w sitowiu koszyczek z maleńkim Mojżeszkiem... Bywało dawniej często, że gdy tam trochę głowy się zalało, człek poniektóry wpatrywał się upornie w obraz i coś tam wtedy w stronę córki faraońskiej padało niezawsze sympatycznego, że niby poco? poco szła w sitowie? i to akurat w tamtą stronę?...

Teraz odkryto ten koszyczek Mojżeszowy po raz drugi.

Już nie w sitowiu nad Nilem, ale w samym miljonowym i miljonerskim Kairze. Ci, co odkryli, to sami młodzi, właśnie w wieku córy Faraońskiej. Są wśród nich także Marje Egipcjanki... I także noszą z dumą, maszerując, *zielone koszule.* Teraz im znów zakazano, ale mniejsza z tem. Nie w koszulach sam sens. Można i bez koszul. Oprócz tego trochę ich poaresztowano. Siedzi więc w ciupie prezes młodziutki Achmad Hussajn, siedzi sekretarz Fathi Raduan i Achmad Asz Szimi także siedzi. Ale pisemko „As Sarcha“ wychodzi i będzie wychodziło, a jak go zamkną, to będzie inne, a chłopcy z „Młodego Egiptu“ wyjdą z więzienia jako bohaterowie i męczennicy. Przydało im się

trochę tej katorgi w „punktacji“ życiowej, to bardzo ważne. „Młodego Egiptu“ już nic nie zadusi i nie zatłamsi.

Za redaktorami „As Sarcha“ jest cała młodzież i 90 proc. narodu. Przedewszystkiem cała studenterja z „Al Azhar“, to jest z Akademji, związanej z meczetem z placu Azhar, założonej dość bardzo dawno, bo już w r. 970, gdy jeszcze wówczas w Europie nie było mowy o uniwersytetach. Jak meczet uchodzi w oczach znawców Europejczyków za jeden z najpiękniejszych z 300 (trzystu) meczetów kairskich tak akademja przy nim za jedną z najpoważniejszych orjentalistycznych instytucyj naukowych, gdzie i prastary Al-Koran wykładają specjaliści.

Młodzież z Al-Azharu jest cała in corpore za młodziutkimi redaktorami „As Sarchy“ raz po raz konfiskowanej, grzywnami obkładanej, zawieszanej, ale już niepozbędnej. To też demonstrowała ta młodzież, kiedy mordowano Arabów w Palestynie, demonstrowała w czerwcu, kiedy aresztowano narodowych radykałów i demonstrowała znów 11-go lipca, kiedy starsza generacja, kiedy Wafdyści obchodzili 52-gą rocznicę wyzwoleńczych walk bohatera narodowego Arabi-paszy.

Studenterja z Al-Azhar i „Zielone Koszule“ zgrupowane koło „As Sarcha“, to nie tyle awangarda Wafdyzmu, ile jego druga faza, faza faszyzmu. Narodowcy Wafdyści, jako obóz niepodległościowy, zasługi mają olbrzymie. Pamięć Zaglula, założyciela i ideologa czci cała inteligencja egipska. Obecny szef obozu Nahas-Pasza, były premjer do roku 1926, jest jeszcze pełen energji i wigoru. Nie tak dawno, kiedy w tournée objazdowym na opozycyjne wiece jechał wygłosić mowę w Port Saidzie, w tłumie podczas tumultu i scysji z po-

licją (30 czerwca) własnoręcznie, i to siedząc w aucie, pobił po pysku reprezentanta opiekuńczego mocarstwa, czyli komisarz angielskiej policji. To też naród egipski, dążący do wolności wielką sympatją otacza niezmożonego, niestrudzonego leadera Wafdystów i szefa obozu narodowców-niepodległościowców, bo naród wie, jak go „znosić nie mogą" ugodowcy, rządowcy i dworacy królewscy. Ale wielkie nadzieje na przyszłość, nadzieje pełnego wyzwolenia z pod panowania okkupanów sytuacji wiążą Egipcjanie raczej z „Młodym Egiptem" i z grupą, która do radykalizmu Wafdystów dodała jeszcze jeden motyw programowy i ten motyw postawiła na pierwszem miejscu.

Motyw ten brzmi mniejwięcej: muszą wyjść Anglicy! ale przedtem jeszcze *muszą wyjść żydzi!*

Jak widzimy z tego historja się powtarza. Całkiem tak, jak 2.000 lat temu. Czy przez „Czerwone Morze", czy autami, kolejami, parowcami, to już wszystko jedno, ale: *alle Juden raus!* Mogą sobie suchą nogą i ze skarbami, z „grzankami", z biżuterjami, z kasami ogniotrwałemi przechodzić przez rozstępujące się fale i bałwany morskie, jeśli tak chcą, ale w każdym razie muszą, albo będzie źle z nimi... przez czerwone, przez czerwone morze krwi...

Tak pisze i tak grozi „Młody Egipt". Czemu się tak rozsierdził to niewiadomo. Bądź co bądź tego drażniącego materjału obcego tam nie tak dużo. 1 i pół procent. Półtorakowy odsetek. Nie całe 40.000. Więcej już Greków i Ormian, a ile to aferzystów francuskich, ile włoskich geszefciarzy, już nie mówiąc o wszechpotężnych Anglikach, którzy tronują w pałacu *high comissionera* (aktualnie sir Lampson) w koszarach highlanderów, w cytadeli, w Trybunale Międzynarodowym, no i jako

„doradcy“ w ministerstwach. Tylu cudzoziemców w Kairze, całe dzielnice i faubourgi, wprost jakieś Xenopolis. Nawet tych Niemców kręci się tam i wałęsa sporo, a nawet mają swój „viertel“. Mogliby więc choćby na „Niemców barbarzyńców“ hitlerników i „zakałę kultury“ jak wiadomo. Nie! to oni nie na Niemców, a właśnie i na przekór przeciwko temu samemu wybranemu narodowi, z którym już 2.000 lat temu tak się pożarli, że aż go wreszcie wyścigali.

W Kairze, w Aleksandrji, w Port Saidzie, wychodzi dużo pism egipskich, ale w językach europejskich pisanych. Nawet oficjalny półurzędowiec nazywa się „La Liberté“ i jest bardzo liberalny w duchu i w treści; ma tyle ogłoszeń i inseratów, dawanych przez Shylokrację egipską, że musi być liberalny i wysługiwać się Geldhabom. Tak samo „La Reforme“ (w Aleksandrji), a tembardziej „La Bourse Egyptienne“. Dla elity inteligenckiej zafundowała Shylokracja miesięcznik „La Semaine Egyptienne“, gdzie obok Cohenów paryskich popisują się mniej lub więcej utalentowane cosmoplissony tubylcze i osoby takie, jak G. Sarkissian, Fatma Rachid i t. p. Nic a nic z tymi modnistami, estetami i elegantami wspólnego nie chcą mieć młode Egipcjany, często biednych Fellachów syny, dumne ze swej tysiącletniej kultury, z tysiącletnich meczetów, z minaretów, z bazarów, z Nilu, ze sfinksów, z obelisków, z piramid, a nawet ze swej biedy. Czterdziestotysięczny najazd żydowski, idąc ręka w rękę z rządem angielskim, finansując i alimentując prasę francuską, opanował, jak wszędzie, wszystkie ośrodki i centra życia z giełdą na czele. Ale przekupując prasę, do młodzieży inteligenckiej dotrzeć i ją skorumpować nie był

w możności. Ta jest tylko i czysto narodowa bez przymieszki...

Ugodowe zawsze geronty i tabutabecy pouczają: czytajcie „La Liberté“. Premjer Jehfa-pasza w polskim wywiadzie kurjerkowym nawet Wafdystów jeszcze z przekąsem określa jako „nierealnych marzycieli“ (sic!). A tymczasem egipskie antymetekoskie gazety „El Muhadamet“ i „El Ahram“ już z wyraźnie mocną popierającą sympatją odnoszą się do bojowo antysemickiej grupy „Zielonych Koszul“, a mądry i chytry albioński organ „The Egiptian Gazette“ węsząc nosem nastroje muzułmańskiego świata z wielką pono sympatją odnosi się nawet do... hitleryzmu.

Ostatnio zdarzyło się, że w Egipcie wyszła broszura, demaskująca satanizm (antychrystjanizm) Shylokracji, nakładem Szwabów z Kairu. Rozbuchane i obłędnie aroganckie Geldhaby zdecydowały, aby za tę broszurę wytoczyć proces. I zaskarżyły „Klub Niemiecki“ w Kairze. Ale się przerachowały: Trybunał Międzynarodowy, instytucja wśród patrjotów egipskich wysoce niepopularna wydał wyrok nadspodziewany. Nie tylko uchylił skargę o oszczerstwo, ale żydów skazał na zapłacenie kosztów: 8.000 franków... W trybunale był Anglik, Włoch i Egipcjanin; szczęśliwym trafem nie było wśród sędziów żadnego paryskiego „Syna Wdowy“ z ul. Cadet (Loża: Grand Orient). W surowości tego wyroku i w pono mocno antyszajlokoskiej mowie prokuratora znać chyba nowe nastroje, idące od młodzieży w „Zielonych Koszulach“.

Już więc w zaroślach sitowia odkryła córka Faraona Mojżeszka w koszyku. I już egipska grupa Islamu zadecydowała, kto ma pierwszy z Egiptu się wynosić.

POLITYCZNE POMARAŃCZE

Taki ładny, gorący w tonie, dekoratywny, taki smaczny, sympatyczny, niepozbędny owoc, a co to za komplikacje spowodu niego, jak to on wpływa na rozwój wypadków historycznych, jaka to międzynarodowa potęga! Cytrokultura! Orange! Pomarańcze...

Trzy miesiące temu do portu londyńskiego przybija statek z Australji... ściślej z Nowej Walji w południowej Australji. Przywozi transport 80.000 skrzyń pomarańczy australijskich. Po raz pierwszy: australijskich. Od tego czasu będą już przywozili zawsze. Po raz pierwszy: 80.000 skrzyń... z pomarańczami. A tymczasem w Hiszpanji zwiększa się cyfra bezrobotnych sezonowych akurat o 80.000 ludzi. Nie czepiać się cyfr? Jakże się nie czepiać, kiedy przypadkowo tak się złożyło, że tu 80.000 skrzynek, a tam w hiszpańskiej prasie piszą o 80.000 rolnych pracownikach w prowincjach Valencia, Alicante, Castella, Murcia, którzy stracili pracę a grozi jeszcze więcej. Przypadkowo 80.000 skrzyń i 80.000 ludzi. Dlaczego? Bo spowodu angielskich restrykcyj wwozowych, musiał się ograniczyć do minimum eksport hiszpańskich pomarańcz.

Co więcej Francja podniosła cła na owoce południowe o 15 proc.... Europa jakby się sprzysię-

gła przeciw hiszpańskim pomarańczom. Niezwykła baissa cen w Hamburgu. Chodziło więc o to, żeby Niemcy teraz przynajmniej brali hiszpańskie pomarańcze.

Na Anglję już nie można liczyć. Dobre czasy się skończyły. Anglja będzie wszystkie owoce „południowe“ brała w Australji. W Londynie dojrzał jakiś wielki plan kolonizacyjno-plantacyjny. Utworzyły się dwie wielkie kompanje handlowe z kapitałem 200 miljonów funtów. Dosłownie: dwieście. Te kompanje zakupują w Australji obszary (terytorjum) wielkości 50.000 kilometrów kw. Na sto lat dzierżawy. No i tam będzie się wywoziło ludzi. Głównie dla plantacyj, głównie dla owocowych. Kiedy u nas jeszcze zimno, u nich w Australji już lato, owoce dojrzewają. Transport może być bardzo szybki. Australijskie jabłka są już dzisiaj nawet w Pacanowie i w Kiernozi. 80.000 skrzyń pomarańcz przyszło do Londynu w doskonałym stanie. Za kilka lat Australja Europę zasypie górami pomarańcz pierwszej sorty. Poza pomarańczą australijską nie będzie żadnej innej. Wobec czego trzeba się ratować i bronić póki czas.

W pierwszym rzędzie musi się bronić główna producentka... Hiszpanja. Skoro o wywozie do Anglji niema mowy, trzeba sobie zabezpieczyć wywóz do Niemiec.

A tymczasem? A tymczasem w Hiszpanji rządzi gabinet czerwony jak rak. W konsulatach niemieckich wybijają szyby. W pochodach „trabajadorów“ okrzyki: niech żyje Lenin! niech żyją Sowiety! precz z Hitlerem! Dochodzi do tego, że robotnicy portowi nie chcą wyładowywać okrętów niemieckich, o ile na flagach są swastyki. I raz po razu wrogie demonstracje przeciw Germanji. A tu

w prowincjach pomarańczowych poprostu nędza i głód. Kto tam będzie śpiewać dzisiaj: „Valencja! Valencja!“, kiedy Valencjanie sami muszą zjadać tylko swoje pomarańcze i nic więcej, bo nikt pomarańcz w Europie nie kupuje, w portach pełne halle i owoc gnije. Niemcy hitlerowskie raz po raz protestują przeciw demonstracjom. Rząd hiszpański obiecuje represje wobec demonstrantów. Minister socjalistyczny Jose Giral wydaje odpowiednie odezwy i zakazy. Nic nie pomaga. Wobec tego Hamburg całkiem zamykają dla hiszpańskich pomarańcz. Niemcy będą sobie brały skądinąd...

Jeszcze jako tako udaje się z Czechami. Jadą więc hiszpańskie pomarańcze do Gdyni i stąd je wyładowują. Ale co tam tego jest raptem 29 wagonów i z czego część dla Rumunji. Mało to pomoże tym 80.000 nowym bezrobotnym. A Niemcy nadal obrażeni i srożą się.

To też, kiedy zaczął się chwiać socjalistyczny gabinet w Madrycie, wśród argumentów przeciw rządom Azany, dość często padało także słowo: „pomarańcza“. Aż wreszcie i gabinet legł i przyszli nowi ludzie, a wśród nich i nowy ambasador hiszpański dla Berlina, Luiz Zuluetta, który odrazu puszcza wywiad w berlińskiej prasie o koniecznościach „ścisłej kooperacji ekonomicznej między obu państwami“, czyli inaczej: kupujcież nasze pomarańcze! Kupujcie pomarańcze!

A tu tymczasem przychodzą z ofertami jeszcze inni do Berlina... Arabowie. Z tego samego małego kraiku, liczącego sobie 23.000 km. kw., jedna delegacja pojechała do Berlina, a druga do Londynu, obie z pomarańczowemi ofertami...

Do Londynu p. Tołkowskij z Tel-Awiw, że niby tak dalej iść nie może. Korzystają z uprzywilejonej taryfy celnej, na podstawie Imperial Preferial

Ordinance: Togo, Kamerun, Tanganjika. A tymczasem Palestyna, kraj mandatowy, nadal traktowany po macoszemu. Jeszcze dwa lata temu, Anglja brała 73 proc. eksportu pomarańczowego. Teraz, zamiast, żeby brała jeszcze więcej, to zaczyna sprowadzać aż z... Australji. W portach palestyńskich czeka 4 miljony 446.000 skrzynek. Co z tem zrobić? Rolnictwo zbożowe okazało się tam interesem całkiem deficytowym. Zresztą w tym roku żniwa dały w Palestynie 40 proc. tego, czego się spodziewano. Posucha w Erec była straszliwa. Wyschły najstarsze studnie i cysterny, nawet na górze Karmel. Niektórym „kwucom" grozi głód. Wszyscy liczą na eksport pomarańcz. Największy z plantatorów, król pomarańcz, Szmilanskij, kompletnie osiwiał... Cóż robić z pomarańczami? I delegat pomarańczowy nalega na engrosistów londyńskich, aby pomagali w ciężkiej sytuacji...

Zyskał Tołkowski to tylko, że teraz wszystkie listy z Palestyny będą miały nalepkę-pieczątkę pocztową: „Kupujcie pomarańcze palestyńskie!" Ale z zakupem i obstalunkami na pomarańcze, to gorzej.

Natomiast szwabisko jedno, palestyński kupiec, Paul Aberle, zwąchał się z arabskimi plantatorami i od nich Niemcy będą brali w przyszłości skrzyneczki z „pardesów". Nie jest to sprawa drobna, gdyż Niemcy dotychczas zabierały 14 proc. eksportu pomarańczowego z Palestyny, czyli najwięcej po W. Brytanji. Jeżeli teraz Anglja będzie brała z Australji, jeżeli inne narody od Włochów z Sycylji, a *Niemcy od Arabów*... no to co się stanie z tą wielką cytrokulturą, która miała rosnąć, jak na drożdżach, „rozwijać się w nieskończoność, z Haiffy i z Jaffy zrobić największe porty Morza

Śródziemnego i stanowić fundament wielkiej potęgi?"...

Nie dziwujmyż się tedy, że po cichutku, dyskretnie, za plecami, przy pośrednictwie „Banku Palestyńsko - Angielskiego", zawarły żydy osławiony dziś układ transferowy z Berlinem. Gdzieś te cztery miljony skrzynek z owocem iść jednak muszą. Manna już z nieba nie spada. Nawet Australja już zaczyna robić konkurencję... Rychło patrzeć, a pojawią się skrzynki z „Nowej Walji"... Nawet w Arabach już się teraz wyrabia rasowy zmysł kupiecki...

FELLACHE ERWACHE!

Londyński redaktor żargonowo-komunistycznego „Das Freie Wort“ dr. M. Steinberg przesyła list ze sprostowaniem jerozolimskiemu nowemu pismu ABC, czyli „Alif-Bet“, czyli „Al-Fabet“. Bowiem nie trzeba tego zatajać, że jak al-gebra tak i al-fabet jest pochodzenia i wynalazku arabskiego. Alchemja także, szachy także.

Alif-Bet jest pismem nowo założonem, ale w programie swem nie pierwszem. Antyjudejskich i antysyjonistycznych perjodyków na ziemiach mahometańskich jest bowiem sporo. Palestyńskie ABC nie pierwsze i nie... ostatnie. Wychodzi takie same w *Beyrut* a redagują je Achdil i Achbad effendi. Omal równocześnie z niem powstało w Jerozolimie „Al Difa“, drukujące naprzemian „Mein Kampf“ Hitlera i Goeringa w odcinku. Nawet z najgorszego z najgorszych, bo z doktora Streichera, w Jerozolimie przedrukowują raz po raz systematycznie i sprzedają publicznie, nietylko w ulotkach... Coprawda jeszcze od tych mocniejsze w wyrazie i w dynamice są także nowiutkie perjodyki: „Urach Izrael“, propagujące bojkot handlowy wszystkich towarów żydowskich, no i wreszcie „El Szabad“, tygodnik dla młodzieży dorastającej, pono już całkiem nieposkromiony w swych wojowniczych afektach.

To są nowalje z wiosny 1934. Wzywają całkiem jasno i jawnie do akcji czynnej, bezpośredniej, natychmiastowej, czyli do t. zw. „dausz" (walka). Odpowiednikiem ich na wyspie Cypr, gdzie się z wiosną b. r. moc bogatych plantatorów z Palestyny poprzenosiło, jest tygodnik „Sarar", domagający się wypędzenia nowych gości i z wyspy Cypr. W Damaszku takie same tendencje publikuje pismo „Muktabas". Jakżeż dziwaczne wrażenie odnosi się, dostając np. taki numer „Al Dify" prześlicznem arabskiem pismem drukowany z podobizną „tego kuternogi" dr. Goebbelsa, przysłany przez rodaka turystę, ale nie z Palestyny, lecz znowuż z Marakesz, gdzie numer „Al Dify" się zabłąkał, a gdzie nawiasem mówiąc z tegoroczną wiosną były dość wielkie „dausze" (awantury) z tamtejszymi Geldhabami równocześnie z ostrym pogromem w Rab i Funta-Nueva.

Całkiem więc inne są w tonie i w dynamice te nowe pisma arabskie (Alif-Bet, Al Difa, El Szabad, Sarar, Muktabas) od dzienników i tygodników dawnych. Te wydają ludzie młodzi, tamte zapisywała stara generacja. Czterdziestoletni byli oględni, kurtuazyjni w tonie, skarżyli się tylko i perswadowali, podczas gdy trzydziesto- i dwudziestolatki piszą fosforem i witryolejem, cały syjonizm uważają za epizod najezdniczy i grożą po staremu i radzą tak, jak rycerscy pradziadowie różnych sułtanów i mahometów: wyrżnąć wszystko w pień a resztę powrzucać i zepchnąć do morza. O żadnych paktach i ugodach (aguda) już pono niema mowy. I to nietylko na tym skrawku ziemi legendowym, ale wszędzie tam, gdzie się stykają: Syrja, Damaszek, Bagdad, Kair, Tanger, Tunis, Marokko, Marakesz Casablanca, Aman, Madras, El Arisz (Słowackiego: ojciec zadżumionych) wo-

gole wszędzie, gdzie się tylko stykają, gdzie choćby mała... garsteczka.

Tak im jakoś widocznie dali się we znaki kuzyni (tasama rasa), że o żadnym pardonie już niema i nie będzie mowy.

Oczywiście Europejczycy wszędzie będą ich bronić. Będą padały bomby na Bombaj, a karabiny maszynowe będą furczały i w Jaffie i w portach morza Czerwonego i w Algerze i w Jemenie. Młodzież („El Szabad") arabska ze wszystkich krajów, emiratów, miast, miasteczek, portów i... oaz zdaje sobie sprawę,że tak łatwo nie pójdzie i że „Istaklal" (wolność) i kolejne łączenie wszystkich ziem i terytorjów arabskich, a potem muzułmańskich przyjdzie okupić niesłychanemi ofiarami krwi i życiem samem. Ale jednak musi być kara i zemsta za to, co wycierpieli i co jeszcze cierpią ci, co pierwsi z najazdem zetknęli się na tym legendarnym skrawku ziemi, gdzie stoi prastary meczet i skąd pono Mahomet uniósł się w górę...

W stolicy Lachów dzisiejszych imaginuje się sobie Arabów przeważnie jako Beduinów, malowniczo dzikich ludzi na bachmatach lub wielbłądach, w burnusach, z jataganami, cwałujących po pustynnych piaskach.

Kolega Pierroth-Appenszlak pisał: „Dokoła czarne namioty dzikich nomadów". W tym samym sensie w „Poranniaku" pouczał Warszawę p. J. Brodzki. Polscy „pielgrzymi do Ziemi Świętej" jak nie widzieli *Świętej* Ziemi, tak również nie zaglądali zasadniczo do redakcyj arabskich. W miesiącu maju gościła w Palestynie incognito córka Prezydenta Rzplitej z mężem i pokazywano im tylko rzeczy żydowskie. Natomiast córka króla angielskiego princess Victoria poprzednio bawiąc z mężem

również w maju w Palestynie, ograniczyła się na studjowaniu *tylko „rzeczy arabskich"*, wprost wymówiwszy sobie wszelkie zetknięcie z notablami (macherami) Jiszuwu. Możeby więc w nadchodzącym sezonie dla odmiany *(varietas delectat)* polscy turyści, szczególnie panowie żurnaliści, jadąc w te strony, starali się zapoznać kolejno i z tym niepodległościowym, wyzwoleńczym ruchem arabskim, który w swej następnej fazie panarabskiej ma *wielką* przyszłość przed sobą?

To nie są bowiem tacy „dzicy ludzie" na wielbłądach, strzelający ze starych fuzyj. To jest inteligencja w dobrze skrojonych marynarkach, żakietach i smokingach, często z fezami na głowach. Studjowali na wielu uniwersytetach w Kairze (El Arbar). Mają doktoraty. Są tam adwokaty, juryści, lekarze, chemicy, inżynierowie, ekonomiści, statystycy, poeci, literaci, fachowi dziennikarze. Szkaluje ich jako „Beduinów" reporterska kanalja w Genewie tak, jak przez 15 lat szkalowała i Lachów jako pogromczyków i barbarzyńców.

Z roku na rok wzrasta elita intelektualistów i „istaklalistów" (niepodległościowców), czyli antysemitów semickich nad brzegami Śródziemnomorskiego i Czerwonego. Toteż i w Londynie nadal spadają papiery firmy: „Weitzman i Sokołow" (senior); kopje kruszy za nimi już tylko stary clown Wedgwood, a rośnie z tygodnia na tydzień cyfra „entuzjastów" Islamu (Malcolm Macdonald *junior)*. Tylko sympatyczny Sokołow *junior* nic nas o tych przemianach nie poucza, tak jakby zaniewidział w tę stronę. A za nim oczywiście korespondencka ekipa cała...

Oprócz arabskiego ABC i tych nowych pism radykalnie narodowych, wychodzą oczywiście i daw-

ne. W Jaffie chrześcijańsko-arabski „Felestin", dalej dawniej ugodowy „Moraath et Sharak", ongiś umiarkowane „Al Jamea et Arabia", ongiś nie agresywne „Al Dżanea el Islamia", wreszcie dwa organy Egzekutywy Arabskiej i angielski „The Arab Federation". Ale i one musiały się zradykalizować w tonie i dociągnąć do dość gwałtownej ofensywności pism nowych „młodzieżowych" (Fellache erwache!). Tacy żydowscy dziennikarze, jak Kalwaryjski jużby teraz nie mieli nawet z kim gadać, gdyż do... „okrągłego stołu" mało który z dziaczów arabskich miałby ochotę dziś zasiadać. Przecież dla osiągnięcia wspólnego jednolitego frontu antysjonistycznego pogodziły się ze sobą dwie stare effendjoskie „familje" i ich patrjarchowie, to jest ugodowy, dyplomatyzujący burmistrz jerozolimski Racheb-bey z Naszaszibich rodu, z naczelnym muftim Jerozolimy Hadżi Amin el Hussein. Rywalizowały i nienawidziły się pono przez całe wieki! Jeżeli w organizacji „Rycerzy Półwyspu Arabskiego" (1932) byli tylko Istaklaliści (niepodległościowcy), to w obecnie już założonym „Klubie Arabskim" w Jerozolimie są wszyscy.

W październiku roku 1933 angielski minister Kolonij otrzymał od Egzekutywy Arabskiej protest uroczysty, w którym między innemi stało:

> „żądamy obrony Arabów w Palestynie i spełnienia przyznanych nam praw. Nie wolno zmuszać całej ludności przemocą do przyjęcia warunków, które są sprzeczne z tradycjami Anglji, jako państwa *cywilizowanego i chrześcijańskiego*" (sic!).
>
> Protestujemy przeciw *męczeństwu* całego narodu arabskiego, stanowiącego 73 procent ludności Palestyny i oskarżamy o stosowanie

gwałtu przeciwko nieuzbrojonemu i pokojowemu narodowi".

Tak brzmiała depesza (agencji „Orient"), z 31 października 1933.

Termin dali roczny. Przez ten czas wiele, wiele się pogorszyło. Strajki, rozruchy, mordy, rzezie, awantury żydów między sobą, rewolta w październiku, demonstracje i bitwy w Tel-Awiw, zamordowanie Arlosorowa przez Stawskiego, napaści na policję angielską. Wogóle: z Paradisu: Inferno. Cierpliwość Arabów wyczerpała się. Umiarkowani antysyjoniści musieli ustąpić na plan drugi, a na froncie stanęli sami narodowo-radykali. Synów effendeckich zastąpili tu i ówdzie synowie chłopów Fel-lachów, aktywni, twardzi, brunatni. Przywódcą „Istaklalu" został adwokat Abdul Hadi, sekretarzem „Egzekutywy": Dremal el Hussein (objeżdżający obecnie propagandowo Amerykę), redaktorem „Moraath el Sharak", twardy Bulas Effendi Szechadeh, dalej Amir-bey Tamin, dalej Szukri Rasselen, dalej szeik doktór Benda (???)...

W konsekwencji tego ofenzywnego kursu dużo też najuczciwszej, inteligenckiej, patrjotycznej młodzieży siedzi za kratami więzień. Wprost z więzienia do Ameryki pojechał dzielny Dżemal el Hussein. Siedzą szefowie bojówek: Izszak Darwish, Abdul Hadi, szeik Muzzafar, Amin bey, Abdul Hadji, Jal G. Hussein. I wielu, wielu innych *natives* (tubylców) *ejected, depossed,* wywłaszczonych, wykorzenionych.

Inni leczą się po szpitalach.

A na murach starych miast i miasteczek biblijnych nadal napisy czerwone: Heil Trockij! Dałoj Hitler!

gwałtu przeciwko nieuzbrojonemu i pokojowemu narodowi".

Tak brzmiała depesza (agencji „Orient"), z 31 października 1933.

Termin dali roczny. Przez ten czas wiele, wiele się pogorszyło. Strajki, rozruchy, mordy, rzezie, awantury żydów między sobą, rewolta w październiku, demonstracje i bitwy w Tel-Awiw, zamordowanie Arlosorowa przez Stawskiego, napaści na policję angielską. Wogóle: z Paradisu: Inferno. Cierpliwość Arabów wyczerpała się. Umiarkowani antysyjoniści musieli ustąpić na plan drugi, a na froncie stanęli sami narodowo-radykali. Synów effendeckich zastąpili tu i ówdzie synowie chłopów Fel-lachów, aktywni, twardzi, brunatni. Przywódcą „Istaklalu" został adwokat Abdul Hadi, sekretarzem „Egzekutywy": Dremal el Hussein (objeżdżający obecnie propagandowo Amerykę), redaktorem „Moraath el Sharak", twardy Bulas Effendi Szechadeh, dalej Amir-bey Tamin, dalej Szukri Rasselen, dalej szeik doktór Benda (???)...

W konsekwencji tego ofenzywnego kursu dużo też najuczciwszej, inteligenckiej, patrjotycznej młodzieży siedzi za kratami więzień. Wprost z więzienia do Ameryki pojechał dzielny Dżemal el Hussein. Siedzą szefowie bojówek: Izszak Darwish, Abdul Hadi, szeik Muzzafar, Amin bey, Abdul Hadji, Jal G. Hussein. I wielu, wielu innych *natives* (tubylców) *ejected, depossed,* wywłaszczonych, wykorzenionych.

Inni leczą się po szpitalach.

A na murach starych miast i miasteczek biblijnych nadal napisy czerwone: Heil Trockij! Dałoj Hitler!

MAŁŻONKA LWA JUDY

Warszawa, 1933.

Co to za satysfakcja i właściwie rozkosz intelektualna, brać tak „uczonemu" codzień pod mikroskop nową skupinę laseczników, obrabiających kulę ziemską, godzinami obserwować, jak się toto gorączkowo z oszałamiającą szybkością rzuca, kręci, biega, tłamsi, gniecie, ucieka, wyłazi, tłoczy, kryje.

Nie należy tylko ograniczać się na badaniu jednego gatunku makromikrobów. Wtedy dopiero ma się poprostu wspaniałe, imponujące widowisko!! Codzień coś nowego.

Tym razem takie:

Addis Abeba jest to stolica Abisynji, czyli Etjopji, cesarstwa.

Poddani są poganie, dynastja jest chrześcijańska i jedno i drugie w kolorze czarne jak heban i skroś murzyńskie.

W Stanach Zjednoczonych Murzynów jest przeszło 10 proc. Miasto Haarlem, włączone do Nowego Jorku, liczy czarnych mieszkańców 320.000. Nie mają już analfabetów, ale już mają ciężki kryzys, wskutek tego inklinują mocno ku przemianom i przewrotom socjalnym. Leader socjalistów murzyńskich nazywa się Randolph. Jako materjał-potencjał rewolucyjny mogą być bar-

dzo niebezpieczni, gdyż krzywd zebrało się przez kilkadziesiąt lat sporo, a nędza dziś wielka.

Podczas wojny europejskiej sympatyczni Murzyni afrykańscy służyli w armji także i francuskiej, odznaczyli się męstwem, zyskali wysokie odznaczenia. 25.000 zostało ich po wojnie w strefie okupowanej i weszło w bardzo bliski kontakt szczególnie z płcią piękną rasy białej (po obu stronach Renu). Obecnie w garnizonach francuskich jest Murzynów okrągło 35.000, *w całej armji francuskiej 200.000,* w razie mobilizacji może cyfra czarnego wojska kolonjalnego (bez Arabów) dojść do półtora miljona. Potencjał wojenny tedy bardzo wielki.

Swego czasu mieli swoje państwo na wyspie Haiti i swój *Black-Majesty* Henryka I (1811 — 1820). O San Domingo i 5.000 legjonistów polskich lepiej nie przypominać. Obecnie mają też swoje jedno państwo republikańskie „Liberja", z którego nie są zbyt dumni i drugie państwo afrykańskie, *z którego są bardzo dumni,* to jest Abisynję. W amerykańskich murzyńskich perjodykach bywa pono moc artykułów o Abisynji! Wśród murzynów amerykańskich rozszerza się też *sui generis* murzyński syjonizm, t. j. tendencja polityczna do masowego powrotu do Afryki, oczyszczenia jej z Europejczyków i stworzenia imperjum murzyńskiego; przedtem dobrzeby było atoli rozprawić się z Yankesami.

Żydzi amerykańscy jakiś czas ostentacyjnie stronili od społeczeństwa murzyńskiego. Od czasów kryzysu, ostentacyjnie *zaznaczają swą solidarność* z kolorowymi. Już w niektórych *opozycyjnych* pismach murzyńskich współpracują obok czarnych żydów (sic!) i biali żydzi, normalni (sic!). Kiedy tendencje antysemickie zaczną w Ameryce

gwałtownie wzrastać, zacznie się odrazu pod-judzanie czarnych do komunistycznego przewrotu, do rewolucji (Rok 1938).

Delegatem Murzynów do Kominternu w Moskwie był przez dwa lata niejaki Baron. Był to Murzyn adoptowany, *biały*. Pochodził z Łodzi. Z rasy Baruchów.

Bankier Rosenwald z Chicago zapisał w testamencie na cele propagandy murzyńskiej ćwierć miljona dolarów...

Tygodnik amerykański „Afro-american", poświęca swe szpalty głównie Abisynji...

To wszystko trzeba było przypomnieć dla t. zw. „podmalowania tła"... No, a teraz do rzeczy.

Roku Pańskiego 1933 miasto Tel-Awiw w Palestynie gościło w swoich murach jerychońskich pierwszą głowę koronowaną. Była nia cesarzowa Etjopów, królowa Minou z synkiem Makomenem i z córeczką. Po przyjęciu przez radę miejską, królowa była w operze (jest taka) na „Rigoletto". Orkiestra odegrała przy jej wejściu hymn abisyński, poczem również angielski i Hatikwę. Królowa i jej dzieci były objektem spontanicznych owacyj całej ludności Tel-Awiw. Poczem udzielała audjencyj i zapewne obdarzała orderami. Królowa przyjechała wprawdzie do Jerozolimy na poświęcenie kościoła, ale „namówiono ją", aby przy okazji zwiedziła i wspaniałe a wesołe żydowskie nowe modne miasto. Bawiła się w Tel-Awiw świetnie i nie miała dość słów zachwytu dla sukcesów i rezultatów syjonistycznego... *conquest...*

Przy tych festach i owacjach zaszła w królowej Minou jakowaś metamorfoza... Odezwały się niespodziewanie jakieś pogłosy czy pragłosy... rasowe. W wiernej dotychczas chrześcijance coś się zmieniło. Luksusowy, rozbawiony Tel-Awiw (z Rigolet-

tem) razem dziwnie wpłynął na murzyńską regentkę, jak to można wyczuć z wywnętrzań się, jakie w wywiadzie uczyniła przed syjonistyczną Wielopolską panią Sieraczkową *alias* Miriam Wolman, korespondentką „Naszego Przeglądu“:

„Odczuwa pokrewieństwo z narodem żydowskim. Jej mąż tytułuje się „Lwem Jehudy“. Uważa się, że jest dwieście dwudziestoszóstym potomkiem króla Salomona. Godłem państwowem Abisynji jest tarcza Dawida z krzyżem“. Poczem królowa zaprosiła na „faif“ i korespondentkę i prymadonnę opery... I wogóle czarna jejmość raz wyrwawszy się ze swej stolicy (Addis Abeba) troszeczkę się zagalopowała i rozpuściła, pierwszy raz będąc witaną i owacjonowaną „spontanicznie“.

Skąd teraz nagle w tej chrześcijance takie raptowne zżydzanie się z dnia na dzień? Kto na to wpłynął? Kto chciał tak zaimponować i dumnym Anglikom i biednym Arabom równocześnie? Kto ten kawał wymyślił i reżyserował? Gdzie są machery od tej afery?

Na to odpowiedź: pan Fajtłowicz i pani Hirtel.

Pan Fajtłowicz, to on jest doktór medycyny gynekolog (od połóg) od nas i to z tej samej... Łodzi, z której szedł reprezentant murzynów w III-ej Międzynarodówce... mr. Baron. Otóż ten to dr. Fajtłowicz lat temu kilkanaście „odkrył“ w Abisynji zagubione plemię czarnych żydów. Jak już odkrył tych „Falaszów“, to tam i pojechał do Etjopji i tam lecząc tych i owych zapoznał się i z dworem cesarskim i w tem i owem zaczął „doradzać“ i dworować dworowi, równocześnie zostając „wszechświatowej sławy“ specjalist od Fallaszów. I oto teraz po latach dr. Fajtłowicz wypłynął znów jako aranżer pilotujący po Tel-Awiw... chrześci-

jańską królowę Etjopji, która trochę na stare lata poczuła w sobie krew królowej... Saby i amatorstwo nieco perwersne do białawej maści Izraelitów.

Jak zapały małżonki do białych syjonistów i te wywiady przyjmie król Jegomość po powrocie Minou do stołecznej Addis Abeby, to się dopiero... pokaże.

Zdaje się atoli, że jeszcze większą odpowiedzialność za to potknięcie się królowej Abisynów ponosi druga osoba, a pierwsza dama dworu, niejaka Frau Hirtel. Z antypatji do... Hitlera postanowiła wyemigrować z Niemiec jak najdalej i znalazła się aż w tropikalnej Etjopji. Tam, w Addis Abebie, mądra żydóweczka szybko awansowała na guwernantkę i bonę do wszystkiego.. J. C. Mości. Udzielając jej lekcji muzyki... języków europejskich i t. p., równocześnie w rozkwitłej czarnuszce rozbudziła tęsknotę do wielkiej egzotycznej kultury białych ludzi. A że najbliższa kultura to było jednak Tel-Awiw, więc z poważnej, nudnej Jerozolimy (gdzie poświęcano kościół przy królewskiej asyście...) za podszeptem pani Hirtel kopnął się cały dwór autami do Tel-Awiw. A tu już Hirtlowa z Fajtłowiczem, z Hausnerem... et Company za aranżowali takie przyjęcie dla małżonki władcy Etjopów, że rozczulona babina w wywiadach puściła się na całego.

Co zapaleńsi RewjiSjoniści (Betar) w marzeniach samych już widzieli Abisynję oddaną żydom... czarne wojska etjopskie przepędzające Arabów z Palestyny... rewoltę czarnych najpierw w Ameryce, potem w Afryce... a wreszcie cały kontynent czarny oddany czarnym, rządzony przez Falaszów i t. p. Może damie dworu już się i śniły... połączona z francuskiem kolonjalnem wojskiem

kawalerja czarnych huzarów, wkraczająca do Berlina, przed którym Frau Hirtel uciekła aż do stolicy czarnych Fallaszów...

Fajtłowicz coś nawet już mówił o pomocy swojej w nawiązaniu stosunków handlowych Abisynji z Judosławją...

Niestety, troszeczkę to się zdaje spóźnili „marzyciele z Ghetta“, którym tak łatwo poszło „nawrócenie“ królowej do poczucia rasowego z syjonistami i podsuflerowanie takich powiedzonek o pokrewieństwie, o tarczy Dawida i o „Lwie Jehudy“.

„Czarny“ lew Jehudy po powrocie magnifiki z Monte-Carlo (Tel-Awiw) wcale nie był zadowolony z tych kohnszachtów.

O żadnem zbliżeniu się Abisynji do Palestyny Black Majesty nawet słuchać nie chciał.

...Spóźnił się twój Fajtłowicz i ta twoja Hirtlowa moja Minou najdroższa... i te wszystkie żydy palestyńskie.

...Dlaczego oni się spóźnili? odburknęła podrażniona królowa.

..Dlatego oni się spóźnili, że miesiąc temu zawarliśmy traktat handlowy z rządem J. Cesarskiej Mości Hirochity.

...No to i co z tego? co z tego? To już z żydami z Tel-Awiw nie możemy?

...A właśnie to z tego, że nie możemy. Japończycy zaprowadzą nam tu kulturę bawełny. Japończycy będą nam tanio sprzedawali osramówki, żyletki, karabinki maszynowe i jedwabne dessous dla ciebie...

...A żydy z Palestyny tego nie mogą?

...Może mogą, ale nie zechcą... Nie zechcą wchodzić w drogę Japończykom, bo wiedzą dobrze, że z Japończykami zadzierać nie jest bezpiecznie.

A że ja też nie chcę zadzierać, kiedy już pakt i traktat podpisałem, przeto proszę cię bardzo, droga Minou, żebyś na własną rękę ekstratur politycznych mi nie robiła. Zapominasz przytem, że przecież jesteś już ochrzczona.

A... pani Hirtel mówiła... odburknie Cesarzowa:

...Nic mnie to nie obchodzi, moja droga... Ale à propos... O ile pamiętam kontrakt z tą migowatą damą kończy się 18 b. m. Poradźże jej, duszko, żeby się już zaczęła pakować. Karawana odchodzi akurat przed szabasem... No, a co do tego Fajtłowicza, to jak go tu w pałacu jeszcze raz zobaczę, to każę go wysterylizować i jako eunucha wyślę na pożarcie lwom i szakalom. Niech się ma na baczności! A teraz dobranoc Minou! No i heil Hirtel!

P. Scriptum:

Ta sama małżonka Lwa w tym samym hotelu Jerozolimskim *(King-Dawid-Palace)* znalazła się 5 kwietnia 1936 r.

PRZEMYT LUDZI

30 września 1934.

Szmugluje się w naszem mocarstwie wszystko, co Bóg dał.

Jedni szmuglują konfekcję damską, inni futra męskie, inni znowu dywany. Temu udaje się szmuglować całymi wagonami jelita (dosłownie), tamtemu kamienie do zapalniczek. Ten pracuje w niemieckich lekarstwach, tamten w kosmetykach francuskich. Bywa, że ktoś dorobił się na pomarańczach (sic!) lub nawet na książkach (dla „Instytutu Wydawniczego“ Wohlfellera w Katowicach). Samej sacharyny szmuglerom skonfiskowały władze od r. 1931 do 1933 kilogramów: 6.097. żywe srebro (rtęć) przemyca się także, ale termometry, barometry i manometry... też. W obecnym okresie bezwzględnego bojkotu towarów i wyrobów z państwa Hitlera szmugiel z Niemiec nie tyle został przerwany, ile raczej... wzrósł wprost do olbrzymich rozmiarów.

Władze celne, jak i żandarmerja z policją razem wyłapują najwyżej 25 proc. tej kategorji przestępców, jak znowuż wogóle przestępców ze wszystkich branż wyłapują najwyżej 40 proc. (Patrz odpowiednie rządowe statystyki). Reszta, to jest 60 proc. przestępców ginie gdzieś, przepada, ulatnia się jak kamfora, którą to kamforę (nawiasem

mówiąc) także szmugluje się z Niemiec i to w dużych ilościach.

Pytanie teraz. *gdzie* to ulatniają się ci niedoścignieni przestępcy, nieznani sprawcy wogóle a szmuglerzy czy kontrabandyci w szczególe?

Aby na to pytanie odpowiedzieć, nie potrzeba nawet dłużej rozmyślać, lecz wystarczy nieco skonfrontować pewne korespondencje z pewnymi telegramami z... Palestyny, czyli jak się ongiś mawiało: z „Ziemi świętej".

Otóż do tej „Ziemi Świętej" przenosi się od jakiegoś czasu dużo „krajowych cudzoziemców" z różnych krajów, a jak nas tu solennie zapewniają, bardzo dużo z Polski. W roku ostatnim, to znaczy w roku maksymalnego rozpędu i rozmachu emigranckiego wynosiła cyfra wyjeżdżających z Polski syjonistów pono omal tyle, ile cyfra rocznego przyrostu tej wspaniałej, płodnej rasy (omal 40.000) ściślej coprawda o jakie 16.000 mniej (24.000). Wśród tych rzekomo 24.000 lwia część emigrowała, mając wszelkie wizy i certyfikaty w porządku; druga lwia część emigrowała jako t. zw. „kapitaliści" tymczasowi, wykazujący się grubą gotówką (1.000 funtów). Natomiast „trzecia połowa" wyjechała z „pominięciem wszelkich formalności", czyli poprostu przeszmuglowana, przeszwarcowana, przemycona. Kraj mandatowy bowiem, czyli Wszechmożna Wielka Brytanja swego czasu zadecydowała: *emigration stop!* i przeznacza tylko pewne roczne *quantum* t. zn. certyfikatów dla najazdu. Po wielkich awanturach i krzykach syjonistów-ekstremistów od czasu do czasu ilość certyfikatów Anglja powiększa a nawet podwaja. Że jest jednak zawsze za mało dla „znużonych Europą" globtrotterów, więc duży procent amatorów

albo wyjeżdża na gapę „fuksem“ albo jako t. z. przez marynarzy „blenda“.

Znawcy i smakosze przemytu ilości takich przeszwarcowanych w ostatnich trzech latach obliczają na 20.000 młodzieńców i „niewiast“. Jeszcze więksi znawcy atoli zaopinjowali ostatnio, że wśród tych nielegalników jest stosunkowo za duży procent dezerterów z wojska polskiego, to jest pacyfistów w wieku poborowym, a nadto normalnych przestępców, recydywistów, kryminalistów, zbiegłych szmuglerów, bandytów i kontrabandytów.

Groziło więc to, że Ziemia Święta, względnie Erec Izrael stanie się z czasem jakąś drugą Gujaną i jasnym brzegiem dla ciemnych egzystencyj... Wobec czego administracja angielska w Palestynie rozpoczęła kontrakcję z dużymi represjami wciągając w tropienie i ściganie przeszwarcowanych „młodzieńców“ i dziewic żydowskich nawet Arabów.

Arabowie ci z iście semicką zaciekłością rzucili się w „wyiskiwanie z krajobrazu“ Szmuglewiczów... że zaś niekiedy przesadzali w swoich funkcjach śledczych, miewający frywolne pomysły, świadczy o tem taki telegram żata:

„JEROZOLIMA, (żat). W korespondencji z Tyberiady „Iton Mejdchad“ donosi o nikczemnym czynie czterech Arabów horańskich, którzy nad granicą północną w pobliżu Kaphernaum zatrzymali dwoje spacerujących dziewcząt żydowskich i pod pretekstem „sprawdzania“ dokumentów, dokonali na nich ohydnego napadu i zgwałcenia je. Nieszczęśliwe dziewczęta ledwo dotarły do pobliskiego domu żydowskiego“.

Jeszcze gorsza dola spotkała ich koleżanki i rówieśniczki, jak o tem mówi inny telegram żata

z Betlehem, gdzie jest dziś... największe więzienie palestyńskie:

„BETLEHEM, Palestyna. — Generalny konsul Polski Kurnikowski interwenjował u władz palestyńskich w intresie 12 żydówek z Polski, trzymanych w więzieniu rzekomo z powodu że przybyły tu nielegalnie bez paszportów, gdyż nie chcą pokazać władzom swoich paszportów, twierdząc, że są stałymi mieszkańcami Pa. Władze nie dopuszczają mężczyzn do odwiedzania ich, gdyż obawiają się, że gdy przy spotkaniu mężczyzny wizytator i aresztowana zgodzą się na wspólne małżeństwo wobec świadka, to aresztowana w myśl istniejących praw, stanie się obywatelką Pal... jako przysła żona obywatela palestyńskiego i będzie musiała być wypuszczoną z więzienia".

Szmuglowanie tedy żywego materjału czyli towaru ludzkiego ma swoje jasne i wesołe strony, ale ma także i pewne negatywne . Jeżeli dla mężczyzn i młodzieńców jako ryzyko i hazard prezentuje się jeszcze znośnie, to dla niewiast i dziewic połączone jest jednak z pewnem niebezpieczeństwem. I dlatego, aczkolwiekby się z całego serca życzyło, aby jak najprędzej jak największa ilość wyzwolona z *Galutu* znalazła się w *Erec* i wykąpała w Jordanie , to jednakże stanowczo należy przestrzegać amatorów np. przed światową firmą przemytniczą Segałowiczów w Gdańsku, jak przestrzegało się przed grupą 15-tu przedsiębiorców ludzkiego szmuglu w Kaliszu (obecnie zamkniętych), jak również przestrzegało się swego czasu przed światową wytwórnią fałszywych paszportów Nansenowskich „Leizerowicz i Spółka".

Nowy proceder naszych niezmordowanie pomysłowych businessmanów oburzył do żywego kolegę

dr. Glizera w „Opinji“. Nie irytuje go coprawda sam szmugiel i przemyt ludzi nielegalny, ale raczej formy wynaturzenia, jakie przybrała spekulacja oparta na tym szmuglu, który możnaby nazwać superparazytyzmem.

Oto rekordy takiego pasożydostwa istotnie niebywałe...

„Na nielegalnej imigracji zaczynają żerować rozmaite hjeny emigracyjne, dobrze znane z okresów masowej imigracji do innych krajów. Zorganizowana imigracja palestyńska, „alija“, umiała się od nich ustrzec. Lecz teraz znalazły one sobie pole do „pracy“. Bierze się — bez żadnego wyboru i bez minimum poczucia odpowiedzialności — ludzi, jacy się tylko nadarzą, ściąga się z nich bardzo poważne sumy, kilkakrotnie przewyższające rzeczywiste koszty podróży, „szmugluje“ ich do Palestyny, przeprowadza przez granicę, i teraz, w najniebezpieczniejszej chwili, pozostawia bez opieki, na łaskę wypadku. Następstwa: aresztowania, procesy, kary, deportacje. Opisany wypadek to jeszcze zresztą mniejsze zło.

Bywa i tak, *że ci sami*, którzy za grube pieniądze przeprowadzają przez granicę, oddają swe „owieczki“ prosto w ręce policji granicznej, na usługach której są, nie z amatorstwa zapewne...“

Swoi swoich! Sami siebie! Byle nie wyjść z wprawy! Byle tylko był „ruch w interesie“! byle czemś handlować i byle był „szacher“, jak to nazwał ongiś młody... Karol Marx! Superparazytyzm.

DOKTÓR TRIPPLIN W PALESTYNIE

Na pomysł odgrzebania tej postaci z nieprawdziwego zdarzenia żaden czy żadna polonista chyba nigdy nie wpadnie. Wobec tego jazda do roboty, do poszukiwań i do przewertowania choćby kilku tomów z jego... kilkudziesięciu. Nowsi historycy literatury nawet go nie wspominają. Chlebowski ani jednem słówkiem choć tak się czasem rozwodzi nad literackimi jętkami-jednodniówkami a przeróżnym grafomaniakom byle ostatniej doby wiele poświęca czasu i atlasu. Natomiast starej daty uczeniec Bartoszewicz Juljan jednak poświęca mu półtorej strony, kończąc taką charakterystyką:

„Wszakże Tripplin łatwo mógł się pogodzić z publicznością, która jakiś czas przepadała za nim, gdyby mniej posiadał pychy. Zarozumiałym był, jak nikt na świecie. Raził także nieraz excentrycznością swych pomysłów, exaltacją dyssydencką, malowaniem obrazów nieprzyzwoitych i obrażających moralność, a w nich szczególniej się lubował. Wreszcie, gdy się przebrała miarka cierpliwości, a zaczęto Tripplinowi wyrzucać plagiaty i błędy, pisarz, zamiast się poprawić, zhardział i wypowiedział światu całemu wojnę. Głos krytyki potępił go, ale Tripplin zbyt wyniośle spoglądał na sprawy

ludzkie, by mógł przypuścić w sobie kropelkę nieudolności i nieomylności. Doszło do tego, że wyprowadził się zupełnie z kraju, w którym nie umiano go cenić. Charakter excentryczny i gwałtowny, przed którymby na kolana trzeba upadać, aby z jednej ostateczności nie wpadł w drugą — to jest z miłości w nienawiść...“

Jak widzimy z tego, epiteta, przymiotniki, rzeczowniki, wyrzuty i zarzuty raczej zaciekawiające, frapujące i zachęcające do wybadania, kto zacz był ten, za którym publiczność jakiś czas przepadała. Taki dumny i pyszny, że przed nim na kolana upadać, a tyle miał wad, tyle mankamentów? Kto zacz tedy? Musiała to być figura, osoba, osobistość, indywidualność, która mogła sobie pozwolić na takie zadarcie z krytykami, że aż się z kraju musiała „wyprowadzić“... Kto zacz?

Bartoszewicz w swej „Historji Literatury“ (1877) puszcza przedewszystkiem słowo: „plagjat“. Więc plagjator? Ale sam Bartoszewicz cały ustęp o Tripplinie na stronach 283, 284 i 285 odwala czyli plagjuje dosłownie a bez podania źródła z „Historji Literatury“ prof. H. Lewestama (1867) ze stron 251 i 252. Tedy „uczył Piotr Marcina“, albo przyganiał kocioł garnkowi a sam smoli. Expertem w sprawie plagjatów tedy być nie może. Odpada.

Drugi zarzut: „malowanie obrazów nieprzyzwoitych i obrażających moralność“. Uwidim. W owych czasach in illo tempore, za Paszkiewicza i Gorczakowa zarzucała to krytyka owoczesna kolejno i... Kraszewskiemu (sic!) i Korzeniowskiemu i Rzewuskiemu i Włodzimierzowi Wolskiemu (od „Halki“), że „grzęźnie w błocie i wydobywa same brudy społeczne“; gawędziarzowi i ramociarzowi Wilkońskiemu zarzucano... komunistyczne tendencje, a na patrjarchalnego historyka Szajnochę miała

miejsce olbrzymia nagonka za „obrazy nieprzyzwoite“ „moralność obrażające“ w tragedji „Stasio“ i za bezecne odbronzowanie królowej Jadwigi (Pol i Łętowski). Pola rąbał znów Ujejski, a Goszczyński brak patrjotyzmu udowadniał... Fredrze. Dzisiaj się tem wszystkiem nie przejmujemy, ale w one czasy wszyscy się tem wszystkiem bardzo przejmowali, a żółć się tym i owym ciurkiem wylewała z wątroby. Wobec tego i zarzuty Lewestama — Bartoszewicza o „obrażających moralność obrazach“ w książczynach doktora Tripplina należy brać cum grano salis (bury) i przejść nad nimi do nieporządku dziennego. Pozostaje: „egzaltacja dyssydencka“ i tę trzeba skontrolować i odważyć odważnie, co tam prawdy na tem.

Podróżopisarz, krajówznawca, gawędziarz i turysta, Teodor Tripplin był z rodu i z pochodzenia Kaliszanin i kalwin, Hugenotów francuskich potomek, z fachu i z procederu lekarz, z zamiłowania etnolog i psycholog. W Warszawie nastał od roku 1849. Do roku 1849 zwiedził dokumentnie i „bawił“ dłużej w Hiszpanji, w Norwegji i w Anglji. Z obcych języków władał expedite pięcioma. Do literatów i literatury zboczenie miał nieuleczalne. To też kiedy w stolicy (niestołecznej) zamieszkał, zaczął być jak to mówią „rozrywany“ na wszystkie boki i strony, a głównie: literackie salony. Przedewszystkiem jako lekarz internista, specjalista od „pedagry“ i kolki („nie kłuj kolka, bo ja Polka) w całem mieście bardzo „wzięty“. Ale że do literatury pociąg i ciągoty, więc obok płatników pacjentów wieluż gratisowych inteligentów! I jakież to znakomitości świata tego piccolo mondo leczyć mu nie przyszło, kogo to za darmochę wyciągać z przypadłości chorobowych nie musiał!!! Najsławniejszych potentatów pióra wyciągał z łoża boleści,

Nieśmiertelnych, Wielkich, Największych, bo to i Dziekońskiego (autora „Sędziwoja“) i Skimborowicza (redaktora „Bibljoteki Warszawskiej“!) i Wilczyńskiego („Kłopoty starego komendanta“) i Potockiego („Pamiętniki Kamertona“) i Tyszyńskiego („Amerykanka w Polsce“) i Szabrańskiego (redaktora „Bibljoteki Warszawskiej“!) i K. Wł. Wójcickiego („Album Warszawskie“), nie mówiąc już o Zmorskim, Wolskim, Lenartowiczu, Balińskim, Niewiadomskim-Półkozicu, Szymanowskim, Chojeckim (redaktorze „Echa“), ale mówiąc o Nakwaskiej („arcydzieło“: „Czarna Mara“), no i wreszcie (teraz klękajcie narody!) o samej wieszczce polskiej i nieco improwizacyjnym syfonie, Safonie, Deotymie. Zanim przyszedł Chałubiński, całą elitę leczył doktór Tripplin. I aby mógł gratis leczyć trzech Norwidów (trzeci Ksawery, geometra), musiał brać duże honorarja od... Izraelitów. Nic dziwnego, że stale i chronicznie przebywając i obcując ze światem literackim, nabrał doktór Tripplin sam mocnej weny pisarskiej, przekonawszy się naocznie i namacalnie, że „nie święci garnki lepiej lepią“ i że trudniej „dzień dobrze przeżyć niż napisać księgę“. że zaś się doktorek napodróżował przedtem dużo i opowiadać lubiał to i owo ab ovo, więc wszyscy kolejno namawiali go, żeby to raz spisał i się wypisał i popisał. Debiutantem albo dyletantem żadnym znów tam nie był, bo już przecie w r. 1844 wyszły u Stefańskiego w Poznaniu jego „Wspomnienia z podróży po Norwegji“. W wolnych zatem od szpitali i pacjentów godzinach fotel do biurka podsunął, fałdów przysiadł, pióro zamaczał, no i przypominając sobie hiszpańskie wywczasy, jako pierwsze wykropił „O stosunkach społecznych Kantabryji czyli prowincji Basków“. Choć tam temat djablo egzotyczny a aktualny dopiero w roku

1933, kiedy Baskowie zaaranżowali sobie byczą regjonalną rewolucję, to jednakże już ta hiszpańska podróż zyskała sobie w Warszawie Paszkiewiczowskiej ogromny poklask, czyli jak się wówczas pisywało „publiczności współczucie" (sic!).

Teodorowi Tripplinowi wyrządziła historja literatury wielką krzywdę i wydała o nim zaocznie wyrok mocno niesprawiedliwy. Cokolwieczek sam sobie winien. Najpierw niby że kalwin i to zajadły i kłótliwy i zaczepialski, raz po razu „ultramontanow" i „Rzymian" i rzymskie niezgrabnymi konceptami prowokujący („egzaltacja dyssydencka"). Potem zawinił tem, że podniecony sukcesami swoich pierwszych podróżopisów (Norwegja, Marokko, „Dziennik podróży po Litwie i żmudzi" 1856), „Podróż doktora Zanowicza na około świata", „Pan Zygmunt w Hiszpanji" i t. p... nieco się rozpuścił, rozbisurmanił, rozgrafomanił i zaczął uganiać już po całym świecie za prędko, płodząc tom po tomie, ponoć nawet przerabiając cudze wojaże na swoje, ponoć nawet zatrudniając pisaniem na wzór paryski (Dumas, Sue) pomocników t. zw. murzynów („Amazonka").

Potem zawinił znów tem, że kiedy krytycy zaczęli mu dokuczać i następować na pięty i po nagniotkach, zaczął się odgryzać, wykłócać i obelżywościami obsypywać matadorów. A co wolno wojewodzie (Słowackiemu), to nie wolno lekarzowi chorób żołądkowych, przewodów pokarmowych, dochodowych i odchodowych. Najciężej atoli zaszkodził sobie dr. Tripplin tem, że kiedy przyszła era Wielopolskiego, nasz zawadjaka, conieco też bluffiarz, imaginatyk, koloryzator i „na potęgę" zmyślacz (omnis homo mendax), przeszedł na stronę „białych" ugodowców, pre-realistów, moskalofilów i na propozycję Margrabiego został nawet cenzo-

rem i to dość ciężkim i rewanżującym się cenzo-
rem. Tego mu nie przebaczono. I stąd z literatury
exmisja, ewentualnie bagatelizacja i pomawianie
(przez plagjatorów) o plagiaty. Uniemożliwiwszy
sobie po roku 63-cim pobyt w Warszawie, znikł z
kraju na lat omal dziesięć, wrócił do Warszawy
dopiero w r. 1870-tym. Datę r. 1878 noszą jego
„Wspomnienia z Ostatnich Podróży", wydane
u Ginsa własnym nakładem, tomów dwa.

I tymi to dwoma tomami usprawiedliwia się
niniejszem, czy też motywuje exhumację literacką
tego literackiego dziwadła.

Drugi tom to podróż po Palestynie.

W ostatnich czasach takich podróży po Ziemi
Świętej czytało się sporo. Pisywali księża i żydo-
wie, dziennikarze i literatowie, damy i huzary,
ksiądz Kłos (2 tomy), ksiądz Kneblewski (1 tom),
Ossendowski i Kossak-Szczucka. Zdawałoby się te-
dy, że po tylu, tylu krajopisach, świeżo z pod pra-
sy wyszłych, nie sposób przeczytać coś, co już pa-
chnie paczulą i myszami i to takiego tam jakiegoś
podrzędnego warszawisty, za którym „przepadała"
publiczność, ale lat temu omal sto. Tymczasem,
wprost przeciwnie. Opis Palestyny z przed lat
sześćdziesięciu pióra tak spostponowanego meloma-
na literackiego, z profesji lewatywą się parające-
go, opis Palestyny dr. Tripplina dziś jeszcze i dziś
znowu daje się przeczytać summa cum satisfactio-
ne. Jak dobra powieść. Jak jaki „Verne". Jak Ro-
binson Cruzoe. Jak Claude Farrère lub bracia Tha-
raud czy Benoit.

Pierwszy polski krajopis Palestyny wyszedł
w Warszawie w r. 1696. Nosi tytuł: „Peregrynacja
prawdziwego opisania ziemi świętej Betleemy Je-
rozolimy i t. d. naprzód przez ludzi godnych, ducho-
wnych i świeckich peregrynujących w r. 1509 ła-

cińskim językiem wydana a polskim w r. 1595 do druku podana, a teraz pozyskawszy extra Regnum ponowiona w roku 1696 Warszawa". W opisie tym czytamy, że rzeka Jordan „jest taki szeroki jak rzeka Warta a po obu stronach ma pola szerokie, równe y ucieszne y las z obu stron", że „Jerozolima na dłużą i na szerszą jest na kształt Krakowa", że „Jerycho było miasto znamienite a teraz y wsią nazwać niemasz czego, bo tam jeno chałupek kilka", taksamo o Betlehem, że „mieścina błaha kilka domków w sobie mająca"...

Tesame miejscowości święte opisał w swem Itinerarium książę Radziwiłł Sierotka 300 lat temu, a trzydzieści lat temu w drukowanych „Listach do żony" Niemojewski Andrzej. Tesame opisuje także nasz doktór Tripplin. A o temsamem Betlehem czytamy:

„Betlehem jest jeszcze więcej wyniesionem w górę od Jerozolimy i przedstawia się oku wcale mile, gdyż boki góry, na której leży, są pokryte piękną roślinnością, po części zbożem i bujnemi winnicami, których i śladu około Jerozolimy niema. Nie braknie także ani oliwek, ani fig, ani pomarańcz".

Okazuje się tedy, że pomarańcze były tam już lat temu 60. Potwierdza to zresztą dr. Tripplin w rozdziale VI-tym specjalnie poświęconym „Ceresowi i Pomonie" Palestyny... Myli się więc dr. Pomeranz et Comp., twierdząc, że uprawa pomarańcz zaczęła się... od... niedawna... Pomarańcze już tam były i figi i oliwki i winogrona i we wogóle różne frukta popołudniowe; nie dopiero od przyjazdu dr. Pomeranza.

BETAR ROKU 1934

W drugiej połowie lipca roku 1934 miały się odbyć pod Zaleszczykami „pierwsze światowe“ manewry „Betarowców“.

Faszystowska, syjonistyczna, rewizjonistyczna, narodowo-radykalna wojskowa organizacja *Betar* liczy sobie obecnie lat przeszło dziesięć. Założona została w Rydze w r. 1923.

Obecnie liczy 1.100 oddziałów i 65.000 członków, z czego na Rzeczpospolitą Polską przypada:

657 oddziałów,
40.000 członków,

czyli, że *uzbrojona* bojowa organizacja żydowska w Polsce posiada (w stanie pokoju) pogotowie wojskowe *większe od armji holenderskiej, duńskiej lub norweskiej* w stanie pokojowym. Główna szkoła dla instruktorów wojskowych znajduje się w Zielonce. Betarowcy noszą brunatne koszule, czapki z podpinkami i skórzane pasy na ukos przez ramię przewieszone.

Większe manewry polowe miały dotychczas miejsce pod Kielcami, pod Lublinem i pod Kaliszem (marzec, r. 1934), gdzie też miała miejsce pierwsza wielka defilada z okazji polskiego święta narodowego.

Centrala „Betaru“ (sztab) jest w Paryżu przy rue Pontoise, gdzie też znajduje się redakcja ty-

godnika wojskowego Führera Żabotyńskiego. W Tel-Awiw w Palestynie jest filja Centrali, Betarowa pierwsza szkoła lotnicza (sic!) oraz „Brunatny Dom" (sic!) betarowców.

Betar powstał i wybrał sobie *kolor brunatny* jeszcze *przed Nazi.* Ma też swojego Horst Wessela. Nie należy zatajać, że bohater narodowy nieco szlachetniejszego gatunku, niż „bohater" berliński. Jest nim zmarły w r. 1920 w walce Trumpeldor, jeden z nielicznych żydów wojskowych, którzy już w armji carskiej, dzięki militarnym talentom, zyskali rangi oficerskie. Był bezręki. Grób jego w Palestynie otoczony jest czcią syjonistów bez różnicy frakcji i odcieni.

Zasługę założenia „Betaru" ma jednak wyłącznie Włodzimierz Żabotyński, Führer, ongiś nasz zajadły wróg, dziennikarsko *zwalczający* w odeskich pismach *nawet autonomję* Polski kongresowej, szkalujący nas przez cały lat dziesiątek; obecnie nasz „przyjaciel", zwolennik, entuzjasta, za swobodę organizowania cywilnego pogotowia wojskowego na ziemiach polskich (liczącego 40.000 ludzi). Odwdzięcza się obecnie w ten sposób, że w lokalach betarowców, w szkołach kadeckich i kasarniach wiszą wszędzie obok portretów Führera portrety marszałka Piłsudskiego; oddziały „brunatnych" koszul od wiosny b. r. biorą udział w pochodach marcowych i listopadowych ze sztandarami, śpiewając pięknie i przykładnie przy każdych nadarzonych okazjach pieśń o Pierwszej Brygadzie. Jako główny cel organizacji prezentuje się polskim władzom głównie zwalczanie żydowskich bojówek i organizacyj czerwonych rewolucyjnych, skąd też częste utarczki i pyskobicia, szybobicia i demolowania lokali „zukunftowców", komunistów, bundowców, „szomrów". W gruncie rzeczy generalnym

celem jest ewentualna „samoobrona w Golusie“ i aktywna agresja w tych „polskich“ miastach i miasteczkach, gdzie ludność ośmieliłaby się kiedyś chcieć wyzwolić z niewoli lichwiarzy i z pauperyzacji. Program „Betaru“ dla Polski sformułował rosyjski działacz czyli dr. Hofman, mieszkający w Paryżu. Pozory zewnętrzne utrzymane są ściśle w tonie i w formie całkiem niewinnej: skauting, camping, kultura fizyczna. Dopiero w wypadkach i kolizjach nadzwyczajnych pogrom rozzuchwalonych autochtonów czyli tuziemców. Nastawienie ogólno-polityczne: antyangielskie.

Sam Führer, człowiek wyjątkowo prostolinijny, zdolny, pełen energji, pomysłowości i zajadłej aktywności, mówi pono całkiem poprawnie i po polsku. Swego czasu jako emigrant rewolucjonista przemieszkiwał oczywiście w Krakowie i był sztamgastem „Michalikowej Jamy“. W r. 1914 proponował Anglji w Londynie stworzenie legjonu żydowskiego. Ofertę jego odrzucono. Później stworzył coś w rodzaju korpusu posiłkowego przeciw Turkom w Gallipoli. W każdym razie nietylko dziennikarz i nietylko mówca meetingowy. Ma w sobie coś z krwi Jozuych i Machabeuszów i w „snach o potędze gotów gromić nowych Amalekitów, Filistynów, a nawet swoich własnych, spasłych, zasymilowanych Filistrów. Od bidy Betar może się powoływać ideowo nawet na... Mickiewicza, z jego ostatniego roku życia i z nieszczęsnej eskapady w r. 1858. W ten sposób Żabotyński byłby spadkobiercą programu Armanda Levy, po Towiańskim drugiego z rzędu szarlatana i hipnotyzera, który opanował i opętał przemęczonego życiem, nędzą i „komerażami“ domowymi (Deibel) wieszcza.

Pod pewnym względem ci dzisiejsi „betarow-

cy" (rosyjscy żydzi: Hofman, Szechtman, Petersen, Halpern, Żabotyński), są wypełnieniem marzenia o legjonie żydowskich huzarów z pod Czajkowskiego-paszy... Mogą się na to powoływać. Argumentów dostarczono im właśnie wtedy, kiedy myśmy myśleli, że to rewelacje czysto literacko-biograficzne, Mickiewicza się tyczące.

W każdym więc razie nowa armja narazie w fazie przysposobienia sokolsko-gimnastycznego, campingowo-scautingowego już się wykłuwa, już się robi, już „zaistniała". Całkiem swobodnie ciesząc się miarodajnem poparciem, może się rozwijać jako pseudo-antidotum na czerwone żydowskie bojówki radykalno-rewolucyjne. Możnaby mówić nawet o jej uprzywilejowaniu, gdy się weźmie pod uwagę pewne aktualności nieco przykre i upokarzające. Ale o tem: Szeket! czyli hebrajskie: cisza! milczeć! Am Izrael Chaj! czyli niech żyje Izrael!

To jest okrzyk bojowy i hasło Betaru. Grzeczny i normalny obywatel-państwowiec powinien je sobie także przyswoić, ciesząc się, że po małych miastach i miasteczkach i pod samą stolicą na peryferjach maszerują sobie swobodnie cieszące się słońcem wolności wydyscyplinowane, karne oddziały Brunatnych Koszul naszego kochanego Führera Włodzimierza Żabotyńskiego z Odessy.

Am Izrael Chaj!

MUZUŁMANKI

Wójtem tureckiej wioski Emirli została kobieta, Numile Hanum. Jest tam już w Turcji dwóch wójtów płci nadobnej i jeden burmistrz. Numile Hanum liczy lat pięćdziesiąt. Ma wysokie odznaczenia wojskowe, gdyż brała udział w walkach o niepodległą ojczyznę w jednym z oddziałów Ghazi, Kemala Paszy. Kobiety tureckie wogóle szybko się emancypują.

Ale nietylko one. W innych krajach i państwach Islamu także. Egipcjanki założyły sobie wielką ligę patrjotyczną pod nazwą Huda-Szarawi. Do tej Ligi przystąpiły *arabki z Palestyny* i z Syrji. Pierwszy kongres panarabski postępowych nacjonalistek miał miejsce w r. 1930.

I wtedy to dało asumpt paryskiemu adwokatowi przy sądzie apelacyjnym, pani Marji Verone, do wygłoszenia w tamtejszym *„Comité National des Etudes Sociales et Politiques“* konferencji na temat „Kobieta wobec ustawy we Francji i zagranicą“, w której mecenassa mówiła co następuje:

„Możnaby przypuszczać, że istnieje gdzieś prawo, na mocy którego kobieta znajdowałaby się w stanie bezwarunkowo niższym, a mianowicie ustawodawstwo muzułmańskie. Jest to nieprawdą. W całym Islamie kobieta ma prawo rozporządzać całym swym majątkiem ruchomym i nieruchomym,

Znajdujemy formułę jasno wyrażoną w kodeksie egipskiego Statutu Personalnego, bo w Egipcie, chociaż stosują tam przepisy Koranu, istnieje jednak odrębny kodeks z całokształtem odpowiednich artykułów. Otóż artykuł 206 kodeksu egipskiego zaznacza wyraźnie, że kobieta dysponuje swobodnie całym majątkiem i że ma ona prawo przekazać administrowanie tego majątku każdej innej osobie, nietylko swemu mężowi. Czyż nie jest tedy ciekawe skonstatować, że my, kobiety *francuskie*, w sprawach dotyczących naszego stanu posiadania jesteśmy traktowane *gorzej*, niżeli kobiety muzułmańskie"?

I tak jest też istotnie. Upośledzenie kobiet tak w prawie spadkowem jak i małżeńskiem, jak i pod względem równouprawnienia w życiu socjalnem i politycznem, trwa sobie we Francji najspokojniej dalej. Francuzka nadal gra wielką rolę na scenie, w alkowie, w sypialni, w restauracjach, na dancingach, w powieści i w poezji. Już ją dopuszczono do adwokatury, prasy i medycyny. Do administracji i do legislatury nadal dopuszczoną nie jest. Kiedy w kwietniu w r. 1934 podczas afery Stawiskiego i jego gangsterów i masonów w rządzie, otwarła się przed opinją przepaść korupcji, zgnilizny i moral in semity paryskiej, prasa znów wystąpiła jak tyle set razy z postulatami „oczyszczenia moralnej atmosfery". Jako jedno z remedjów znów poraz setny wyciągnięto konieczność obdarzenia kobiet czynnem i biernem prawem wyborczem. I rozpisano znów ankietę — poraz setny...

Zdaje sprawę z tej ankiety nigdy przez Pata niezacytowany dziennik katolicki „La Croix" (270.000 nakładu), w numerze z 17.4. 34. Okazuje się, że odpowiedzi na ankietę przychodziły niesporo, w małej liczbie, a były nijakie, banalne,

zwietrzałe. Nikt się nie pasjonuje. Odgrzewano stare frazesy. Głównie, że „polityka“ oderwie kobiety od gospodarstwa, kuchni, oszczędzania i zbierania gotówki. Masonerja nie życzy sobie współudziału kobiet, jako elementu tradycjonalistycznego, w którym jeszcze kołacze się wiara katolicka. A ponieważ masonerja sobie tego nie życzy, więc zmaterjalizowane do szpiku kości społeczeństwo jest też posłuszne i na ankietę odpowiada elita inteligencji blado i wymijająco: do kuchni! do łóżka! byle nie rodzić więcej dzieci! I Francja wymiera, omal już bezapelacyjnie wymiera. Ułatwione życie. Nawet Polaków już odsyłają z powrotem. Jeszcze tylko 50.000 murzynów zostawiono w Paryżu dla rekreacji...

Całkiem inaczej jest natomiast w krajach i państwach Islamu. Tu wszędzie od roku 1918-go zaszły wprost kolosalne zmiany. Wyzwolenie kobiet przeszło kolejno po wszystkich ziemiach zamieszkałych przez potężniejące w swej samowiedzy narody i społeczeństwa muzułmańskie. Egipt i Turcja pierwsze, poczem zaraz Persja, Syrja, Afganistan, Hedżas, Irak, Palestyna, Transjordanja i inne kraje mandatowe, no a przedewszystkiem angielskie Indje. W rozbudzeniu integralnego nacjonalizmu, który da podstawy do instalowania wielkiej mocarstwowej Rzeszy Państw Muzułmańskich na miejsce tego dzisiejszego chaosu zlepków o często niezwykle dziwacznych granicach, kobieta muzułmańska, jako czynnik motoryczny, dynamiczny, odegra olbrzymią rolę.

Jeszcze tak niedawno siedziały biedaczki w tych haremach, o których, nawiasem mówiąc, powieściopisarze, romansjery i fabuljery nałgały moc szczegółów fantastycznych, *ad usum masculini* generis w Europie („patrzcie mesdames, jak tam

rządzi wielożeństwo i jak eunuchy piorą batami zamknięte w klatkach połowice!")... Jeszcze niedawno, jak tu i ówdzie kobiety musiały zakrywać twarzyczki czarczafami jak zresztą gdzieniegdzie zakrywali do połowy gęby także i mężczyźni t. zw. „smalami".

Jeszcze niedawno nie brały żadnego udziału w rządach i nie śmiały zapisywać się na uniwersytety.

Teraz studjują już na wszystkich fakultetach *dwudziestu sześciu uniwersytetów* na ziemiach i w krajach Islamu. Przemawiają na kongresach. Jeżdżą do Genewy. Redagują pisma. I to nietylko specjalnie kobiece. W Palestynie należą do awangardy „Istaklalu" („Niepodległości"), o którym wnet już będziemy czytali... codziennie... biuletyny...

Wytłumaczenie tej zagadki leży, rzecz to rewelacyjna, w samych podstawach Islamu, bo w Al-Quoranie. Mahomet był feministą stuprocentowym. Z profesji właściwie cokolwiek góralski pasterz czyli pastuch, ale w każdym razie natchniony i genjalny, zawdzięczał omal wszystko, omal całą swą co się zowie błyszczącą karjerę jednej z 14-tu swoich małżonek, to jest bogatej Hadżidzie, której cały posag poszedł, jak się to dzisiaj mawia, na propagandę. żenił się kolejno z wdowami po swoich poległych w bojach wodzach. Jedną z żon, uroczą Ayeshę przypuścił do współudziału w rządach, jak zresztą też pod koniec żywota i ukochaną córkę Fathimę. I już wtedy „Mahometanki" bywały sędziami, wodzami i... wójtami. I ten feminizm mahometański znalazł dużo miejsca w przepisach i zakonodawstwie Al-Quoranu:

„Umierając zostaw żonie schronienie wolne i utrzymanie przez jeden rok w swym domu".

„Żonom rozwiedzionym czyńcie dary według słuszności i bojaźni Bożej".

„Również musicie się troszczyć i o kobietę rozwiedzioną".

‚Żywność i odzież powinien rozwiedzionej matce dawać ojciec dziecka i wogóle ma ją według możności utrzymać przyzwoicie".

„Mężczyźni korzystają z tego co zarobią i kobiety korzystają z tego co same zarobią".

„Mężczyźni i kobiety powinny mieć udział swój w bogactwach, jakie im rodzina lub krewni zostawili, udział prawem zastrzeżony bez względu na wielkość dziedzictwa".

„Bóg ci zaleca, abyś dzieląc majątek między dzieci, synom dał dwa razy więcej niż córkom, ale, jeżeli byłyby dwie lub więcej córek a synów niema, wezmą one dwie trzecie pozostałości".

Jak więc widzimy z tego, Koran (istnieje tłumaczenie polskie) wypowiedział się w tej dziedzinie humanitarnie i feministycznie. W praktyce późniejszych stuleci, cokolwiek się to ustosunkowanie do płci żeńskiej zepsuło. Islam *zalecał* jednożeństwo, ale nie zakazywał poligamji i tolerował rozwody, a dla udowodnienia zdrady małżeńskiej domagał się czterech świadków, poczem karał wiarołomcę 25 batami *coram publico*.

Jeden z wojowniczych szczepów, to jest Tuaregowie mieli długi czas ustrój matrjarchatu i rządzeni byli przez matrony. We wszystkich innych szczepach i plemionach obowiązywała i przechowała się rycerskość i kurtuazja wobec kobiet, nawet tam, gdzie je poprostu kupowano od ojców na targach. Pod tym względem wogóle Islam „Semitów konnych" stoi w djametralnem przeciwieństwie do ksiąg Starego Zakonu Hebrajów, w których wyraźnie pouczano, że kobieta jest stworzeniem nie-

czystem i trefnem, po którego dotknięciu należy obmywać się starannie.

Tendencje natomiast do donżuanerji, czyli „ruji i porubstwa“, czyli do mnogożeństwa, przetrwały aż do najostatniejszych czasów. Dość powiedzieć, że dzisiejszy *lord of Arabia*, pan Mekki i Medyny, zwycięzca z majowej wojny, zbieracz ziem arabskich, przyszły Chalif (cezaropapizm), Abd el Azis Ibn Saud, liczący sobie ledwie 56 wiosen, ma obecnie żon tylko coprawda cztery, ale był 155 razy żonaty, co mu nie przeszkadza intensywniej zajmować się „rozbudową“ mocarstwa i przysparzać wiele kłopotów i zmartwień szlachetnym lordom z Downing - Street.

Jedna z byłych żon jest świetną szoferką, jedna lekarzem, a jedna bierze pono czynny udział w ważnych naradach gabinetowych.

Oto Arabki.

KABULOWY S. O. S.

Motto: dr. A. Gliksman w „Najes“:
— Jestto nieprawda. Antysemityzm nie wzrasta teraz w żadnym kraju. Rozwija go tylko sztucznie rząd jednego kraju, a wszystkie kraje kulturalne odwracają się z odrazą od antysemityzmu dzisiejszych Niemiec. Żydzi nigdy jeszcze nie byli tak poważani na świecie jak obecnie, i wielu żydów zajmuje poczesne miejsce w polityce wielkich mocarstw.

Lipiec 1934.

Równocześnie bardzo silne i bezwzględne represje i w Afganistanie i w Kemalstanie, po staremu w Turcji. Co? gdzie? skąd tak nagle? i jak do tego przyszło? Przecież tak daleko i głęboko w kontynent azjatycki nie dochodzi już Hitler i nie „promieniuje“ „Völkischer Beobachter“? Skąd tam się przecisnęła zaraza i bakcyl „antijudus prodigiosus“?

A tymczasem telegramy brzmią przecież całkiem wyraźnie:

„Z Kabulu, stolicy Afganistanu, donoszą, że na początku bieżącego tygodnia rząd tamtejszy wydał ustawę, pozbawiającą żydów afgańskich praw obywatelskich. Wszyscy żydzi wezwani zostali do zwrócenia policji dowodów osobis-

tych. Konsulowie afgańscy w Londynie, Paryżu i Berlinie otrzymali polecenie odebrania paszportów od żydów afgańskich".

Tyle „żat" z Kabulu, stolicy państwa, w którem zdawna mieszka 5.000 Izraelitów.

Równocześnie z Turcji:

„Ze Stambułu donoszą, że wojskowe władze tureckie nakazały wysiedlenie kilkuset żydów ze strefy cieśnin oraz portów Morza Czarnego. Nakazy wysiedlenia nie podają żadnych motywów tego zarządzenia i dają tak krótki czas na opuszczenie miejsc pobytu, że do Stambułu przybywają żydzi jedynie z najniezbędniejszemi przedmiotami. Zarządzenie władz wojskowych wywołało wielką konsternację wśród ludności żydowskiej; ma ono pozostawać w związku z projektem ufortyfikowania cieśnin oraz Tracji".

Co zrobi teraz z tym fantem rabbi dr. Ozjasz Thon, to już niewiadomo; na kogo też teraz będzie pienił się, charkał, wymyślał, pluł, przeklinał, psioczył, wygrażał, skowyczał, Jehowę o zemstę błagał? Czy na Kemala Paszę, czy na Tejfik Ruszdi Beja, czy na nowego władcę Afganów? Dalsze bowiem telegramy są i hiobowe i chaotyczne.

Okazuje się z nich, że „kilkaset rodzin" ze strefy dardanelskiej musiało nagle opuścić domostwa i zostały „materjalnie zrujnowane". Okazało się, że wyszła ustawa, w myśl której Turcję podzielono na trzy strefy i okręg dardanelski włączono do pierwszej, w której „ma być pielęgnowany rozwój rasy (sic!) czysto tureckiej" (sic!). Okazuje się, że wygnani żydzi otrzymali zaledwie kilka godzin czasu na „zlikwidowanie swych spraw", że „sytuacja wygnańców jest rozpaczliwa", że „wielu wygnańców jest chorych", że „mężczyźni wloką się

pieszo", a kobiety i dzieci są ulokowane na trzech wozach i dwóch autach", ale, że „ustawa drakońska dotknęła *kilka tysięcy* żydów..." „zrujnowanych zostało kilkaset rodzin żydowskich".

I cóż się dalej okazuje? Cała afera polegała na „fałszywej interpretacji ustawy". W parlamencie w Angorze przy dyskusji nad tą propozycją ministerstwa wojny premjer wytłumaczył posłom, że „rząd surowo ukarze urzędników winnych wygnania żydów", że żydzi „otrzymają ustawowe zadośćuczynienie i że ewentualnie mogą swobodnie wrócić do dawnych siedzib". Poselstwo tureckie w Londynie natychmiast uspokoiło Shylockrację (dysponującą pożyczkami), że „liczba dotkniętych nie przekraczała stu". Tymczasem co się znów okazuje z następnych telegramów? Liczba wynosi 1.700, a ci są tak „steroryzowani", że ani myślą wracać do Tracji, do swoich siedzib. Będzie miał teraz z nimi ciężki orzech do zgryzienia ultrapostępowy laicystyczny, liberalny i obficie jehudami (i yemeńskimi i salonickimi) przetykany rząd Ghaziego Mustafy Kemala, jeszcze niedawno tak wychwalany za przyjęcie kilkunastu niemiecko-żydowskich medyków, chemików i uczonych.

Przypomnieć sobie trzeba teraz, że stało się to omal na drugi, czy trzeci dzień po odjeździe z Turcji szacha perskiego. Dzielny, postępowy Riza Pehlewi bawił w Turcji kilka dni serdecznie i entuzjastycznie przyjmowany. Kilkudniowa wizyta poświęcona była przeważnie sprawom wojskowym. Poczem miały miejsce rewje i defilady. Potem z Kemalem Paszą objechali garnizony, obozy i twierdze. Potem zawarto układ przyjaźni i sojuszu wojskowego idący tak daleko, że tureccy fachowcy mają się zająć także reorganizacją armji perskiej. Sztama na całej linji, ręka w rękę. Per-

sja z Turcją wytworzą razem taką siłę, że ta unja dwóch państw mahometańskich musi podziałać magnetycznie i atrakcyjnie na dwa sąsiednie państwa, na Afganistan i na Irak. Maluczko a Bagdad (który ma naftę mossulską) poda rękę Teheranowi (który też ma naftę), a wtedy i Kabulowi zaproponują związek czterech państw Azji Przedniej pod godłem: sami sobie, swój do swego, Azja dla urodzonych w Azji. Nie trzeba zatajać, że poza temi na wielką skalę obmyślanemi „poczynaniami" gdzieś tam za kulisami zawsze znajdzie się i jakiś młody, mądry, „przebiegły" dyplomata z państwa wspaniale wschodzącego słońca...

Cały ten, można powiedzieć renesans Islamu, cały ten wzmożony aktywizm odmłodzonych dziś wielkich ongiś potencyj panowie z „Foreign Office" i departamentu dominij i kolonij przyjmują ot tak sobie ze średniem zadowoleniem, aczkolwiek i plan i realizacja niby są probritish. Bądź co bądź w zbyt coś pośpiesznem tempie emancypują się jednak i organizują tak ci w Egipcie, jak i ci w Mecce i Medynie, jak i te państwa nadmorskie: Persja (Iran), Irak, Turcja, oraz Afganistan. W każdym jednak razie jako bufory odgradzające od Sowietów przydadzą się w bliskiej przyszłości bardzo...

Całkowicie i bezwzględnie nie podoba się to wszystko natomiast potentatom z Kremla. Jeszcze kilka lat temu mieli tu wszędzie dużo do gadania i grali na pierwszych skrzypcach. Od jakiegoś czasu (od Mandżukoo specjalnie) pięcioramienna gwiazda Dawida w tych okolicach świeci bardzo blado. Od kiedy kunszt dyplomatyczny Litwinowa odnosi w Europie olbrzymie sukcesy, od tego czasu w Azji kurczy się aureola Sowietów na benefis i Japonji i W. Brytanji. Orjentacja Iranu (Per-

sji), Iraku, Afganistanu i Turcji staje się z miesiąca na miesiąc coraz wyraźniej antysowiecka. Tragiczne sprzątnięcie wyraźnie sprzyjającego Sowietom biednego Amanullaha było pierwszym wyrazem otrzeźwienia i oporu przeciw penetracji komunistycznej. Wzamian za to zdaje się agenci sowieccy sprzątnęli znów jego następcę (i stryja) Nadira Szacha. Afganistan zaś jest geopolitycznie najważniejszy, gdyż terenowo w pewnych prowincjach najbardziej się zwęża omal w „półwysep" i tu od granic angielskich Indyj do granic sowieckich jest najbliżej. Z tych to powodów nazywają niektórzy azjolodzy Afganistan „kluczem do Azji"...

Przypomniał to właśnie nieco niebacznie z końcem maja r. b. niejaki Baumann. Miał Baumann mowę. Mowę na otwarcie nowej autostrady, którą wybudował. Moc tych autostrad każą budować Rosjanom i autochtonom bracia Kaganowicze z Kremla i to na różne boki i strony, przygotowując wojnę Izraela (Słowianami komenderującego) z Azją i z Europą. Autostrada starozakonnego inżyniera Baumanna idzie od Turkiestanu do granic Afganistanu. Ma sto stóp szerokości. Jeszcze nie jest we wszystkich odcinkach dokończona, ale już ją dokończają, więc już ją dla efektu i dla postrachu otwarli. O 500 mil (pięćset) skraca drogę sowieckiej armji do granic Indyj. Tędy więc toczyłyby się tanki i czerwona kawalerja. Sforsowanie Afganistanu trwałoby kilkanaście godzin. Obrzucenie Kabulu bombami (może też z bakterjami judococus prodigiosus) nie sprawiłoby wielkiej fatygi. żartów tedy niema i na żarty nie pora! To też wcześniej lub później Afganistan do bloku Turcja — Iran — Irak przyłączyć się będzie musiał.

I oto gdzie tkwią przyczyny represyj antijudej-

skich tak w Turcji, jak i w Afganistanie. Jakie tylko, gdziekolwiek tylko są tam i w tych tureckich, perskich, afgańskich miastach, portach, strefach żydy, czy bogate, czy biedne, wszystkie od 50% do 100% sprzyjają i inklinują do Sowietów. Jawnie, tajnie, konspiracyjnie lub parlamentarnie (Angora), każdy z nich pracuje dla Kremla. Byle się tylko poszczęściło Wałłachowi! Najdrobniejszy kupiec w najodleglejszej... „oazie" wie dobrze, kto jest Jojne Jakir, Unszlicht, Sobelsohn, Kalmanowicz, Majski, Preobrażeński, Jagoda, Szeinman, dziewięciu braci Kaganowiczów etc. etc. Jak pomagali wszyscy Niemcom w roku 1914, kiedy Niemcy szły na Rosję, tak teraz każdy „karczmarz" czy lichwiarz perski lub turecki pomagałby dywizjom feldmarszałka Jojne Jakira.

Wiedzą o tem dobrze i dokładnie nawet w „dzikim" Afganistanie. To też obok takich „przysposobień wojskowych" jak tak zwani Basmacze, zaistniała tam organizacja: Nadinów, która zwalcza na każdym kroku komunistyczną propagandę nawet tej garsteczki żydów, jaką Allah-Akbar obciążył Afganistan.

W państwie szacha Riza Pehlewi trzymają ich na razie w ryzach „konni Semici" Bachtjarowie.

Turcja Mustafy Kemala Ghazi obsypała tych dawniej swoich „najmilejszych" dobrodziejstwami, przywilejami, równouprawnieniem, ale jednak takich dostojeństw jak na Kremlu u braci Słowian im nie daje... *Waregami*... *Chazarów* nie robi...

Inde ira, stąd złość, machlojki i znowu czekanie na Mesjasza tym razem Jojne Jakira...

A że cierpliwość turecka ma też swoje granice, więc stąd nagle pierwszy wybuch pasji i represji à la Abdul-Hamid, czy à la Abdul-Hitler.

W Bagdadzie i w Teheranie też nie tak znów sielankowo. Kabulem się zarazili.

* *
*

Kiedy niedawno przeczytało się telegram Żata tej treści, że w Turcji (w Konstantynopolu narazie) zaczęło się ukazywać nowe perjodyczne pismo antysemickie „Milli Inkillap“, „którego wystąpienia antyżydowskie odznaczają się nieznaną dotychczas w Turcji gwałtownością“, lekkie zdziwienie mogło ogarnąć nawet... rzeczoznawców, ponieważ właściwie długie lata panowała tam jaka taka harmonja, w otoczeniu Ghazi było kilkunastu kepełesów a na uniwerysytet w Angorze zaproszono kilkunastu relegowanych uczonych „niemieckich“, coprawda praktycznie głównie medyków i chirurgów. Pomyślał sobie tedy niejeden rzeczoznawca: ot ma znów okazje rabbi dr. Thon z Krakowa do dostania ataku wodowstrętu. Tym razem zaharkana nieco wściekłość hyperkatotonika wyładuje się przeciw Turkom tak niespodziewanie endekujacym.

Zdziwienie atoli i już bez miary ogarnęło rzeczoznawców dopiero wtedy, kiedy pojawiły się pierwsze telegramy z Afganistanu. Dotychczas nic takiego stamtad nie było wiadome. Były awantury i afery w dalszych okolicach: Damaszek... Bombaj... Ale z Kabulu nigdy...

Aż tu nagle:

„LONDYN (ATE). 9.5. Rząd Afganistanu wydał szereg zarządzeń, skierowanych przeciwko żydom. Odtąd żydzi nie będą mieli prawa osiedlać sie w południowych i wschodnich prowincjach kraju i beda mogli opuszczać stolicę państwa, Kabul, tylko za specjalnem pozwoleniem. Powody, jakie skłoniły rząd afgański do

wydania tych zarządzeń restrykcyjnych nie są znane".

A więc i w Kabulu S.O.S.? „Coś całkiem nowszejszego", jak mawiano we Lwowie. Coś całkiem niespodziewanego. Dotychczas bywało inaczej. I poprzedni król Amanullah i obecny Zachir-szach, reformator, dość ostentacyjnie popierali „współpracę" państwowotwórczą dzielnych i przemyślnych Semitów, głównie na terenie stosunków międzynarodowo-handlowych z sąsiedniemi państwami. To też Afganistan miał dobrą prasę w Europie, znaczy, że chwaliły go „Manchester-Guardian", „Neue Freie Presse" i nasze Expressiaki i Poranniaki. Aż tu nagle hiobowe telegramy jeden po drugim:

„Rząd Afganistanu wydał zarządzenie, zabraniające żydom mieszkać w pewnych okolicach i miastach między in. nie wolno żydom mieszkać w prowincji Kandahar".

Nie wolno więc i w Kandaharze i nie wolno w południowych prowincjach?

Więc gdzież mają mieszkać ci, co pokochali Afganistan i chcą mu dać może nowego Berka Joselewicza, albo Spinozę, albo... Disraelego?

Telegram pierwszy wyraźnie mówił: „powody, jakie skłoniły rząd afgański do wydania tych zarządzeń restrykcyjnych nie są znane". Jeżeli tedy nie są znane, to trzeba je koniecznie odszukać, poszperać, wynaleźć i przedłożyć. Nie będzie to tak znowu trudne. Trzeba tylko wziąć mapę i mieć ją przed sobą.

Przypatrzmy się tedy, jak to się tam uregulowały stosuneczki w ostatnich dwóch, trzech latach?...

Powstały tam tedy obok i po Mandżukoo jakieś niezależne nowe państwa, o których u nas do-

tychczas mało się mówi: Oddzielił się i wyemancypował Tybet, a potem oderwał się i odłączył chiński Turkiestan, czyli Sin-Dżłan. Ten to ex-chiński Turkiestan graniczy na olbrzymiej przestrzeni z sowieckim Turkiestanem, czyli Kirgiską Republiką, na dość wielkiej przestrzeni z Tybetem, na mniejszej z Kaszmirem i Indjami angielskiemi, a na bardzo małej, ale bardzo ważnej właśnie z Afganistanem. Ten to Turkiestan Wschodni (Muzułmański) ma złoto, naftę, miedź, przewspaniałe pasma górskie i rzeki, wspaniałe miasta: Kaszgar, Urumczi, Kuldża, Jarkend, Czuguczak i bardzo bitne plemiona tubylcze, góralskie. Jarzmo chińskie znosiły te Kirgizy, Turkmeny i wogóle Mongoły (mon-goye) bardzo niechętnie i raz po raz buntowały się i to przeważnie pod wodzą Beków; w roku 1863 Jakub Bek, a w roku 1933 Nidzi Chodżam Bek, który też został Ghazim i prezydentem niezależnego Turkiestanu. Na ten to Turkiestan mają gruby apetyt Sowiety i tu sobie włażą drzwiami i oknami i chcą budować autostrady i radjostacje i protegując separatyzm (od Chin) i niezależność, chcą mieć „tędy drogę“ i do Chin komunizujących i do angielskich Indyj.

Całkiem wprost przeciwnie: Nippon. Owszem także niezależność, ale ani przepędzony chiński gubernator (lalka sowiecka) Czen-Su-Czaj, ani ktoś z powstańczej rewolucyjnej rodziny Beków, ale poprostu nowy król czy cesarz, drugi Pu-Yi, to jest wnuk sułtana Abdul-Hamida „przypadkowo“ w Tokjo zamieszkały emigrant z wielkiej dynastji potomek Abdul Kerim. Penetracja Sowietów doszła już w Turkiestanie do tego, że w Kaszgarze wybudowali Turkiestańcom fabrykę samolotów, a ostatnio nawet nawiązali jakieś rokowania z Nankinem (nie mającym tu już nic do gadania) o odstąpie-

nie Turkiestanu Sowietom, czego się potem żydowska kremlińska dyplomacja oczywiście jako żywa wypierała.

Otóż tento dziś niezależny Turkiestan Kaszgarsko-Dżungarski graniczy na wielkiej przestrzeni z wielkim Turkiestanem sowieckim, gdzie mieszkają tacy sami tylko Kirgizi, Uzbeki,Tadżyki, gdzie są takie wspaniałe miasta, jak Taszkient, Samarkanda, Aschabad, gdzie jest jedno całe morze (Kaspijskie), gdzie przedewszystkiem rodzi się masowo bawełna (obok nafty, węgla, złota i srebra), ale gdzie są także takie niezależniaki, niepodległościowcy, powstańcy, narodowcy, którzy nie chcą więcej słyszeć o kołchozach i sowchozach, i każdej chwili gotowiby wyciąć w pień cały ten 8% sowietników, który im kolonizacyjnie nasłano do uroczej Chiwy, czarownej Buchary, rozkosznego Samarkandu i aż w góry pamirskie, gdzie jest jak wiadomo „dach świata".

Otóż te to Kirgizy, czy powiedzmy sobie Turkmeny, uzbrojeni od stóp do głów partyzanci, czyli wolni strzelcy, noszą popularną nazwę Basmaczów. A ci to Basmacze przedewszystkiem zajadli są i zażarci właśnie na „naszych najserdeczniejszych", to jest na żydów, bez względu na to, jakim tutaj krajowi cudzoziemcy żargonem mówią i czy są Kirgizami po tej stronie rzeki Piandzu, czy Afganami po tamtej stronie rzeki Piandzu.

Piandz bowiem jest to ta rzeka, która oddziela afgańską monarchję szacha Zachira od wielkiej republiki radzieckiej Kaganowiczów, Kałmanowiczów, Litwinowych i Litwakowych.

Otóż żydzi w Kabulu „Basmaczów" okropnie nie cierpią. Wszystkich innych narodów azjatyckich też nie noszą w sercu żydzi Wschodu ale „Basmaczów" partyzantów antysowieckich, jako że pa-

trjotów, narodowców, to omal tak jak Japończyków znosić nie mogą. Otaczających „niekulturalnych“, „barbaryjnych“ Afganów też nie znoszą i nimi gardzą. Ale najbardziej to nie cierpią tych konnych górali z naganami i jataganami. A lubią za to tak trochę szpiegować i donosić na Kreml pantoflową pocztą, co się to tam dzieje i w... Kaszgarze i w... Kaszmirze... i w Kabulu... *jidtelligence Service* dla czerwonych Chińczyków i dla czerwonych panów Kremla. I zawsze na szkodę protektorki Anglji i zawsze na złość feodalnej monarchji japońskiej... A że Afganistan jest państwem buforowem, izolującem angielskie Indje od propagandy i... aeroplanów Kominternu, więc żydki, pozornie tylko handlujące, żydki z Kabulu, to i owo co ciekawsze z Afganistanu wynoszą i Kremlowi choćby gratis donoszą.

Nie należy się tedy znów tak zbyt dziwić, kiedy z tamtych okolic przychodzą takie ot depesze jak ta ostatnia z czerwca:

„Z Kabulu, stolicy Afganistanu, nadeszła dziś wiadomość, że tamtejszy rząd wydał nową antyżydowską ustawę, w myśl której żydzi są ogłaszani nie-obywatelami i osobami, w stosunku do których nie obowiązuje żadna z ustaw odnoszących się do obywateli afgańskich. Nadto ustawa nakłada na żydów specjalne podatki. Wreszcie postanawia się, że za każde, chociażby najlżejsze przekroczenie popełnione przez żyda, jego majątek ulegnie konfiskacie.“

Należy teraz przypomnieć, że tak Jakub Bek w r. 1863, jak i Chodzim-Niazim-Bek bronili niezależności pięknego Turkiestanu Wschodniego (Sin-Dzian), tak przeciw Moskalom, jak i przeciw Chińczykom.

I również należy zwrócić uwagę na to, że od tej strony, od zachodniej, *tylko Polska i Afganistan* graniczą na tak wielkiej przestrzeni z państwem komunistycznem, na którego benefis pracuje i krząta się dziś Izrael z całego globu ziemskiego.

ESPANA I PALESTYNA

CZYLI

0,018°|₀

Motto:

JEROZOLIMA, ŻAT. Wauchope przyjął w dniu dzisiejszym delegację kolonistów żydowskich, którzy przedstawili mu skutki arabskiej akcji terorystycznej, zwłaszcza podpalań. Wysoki Komisarz zapewnił kolonistów, że osobiście zwiedzi wszystkie okręgi, w których wydarzyły się podpalenia, celem zorganizowania skutecznych środków przeciwko aktom gwałtu...

12 MAJA 1936.

Tak, tak kochani! z temi podpalaniami to nie jest przyjemnie. Podpalają plantacje, lasy, fabryki, gmachy, sklepy, całe kolonje. Pożary i zgliszcza. Nadto walą bombami i strzelają z browningów. Nadto gościńce i autostrady posypali szkłem tłuczonem i gwoździami, a na zepsute autokary rzucają się z zarośli. Rwą brody starcom, gwałcą dziewice, rżną młodzianków i znów bomby nowe i znów podpalania i nosa z *kwucy* nie wychylaj bo z ciemności grad kul.

Z Egiptu musiały Angliki czołgi i pancerki ta-

szczyć. Nad Tel-Awiw stale czuwa eskadra samolotów. W Jaffie karabiny maszynowe tylko trzeszczą. I druty kolczaste nie pomagają. *Highlandery* gołokolaniaste upadają ze znużenia i klną na czem świat stoi. W szkockich ustach słowo „Balfour" stało się najstraszliwszą obelgą. W Egipcie „Endeki" zwyciężyły na całym froncie. Kairskim Geldhabom już drżą kolana. *Pipelina* naftowa kończąca się w Haiffie zagrożona. Wnet tam zaczną ją psuć tu i owdzie i naftusia będzie wyciekała. Na „Alembiku" (Allenby Avenue) pani K. (panika). Burmistrz Dyzenghoff siwieje do reszty. Jedni plantatorzy zmykają już na wyspę Cypr, inne Nababy zmykają do Syrji do Beyrouth. I znów napady na autocary. I znów podpalania. Wszędzie dymy i dymy. Pożary i zgliszcza. Aż żal bierze ile to niszczeje i dobytku i majętności, jak idzie na marne praca ludzka, jak trzeszczy w posadach cała budowa „Siedziby" *(Home)*, ile miljonów, miljardów zaprzepaszczonych. W samo serce cios! W samo serce! I za co?

Zaczęło się 19-go kwietnia, Kochani Współrodacy. Akurat tego dnia, *ausgerechnet*, kiedy tu i owdzie miały miejsce meetingi szczujące znów „opinję świata" na Polskę i miała się zacząć olbrzymia nowa nagonka:

„NOWY JORK, ŻAT—Z inicjatywy Federacji Żydów Polskich w Ameryce, dziś w niedzielę 19 kwietnia w różnych miastach St. Zjednoczonych odbyły się zgromadzenia poświęcone sytuacji żydów w Polsce. Na zgromadzeniach tych podjęto odpowiednie rezolucje przeciwko agitacji antysemickiej".

Tak samo w Londynie:

„LONDYN, 19.4(ŻAT). Z inicjatywy Federacji Żydów Polskich w Wielkiej Brytanji odbyło się

dziś wieczór, pod przewodnictwem Nahuma Sokołowa, wielkie zebranie poświęcone sytuacji żydów w Polsce. Zebranie uchwaliło trzy rezolucje. W pierwszej z nich zebranie wyraża protest przeciwko zajściom antyżydowskim i wyraża przekonie, że rząd jest w stanie poręczyć bezpieczeństwo ludności żydowskiej. W drugiej rezolucji zebranie apeluje przeciwko wyrządzanym żydom krzywdom gospodarczym".

A trzecie? W Tel-Awiw.

„TEL-AWIW. (żAT). — Dziś popołudniu odbył się w Tel-Awiwie wiec poświęcony sytuacji żydów w Polsce. Przemówienia wygłosili J. Grünbaum i dr. Rottenstreich. W końcu powzięto rezolucję przeciwko hecy antysemickiej".

Niedziela, 19-ty kwietnia. I właśnie w momencie, kiedy rozchodzili się uczestnicy meetingów w Tel-Awiw, w Londynie, w New Yorku i w wielu innych amerykańskich miasteczkach, zionąc obelżywościami na panią Prystorową i na księdza Trzeciaka i na Sejm polski i na Polaków wogóle, a tu groźne telefony z Haiffy i Jaffy. I pierwsze łuny pożarowe i pierwsze dymy na horyzontach Erecu. Podpalania. Podpalania. Jeszcze grały w pięćdziesięciu kawiarniach luksusowych orkiestry kariokę i kukuraczę (z „Caliente"), jeszcze tańczyły szykowne chłopczyce z wytwornymi żygolasami, a już pierwsze łuny pożarowe odbijały się w toniach Morza Śródziemnego po tej stronie...

Miesiąc temu akurat były łuny po drugiej stronie Morza Śródziemnego. W krótkim terminie od 15-go lutego do początków kwietnia spalono w Hiszpanji 106 kościołów katolickich, a 50 kościołów i klasztorów zdewastowano. Spalono 12 gmachów państwowych i 45 fabryk, obrabowano i zniszczono

58 gmachów państwowych, 73 fabryk i przedsiębiorstw. Jedenaście strajków, 74 zamordowanych, kilka tysięcy rannych. Do kwietnia. W kwietniu dalszy ciąg barbarzyńskiej wścieklizny zniszczenia. I znów katedry, klasztory, kościoły, kaplice demolowane i znów mordy i rzezie i strajki i podpalania i triumfy Bestji Apokaliptycznej „Front komuny". Katalonja się oddziela, Baskowie się oddzielają, marynarka handlowa sparaliżowana, pięćdziesiąt tysięcy burżujów z monetą ucieka do Portugalji, a rządy obejmują (po masońskiej skorumpowanej do szpiku kanałji) podpalacze, marrany i... moskale.

A warszawski „Nasz Przegląd" w szał radości, w rozwrzeszczany, zaharkany szał radości. I to dosłownie! Wstępny artykuł o madryckiej rewolucji anarchiczno-bolszewickiej nosił tytuł: „Szał radości". I zaczynał się tak:

„Naprzekór wszystkim sensacyjnym pogłoskom i wiadomościom z ciemnych źródeł w Hiszpanji panuje spokój, o ile oczywiście nazwać można spokojem radosne podniecenie całego narodu. Z dziwną i podziwu godną pogodą naród hiszpański zrzucił z siebie jarzmo gnębicieli, którzy krwawo „uspokoili bunt i niweczyli wszystko to, co dała mu Republika".

No i potem w tym sensie dalej, że żadnej rewolucji niema i nie było, że wszystko od czasów druzgocącego zwycięstwa lewicy, anarchistów i komunistów odbywa się we wzorowym porządku, że prezydenta zrzucili legalnie, że tylko faszyści (pseudonim Hiszpanów) brużdżą, prowokują i wszczynają awantury. I potem w tym charakterze (szału radości) jeszcze korespondencje w „Naszym Przeglądzie" pisane przez tajemniczą „Przyjezdną" i „Podróżną". O pożarach i podpalaniach w Sewilli,

Granadzie, Walencji,, Oviedo, Legrona, Coruna, Puente i tysiącu innych miejscowości przemilczano. Natomiast dużo, bardzo dużo o czemś, czego rzekomo w *Hiszpanji niema*. Bratobójcze walki są, mordownia jest, wandalizm, podpalania, pożary i zgliszcza, a *tego*... niema. Jak hitlerowskie Niemcy teraz, tak kilkaset lat temu (1492) królowa Izabella to wypędziła, więc *tego niema*. Jest rewolucja, ale na tych, co zawsze, zwalić jej się nie da. Sama z siebie przyszła. Bez „drożdży rozkładu" i „fermentów dekompozycji". Ich w Hiszpanji niema.

Ale antysemityzm jednak jest. I przed wyborami w lutym ten antysemityzm w Hiszpanji przeciw *„nieistniejącym" „wybuchł"*. I skarży się nań w „Naszym Przeglądzie" (luty) tajemnicza „Podróżna":

„Antysemityzm hiszpański jest zjawiskiem śmiesznem, smutnem, ale zarazem dla żydów szczytnem.

Dlaczego?

Możnaby zadać pytanie: i cóż to tym nieistniejącym w Hiszpanji żydom szkodzi, że na plakatach prawicy wydrukowane są pogróżki? Na to pytanie odpowiedź jest prosta: przykład faszyzmu niemieckiego jest bardziej niebezpieczny niż to się wydaje, jeżeli nawet kraj katolicki, pomimo prześladowań katolików w Niemczech idzie za przykładem niemieckim i chce zwalczać nieistniejących w danym kraju żydów, to jakże przykład ten działać musi na kraj, w którym wielka liczba żydów, walka ekonomiczna i cały szereg innych warunków predysponuje poprostu do naśladownictwa?"

I potem jeszcze dalej w tym sensie o „smutnym fenomenie „sztucznej" ale *istniejącej* fali antysemityzmu" wobec *nieistniejących*...

Ten to *mit o nieistniejących* podjął potem p. Eichhorn w „Hajncie", a ostatnio p. Hirschhorn w artykule p. t.: „Lekcja Madrytu i Paryża", jeszcze raz powtarzając: „aczkolwiek niema tam żydów".

Otóż to jest kłamstwo czyli jak młodociany Karol Marx pisał „typowy żydowski szacher". I to trzeba panom Eichhornowi i Hirschhornowi udowodnić. Przerwać sobie literackie *dolce far niente* (zawieszenie broni, pieredyszka) i udowodnić.

Nieistniejący bowiem istnieją w Hiszpanji w olbrzymim procencie: 0,018. Piszemy: olbrzymim, aczkolwiek jest mikroskopijny, aby jako tako usprawiedliwić zaistnienie tam tego antysemityzmu *sui generis*. I nie jest on też świeżej daty. I jeżeli w „Naszym Przeglądzie" z 17-go lutego b. r. czytało się:

„A jednak na plakatach wyborczych prawicy hiszpańskiej pojawiły się hasła antysemickie, obok wykrzyków takich jak: „precz z masonerją", czytamy też „precz z Judaizmem". Pisma hiszpańskie walcząc w imię prawicy, a zatem reakcji, katolicyzmu i monarchizmu, zaczęły nagle publikować artykuły przeciwko wpływom żydowskim w Hiszpanji"...

to to była też omyłka czyli szacher (Marx). Zaczął się bowiem już po upadku monarchji po roku 1931, odkąd tylko zaczęło się najście z Północy i z Północo-Wschodu.

Praski organ Kehilli: *„Die Neue Weltbühne"* pisała:

„Miało to miejsce w roku 1932. Po dojściu Hitlera do władzy gnębieni żydzi niemieccy zaczęli jednak emigrować i do Hiszpanji. W samej Barcelonie osiedliło się w ciągu roku 1933 przeszło 2000. Tutaj przybywają głównie kupcy i rzemieślnicy,

podczas gdy inteligencja wędruje przeważnie do Madrytu. Mnożą się z każdym dniem przedsiębiorstwa, zakładane przez żydowskich emigrantów z Niemiec, między innymi powstało wielkie towarzystwo filmowe „Iberica-Film A. G.“, które nakręca już swój pierwszy film hiszpański z udziałem aktorów hiszpańskich, choć dyrektor, reżyser i operator nie potrafią wymówić dwóch słów po hiszpańsku. Rząd hiszpański nie robi żydowskim emigrantom żadnych trudności, naodwrót, popiera energicznie zakładanie nowych przedsiębiorstw, wszystkie bez wyjątku zawody są dla emigrantów dostępne“...

Już w kwietniu r. 1931 „nieistniejący“ mieszkaniec Toledo dr. M. Kahan, przyjęty przez ministra spraw wewnętrznych *marrana* F. de los Rios (hiszpański Jędrzejewicz) obwieszczał rodakom na globusie ziemskim co następuje:

„W rozmowie z ministrem poruszyłem przedewszystkiem sprawę wolności religijnej. Jest bowiem jasne, że tylko wówczas, gdy nowa republika weźmie się poważnie do nieograniczonej dotąd władzy Kościoła, Żydzi będą mogli powrócić do Hiszpanji. Już na drugi dzień rewolucji, odpowiedział mi na to minister: oświadczyliśmy, że pierwszem zadaniem wszystkich nowych urzędników będzie obrona osobistej wolności każdego obywatela i niedopuszczanie do naganek religijnych. Trzeciego dnia rewolucji zasada ta została już urzeczywistniona w drodze prawodawczej“...

W lutym r. 1932 wystawiono w Operze Barcelońskiej po raz pierwszy prowokacyjnie antykatolicką „Żydówkę“ kataryniarza Halevy‘ego i w lutym „żat“ telegrafował:

„BARCELONA, (ŻAT) — Gmina żydowska w Barcelonie na mocy dekretu prezydenta Kata-

lonji została oficjalnie zalegalizowana. Gmina żydowska w Barcelonie, do której należą przeważnie żydzi przybyli z Francji, Niemiec i Ameryki, posiada już własną synagogę i cmentarz".

Już atoli przy drugiej operze zaczęła się psuć idylla muzyczna:

„BARCELONA, (ŻAT)—W związku z wystawieniem w tutejszej operze „Hugonotów" Meyerbera miejscowe pismo „Noche" ogłosiło utrzymany w tonie antysemickim artykuł, domagający się usunięcia z repertuaru tej opery. Pismo twierdzi, że należy walczyć z „niezdrowemi tendencjami żydowskiemi w muzyce". Operę Meyerbera pismo określa jako „niepotrzebną żydowską starzyznę liryczną".

I z tej samej Katalonji „ którą tak pokochali „nieistniejący", że na cześć jej niepodległości nawet w Warszawie miała miejsce demonstracja z pochodem na Nalewkach (7 paźdz. 1931), rozpoczął się ruch odporny. W warszawskim tygodniku „Opinja" (6.I. 1935) czytało się w korespondencji Iberyjskiej:

„W tej sytuacji podnoszą głowę antysemiccy agitatorzy. Klerykalna gazeta „El correo catalan" zamieściła przeciwżydowski artykuł, w którym twierdzi, że żydzi stanowią niebezpieczeństwo dla Hiszpanji, że ich jest za dużo (podane cyfry, oczywiście, przesadzone), i że wprowadzają... demoralizację. Próbę wznowienia hecy antysemickiej w Hiszpanji ostro odpiera lewicowy „Ciutal".

Za dużo? 0.018% za dużo? Ano widocznie tak, skoro i z Madrytu „żat" wysyłał „Katalończykom" warszawskim kolejno takie telegramy:

„MADRYT, (ŻAT). — Reakcja hiszpańska coraz częściej robi użytek w swej propagandzie z ar-

gumentów antysemickich. Stronnictwo konserwatystów („Ośrodek obrony społecznej“) zorganizowało szereg wieców anty-żydowskich. Antysemici hiszpańscy operują głównie motywem, że po rewolucji żydom przydzielono grunt pod budowę synagogi, podczas gdy klasztory były palone. Stronnictwo to zaleca stosowanie metod antysemitów zagranicznych, zwłaszcza niemieckich narodowych socjalistów, przyczem żąda ono wygnania wszystkich żydów z Hiszpanji.

MADRYT, (ŻAT) — Finansowaną ze źródeł narodowych socjalistów propagandę antysemicką odczuwa się zarówno w Hiszpanji, jak i w hiszpańskiem Marokku. W samej Hiszpanji propaganda uzewnętrznia się w nagonce antysemickiej reakcyjnej prasy, podczas gdy w Marokku od czasu do czasu dochodzi do aktów gwałtu rozagitowanej przeciwko żydom ludności arabskiej“.

Arabskiej! Arabskiej! To słowo trzeba sobie dobrze zapamiętać. Tu bowiem na tym punkcie styka się problem hiszpański to jest zrewolucjonizowanie i zdopingowanie lewicowej elity hiszpańskiej przez 0,018% napływowego elementu bakteryjnego, tu styka się z problemem Palestyńskim, który akurat obecnie zostaje nadspodziewanie gwałtownie a tragicznie rozwiązywany.

Zdobyliście na wiosnę r. 1936 Hiszpanję dla rewolucji, zdobyliście *chwilowo* t. j. do momentu aż kiedy krążowniki i pancerniki włoskie zaczną obmacywać Barcelonę... Ale straciliście bezpowrotnie i przegraliście Syjon, siedzibę, *home* nad Jordanem.

Oto jest „lekcja Madrytu“ panowie Eichhorn i Hirschhorn!

Oto jest konsekwencja „szału radości“ i chu-

ci mściwości nad upadającą, krwawiącą, bratobójczą, opętaną Hiszpnają (Królowej Izabelli).

*

* *

W tygodniku probolszewickich nihilistów „Oblicze Dnia“(nr. 7)zamieszczono artykuł wstępny jakiegoś Hiszpana z pod ciemnej gwiazdy, którego odrazu mianowano „jednym z czołowych młodych pisarzy, których praca literacka i publicystyczna znajduje od paru lat żywy oddźwięk w odradzającem się społeczeństwie hiszpańskiem“.

Znakomitość nazywa się Cesar M. Arconada. Jako żywo o takim czołowym nie słyszano.

Redakcja komunizujących talencików snobuje się *in puncto* ustosunkowań z anarchistyczną „antyfaszystowską Europą“ i chcąc mieć także i aktualnego Hiszpana, awansowała na „czołowego“ Don Cesara. Don Cesare okazuje się nie tylko Arconadą ale i Analfabetą. Wypisuje najpłytsze i najpowierzchowniejsze reporterskie komunały komunistyczne o „froncie ludowym“, o „walce z faszyzmem“, ale pozwala sobie przytem na bluffowanie i na używanie pewnych słów i terminów, których, jako *czołowy*, a więc chyba inteligent i mądrala powinien chyba starannie unikać.

Te słowa, to *wandalizm i niszczenie:*

„Prosicie mnie, jako antyfaszystę, o współpracę w „OBLICZU DNIA“: zgłaszam się chętnie, jak przystało bojownikowi, którego wzywa obowiązek. Gdzie buduje się nowa forteca, trzeba zabiegać o miejsce w pierwszych szeregach, wśród najgorętszych entuzjastów. Nie da się zaprzeczyć, że przez świat *przetacza się fala wandalizmu,* niosąca spustoszenie i zagładę wszystkiemu co żywe i twórcze; jasnem jest więc, że należy śpieszyć z odsieczą tym

nielicznym twierdzom obronnym, gdzie znalazły azyl: sumienie ludzkie, świadomość tradycyj kulturalnych i człowieczeństwo w opozycji do *barbarzyńskiej żądzy bezpłodnego niszczenia*".

Otóż don Cesarze M. Arconado! *Fala wandalizmu i barbarzyńskiej żądzy bezpłodnego niszczenia* przetoczyła się nie przez żaden świat, tylko przetoczyła się przez Hiszpanję. Rozszalała bestja ludzka w atakach stadowej, gorylej wścieklizny niszczyła, paliła, rabowała, mordowała, grabiła, gwałciła przez cały miesiąc, dzień w dzień. Z powodu drakońskiej cenzury rozpanoszonych Troglodytów tylko mały procent szczegółów o *wandaliźmie* pijanego motłochu i zbrodniczej czerni przedostał się na Europę. Ale i to wystarczy!

Przyznają to wreszcie nawet sami żydzi.

W korespondentce „Naszego Przeglądu" (Miriam) rozbudziło się wreszcie sumienie. I podczas, gdy w polskim tygodniku „Czerwonej Targowicy" znalazł się na samym froncie numeru (7) panegiryk ku czci anarchistycznej rewolty hiszpańskiej, w „Naszym Przeglądzie" (z 14-go maja) czytamy następujące *mea culpa, mea culpa* korespondentki:

— „To też w korespondencjach mych z Hiszpanji nieustępliwie staram się zwalczać pogląd, jakoby w Hiszpanji panowała anarchja i bezład i staram się udowodnić, że faszyzm jest stałym i niezmordowanym sprawcą wszelkich zaburzeń. Jednak w imię prawdy nie wolno milczeć, gdy dzieją się tu rzeczy karygodne i gdy tłum uliczny dopuszcza się wykroczeń, *które krwawą plamą padają na honor Hiszpanji*. Wobec ostatnich wydarzeń madryckich, o których milczy prasa tutejsza, ale które stwierdzone zostały przez licznych naocznych świadków, wobec spalonych kościołów

i śmiertelnie pobitych zakonnic i księży, nie wolno milczeć, bo milczenie to zmienia się w aprobatę".

Poczem taki opis *wandalizmów:*

— „W dniu pierwszego Maja, podczas gdy lud obchodził swe święto robotnicze w radości i beztrosce, ludzie złej woli rozpowszechnili pogłoskę, jakoby mnóstwo dzieci rodzin robotniczych ciężko zachorowało naskutek zatrucia spowodowanego przez cukierki, rozdawane przez zakonnice. Nikt jak się to już dziś z całą pewnością wykazało, nie widział zakonnic, rozdających dzieciom cukierki, w żadnym szpitalu ani klinice niema dzieci, cierpiących na skutek zatrucia, wszystko to było brednią i wymysłem"...

„Cały Madryt zaczął mówić o zatrutych cukierkach i licznych ofiarach. Trzeba zaś znać miłość dla dzieci, która panuje w Hiszpanji, by zrozumieć, że nie można było wymyśleć nic, coby bardziej działało na duszę ludu, jak wykroczenie przeciwko dzieciom. W dzielnicy robotniczej zagotowało się. Dzisiaj pytamy już po niewczasie, czemu kierownicy partyj robotniczych nie zareagowali natychmiast? Czemu nie ogłosili w porę, że ta cała histroja z zatrutemi cukierkami jest brednią?

„To co zaszło było potworne. W dniu 4-go maja, w rozmaitych punktach miasta zaczęły płonąć kościoły, co samo przez się było by tylko smutnym dowodem niszczycielskich instynktów tłumu, ale do tego przyłączyły się wystąpienia przeciwko zupełnie niewinnym zakonnicom i duchownym, którzy wpadli w ręce tłumu".

Poczem korespondentka stwierdza „okrutne sceny rozbestwienia", „bezradność" policji i milicji robotniczej i jak to z trudem wyrywano „ofiary z rąk gnębicieli":

— „Madryt powoli przyszedł do siebie. Jeszcze

przez kilka godzin tliły się kościoły i w szpitalach ratowano rannych".

Niechżeż to teraz przyjmie do wiadomości grupa nihilistów z „Oblicza Dnia" i niechżeż Wandalja Wasilewska pociągnie do odpowiedzialności tego Arconadę, tego don Cesara „,czołowca" z pod ciemnej gwiazdy.

Bardzo tedy jest chwalebne, że korespondentka „Naszego Przeglądu" zmieniła wreszcie zdanie, że zbudziło się w niej sumienie i serce i że pisze wreszcie prawdziwą prawdę o łajdactwach i zbrodniach rewolucji hiszpańskiej. Ale pozostają jednak jeszcze dwie niewyjaśnione kwestje.

Pierwsza, to ta, kto to rozpuścił w Madrycie nikczemny fałsz o zatrutych *cukierkach*, fałsz tak mocno zalatujący naszym Wschodem litwackim, kijowskim i kruszewańskim? Kto tam w Madrycie przypomniał sobie ten kawał z repertuaru czarnosotieńców i zastosował go *à rebours* na opak przeciw „reakcji", burżujom i faszyzmowi. No i pozostaje nadal druga *dawna* niewyjaśniona sprawa, to jest: skąd się w Hiszpanji wzięli *nieistniejący* i czy tam wogóle są i byli. I czy brali i jak wielki udział w reżyserowaniu rewolucji bolszewickiej?

Koledzy Eichhorn („Haint") i Hirschhorn stanowczo temu zaprzeczają. Natomiast kolega... Estrug twierdzi, że tak. Kolega Estrug jest Venezuelczykiem i żydem. Wydał książkę p. t.: *„Renovation Espana"*. W książce tej staje za postępem, za reformami, za laicyzają, za demokracją i za żydami, za wpuszczeniem ich do Hiszpanji z powrotem, ale broń Boże (Abrahama i Izaaka) żydów wschodnich aszkenazów i chazarów, a tylko i jedynie *sephardim*. żyd Estrug, ostrzega demokrację hiszpańską przed inwazją aszkenazów! Za to ostrzeżenie zerżnęła Estruga *„Jewish Chronicle"*. Zaczem

inwazja musiała być, skoro ktoś przed nią ostrzegał.

Otóż, że taka inwazja była, to stwierdza kilku świadków bezwzględnie wiarogodnych i autorytatywnych.

Pierwszy to kolega Koralnik, znakomity żurnalista, który już po pierwszej rewolucji natychmiast odwiedził „wyzwoloną“ Hiszpanję, przeprowadził szereg wywiadów (także i z prezydentem Zamorrą) i oto, co pisał w „Naszym Przeglądzie“:

— „Do Hiszpanji przybyli ludzie bez żadnych kapitałów i bez znajomości języka. Nie mieli żadnych widoków pracy. Przybyli tylko dlatego, że się ich wpuszczało. A skutki są bardzo smutne. W obecnej sytuacji w Hiszpanji ludzie ci nie mają tu co robić. Niektórzy z nierozsądnych przybyszów stają się ciężarem dla swych konsulatów. Te ostatnie jednak bardzo mało są w stanie uczynić dla nich... Niebrak wśród nich zmaltretowanych przez los przybyszów żydowskich z krajów wschodnich i środkowo-europejskich...“

Potwierdził to także korespondentowi „Kurjera Warszawskiego“ panu — zdaje się — Fajansowi prezydent sądu w Barcelonie Aguerro de Sojo, mówiąc:

— „Ta imigracja — jest ogromnie trudna do skontrolowania... Jeśli chodzi o jej moralność, to nie posiada ona tej dyscypliny, jaką daje tradycja... Co się tyczy cudzoziemców, to — różni przestępcy, wyrzucani z jednego kraju do drugiego, znajdą się wreszcie zawsze u nas, bez względu na to czy są z Europy, czy też z Ameryki... Przewaga zatem elementu anarchistycznego w ruchu katalońskim nie była niespodzianką. Groźnem memento natomiast jest ujawniony podczas ostatnich wy-

padków przerzut tego raka na inne prowincje hiszpańskie".

Jeszcze surowiej o tym raku imigracyjnym wyraził się sam były prezydent prof. Nicetto Zamorra w wywiadzie ze swym uczniem z uniwersytetu, profesorem liceum E. Barrym, co pierwsze zamieściło brukselskie „*La Financière franco-belge*" (12 grudnia 1934) i co musiało zaważyć na Zamorry niedawnej, tragicznej... exmisji.

Poprzedni prezydent republiki hiszpańskiej mówił tedy:

— „....Jestem zrozpaczony, mój kochany uczniu, wypadkami, które zaszły w Hiszpanji. Gdybym mógł je przewidzieć, wolałbym zostać przez całe życie w więzieniu, niż stać na czele republiki hiszpańskiej, której założenie stało się przyczyną wtargnięcia *najciemniejszych* żywiołów całego świata, które podkopują jej uczciwe i czyste podstawy. *Złoczyńcy* z całego świata przysłali nam wszystkich zbankrutowanych finansistów, którzy zrobili olbrzymie fortuny, sprzedając nasze papiery za nic na giełdach europejskich. *Sowiety* przysłały wszystkich morderców, wszystkich opryszków, którzy zorganizowali strajki i rewolucję w kraju. *Masoni* przysłali do nas wszystkich antyklerykalnych bojowników, którzy podłożyli ogień pod kościoły, szkoły i klasztory. Jednem słowem, gdy Hiszpan był spokojny, kraj stał się pastwą bandytów z całego świata, którzy spotkali się w Hiszpanji, aby ją złupić z cynizmem i okrucieństwem". —

Jak więc widzimy z tego, tak zwani *nieistniejący* jednak tam istnieli i swoje zadanie czy swoją misję spełniali i to tak archikapitaliści, jak i antikapitaliści. No i więcej tam było obcych (aszkenazim), niż swoich (sephardim). Dlaczego ci ostat-

ni nie wracali jeszcze masowo, to nam tłómaczył kolega z Toledo, dr. M. Cahan, znakomity działacz („światowej sławy"), w wywiadzie, danym prasie:

— „Jest rzeczą jasną, że tylko wówczas, gdy nowa republika weźmie się poważnie *do złamania nieograniczonej dotąd władzy Kościoła*, żydzi będą mogli powrócić do Hiszpanji"...

No i Republika już w pierwszej swej fazie starała się zastosować do zleceń dr. M. Cahana z Toledo. Palono katedry, demolowano klasztory, zakazano pogrzebów z obrządkiem katolickim, oddzielono Kościół od Państwa, spalono żywcem kilku „mnichów", zagrabiono szkoły jezuickie, kilka kościołów zmieniono na domy ludowe, a kilka na kina.

Natomiast z dużą pompą odbył się państwowy, uroczysty obchód osiemsetlecia Majmonidesa. A czytało się równocześnie taki radosny telegram „żata":

„MADRYT (ŻAT) — „W Kordobie ukończono w tych dniach prace archeologiczne, mające znaczenie również dla historji żydów. Prace przeprowadzono w kościele „Santa Maria La Blanca", który to gmach powstał w 12 stuleciu. Zbudowany pierwotnie jako synagoga, gmach ten w r. 1405 przekształcono w kościół, przyczem w ciągu 5 stuleci podlegał on różnym przeróbkom architektonicznym, aż uzyskał wygląd obecny. Architekt Moia wykrył starożytny fundament tego gmachu synagogalnego. Według istniejącego planu dokoła kościoła powstać ma ogród w stylu maurytańskich ogrodów synagogalnych. Portal kościoła będzie przebudowany w dawnym stylu synagogalnym".

Nieistniejący zatem (wedle Eichorna i Hirschhorna) musieli istnieć i jednak rozwinęli intensy-

wną działalność w miodowych miesiącach „kulturkampfu“ i palenia katedr... Synagogalnym!

A jeżeli „Nasz Przegląd“ teraz przed nowym przewrotem już półkomunistycznym *(communismo libertario)* informował (17 lutego), że:

— „Wpływów tych niema, *żydzi zagraniczni nie interesują się Hiszpanją jako krajem bez żydów*, kierownikami partyj lewicowych nie są żydzi, a najprawdziwsi Hiszpanie“...
to znów mijał się z prawdą. Nie tylko żydzi *zagraniczni* się interesowali, ale jakiś czas interesowali się tylko Hiszpanją. Od lat dwudziestu Lew Dawidowicz Bronstein („Teraz kolej na Hiszpanję“!), który atoli tryumfalnie do Barcelony nie wjeżdżał, gdyż wpółsparaliżowany czyta tylko („szał radości“) telegramy madryckie na wygnaniu pod Oslo (Norwegja). Za niego reżyserowali z za kulis: Neuman, Primaków, Berrin i t. p. Interesowali się zaś i jeździli i książki pisali: Erenburg, Kessel, Bloch, Blum, Kisch, Fischer, Poliakow, Kramsztyk, Fajans, Sauerwein, ba nawet jeden z Peiperów (Tadeusz), który w „Kurjerze Porannym“ z Madrytu tak zaprzeczał nadchodzeniu rewolucji:

— „Ale ani ten strajk, ani żaden inny z tych, które znam, nie miał poważniejszych następstw politycznych. Dlatego właśnie wiadomości o groźnych dla reżymu republikańskiego strajkach hiszpańskich należy brać z krytycyzmem“.

O Sarze Nelken już nawet nie wspominamy.

W każdym więc razie teza pp. Eichhorna i Hirschhorna o *nieistniejących*, czyli *o judenreine Revolution* nie da się utrzymać wobec tego, co tu udowodniono. W każdym razie 8.000 czyli 0.018 procent. Nie jest to dużo, ale jednak wystarczy. Taki prymityw, jak ten Hiszpanek *„Oblicza Dnia“* — „„czołowiec“ zapewne pojęcia nie ma, kto

ż za kulis kierował tem, od czego don Cesare wpadł w palpitację: 0.018 procent.

Ale jeżeli w Hiszpanji jakiś czas płonęły kościoły i klasztory, to zdaje się, że jednak tam się to, co najgorsze już pokończyło.

W Palestynie się zaczęło. I tam się w połowie nie zatrzyma i nie skończy.

EKWADOR! EKWADOR!

Ktoby tam dzisiaj to jest w ostatnich dniach maja r. 1936 zajmował się jeszcze... Salonikami. Tyle spraw i afer ważniejszych. Co telegram to emocja i sensacja najgrubszego kalibru.

W Hiszpanji nadal palą... katedry i klasztory, a w Palestynie nadal fabryki i kolonje i osady. Czerwone Hiszpany nadal mordują Białych a w Palestynie nadal Semici Semitów.

W madryckim parlamencie poseł Calvo Sotello wyliczył strajki, straty i szkody z 261 ofiar ludzkich świeżych na ołtarzu „boga zemsty"; w Palestynie 960 Arabów poszło do więzień. W Londynie upada podwójnie skompromitowany minister kolonij a rychło patrzeć jak pójdzie na szmelc jednosezonowy bohater wiecznie uśmiechnięty cukierkowaty elegant mr. Eden. Z pałuby genewskiej sypią się wióry i rozchodzi fetor a nawa Empiru trzeszczy tak głośno, że nocami spać nie można.

W Paryżu *cette canaille d. B.* „baron Blum" no i gangrena definitywna, bezapelacyjna, jak pod koniec r. 1870. Nadchodzące finale każdy concierge już może sobie odmalowywać. Jakto w Berlinie ciepło i w rękawiczkach traktują *cette canaille de B.* Niech się smażą, niech się pieką we własnym sosie na własnym ogniu. Pójdzie łatwiej. Nowy Sedan. Ale za to nowe niepodległe państwa tampono-

we: Bretonja, Flandrja... A na Południu też sporo obetną ale znowu tamci... A nawa Empiru też trzeszczy i to tak głośno, że nocami spać nie można...

Korsykanie i Nicejczycy już oczekują coraz niecierpliwiej... Imperium Romanum jak na drożdżach. Wogóle trzon Centralnej Europy od samej Północy do samego Południa zdrów i da sobie rady z Antychrystem, podzieliwszy się „wpływami". A nawa Empiru trzeszczy już tak głośno, że nocami spać nie można.

Ktoby tedy w takich czasach zwracał uwagę na jakieś tam Saloniki! I co mają Saloniki do Palestyny zdawałoby się. I tak jest istotnie. Nie wstąpiłoby się też do Salonik, wybierając się do... Ekwadoru i nawet wogóle w tamtą stronę lunety nie wycelowało, gdyby nie niejaki pan Icchaki. Jemu zawdzięczamy tę extraturę.

Niedarmo nosi imię Salomon ten niejaki pan Icchaki. No i tak pisze interesująco pan Salomon o swoich Salonikach, taki objekt doświadczalny zrobił z tych swoich Salonik, tak wykazał czarno na białem, że dla Salomonów cały świat to poprostu na wielką skalę te jego małe Saloniki, że uległo się pokusie, idąc za relacjami pana Salomona z ostatnich czasów i będzie tu usiłowało się swojemi słowami streścić to, co on narozpowiadał.

Zaczęło się to w kwietniu w „Naszym Przeglądzie" od „Kłopotów żydów Bałkańskich", o jednej klęsce, a potem wielkiem wielkiem zwycięstwie. Oprzemy się tu ściśle na korespondencjach i wynurzeniach p. Salomona Icchaki, który z punktu widzenia żydowskiego jest właśnie niepoprawnie i niebacznie rozgadaną paplą. Ale interesującą paplą.

Saloniki w Grecji to centrala macedońskiego tytoniu i uprawy i branży tytoniowej, a zarazem

gatunek takiej „twierdzy wypadowej", jako są Manchester, Lyon, Kraków. Ongiś tą poprostu republiką tytoniową (80.000 mieszkańców) rządzili wyłącznie Sami-Swoji, tak że Salomon Icchaki o Salonikach swobodnie pisze: „miasto greckie dawniej żydowskie". Po roku 1922, kiedy z Turcji depossedowano miljon Greków, dwieście tysięcy osiadło w Salonikach i okolicach. Rozbudowa galopująca w szybszym nawet tempie niż Gdynia lub Tel-Awiw. „Tubylcy" (mniejszościowi) dzielą się jak wszędzie na globie na Sassoonów (milionerów) i na Sobelsohnów (rewolucjonerów) niekiedy i w jednej i tej samej rodzinie: starszy brat nic tylko Geldhab a młodszy nic tylko Blum lub Trocki; schodzą się na święta rodzinne dla omówienia „kampanji".

Tak miastu jak i narodowi dobranemu wiodło się długie lata niezgorzej, a tylko od czasu do czasu „krótkie spięcia" i mały pogrom. Raz jednak i duże przedmieście poszło z ogniem. Ale że cały tytoń, jego produkcja i eksport w rękach Wybranego, więc forsy moc i prasa przekupiana anonsami zaczem „liberalna". A że znów Grecja głównie z tytoniu żyje, więc wszystkie ministry na dwóch łapkach i duserami sypią. Wielcy nieboszczycy: Venizelos i Tsaldaris sami ze sobą żarli się jak opętani, ale w stosunku do finansowo-Wszechmożnej Mniejszości raz po razu z komplementami i z obroną.

Aż tu nagle niedawno ten mord, nowy mord, nowe skrytobójstwo. Jugosłowianin względnie Judosłowianin „Serb" Frankfurter zabija w Davos w Szwajcarji hitlerowca, szefa, przywódcę Gustlofa. Ten nowy mord tak podobny do zamordowania Petlury przez Szwarcbarta w Paryżu (uwolniony) i Arlosorowa przez Stawskiego et C-o., wstrzą-

sa opinją tak w Jugosławji jak i w Grecji. Przypominają sobie, ile to kazali ciż sami wymordować w Rosji, ile na Węgrzech, ile ostatnio w Hiszpanji. Wstrząs oburzenia, odrazy, wstrętu no i decyzje, żeby wogóle nieco jak się to mówi ordynarnie „za mordę" tak Sassoonów jak i Sobelsohnów, tak Geldhabów jak i Marksistów. Dość niespodzianie decyzja rządu zakazująca we wszystkich szkołach nauki hebrajskiego i w publicznych i w prywatnych. Oczywiście chyba naśladowanie tych straszliwych fascystów Rzymian, którzy dla syjonizmu (w angielskim sosie) usposobieni są zdecydowanie niechętnie, negatywnie.

Całą korespondencję poświęcił temu zakazowi ognisty hyper-nacjonalista Salomon Icchaki. No, a między wierszami ale całkiem wyraźnie: groźby *(Gott der Rache)*: albo cofniecie ukaz, albo tego pożałujecie! Było to w kwietniu a już z końcem maja zemsty grom. Omal równocześnie ze Lwowem, zaczęte „po krakowsku" ale groźniejsze i omal jak w Barcelonie. Ten sam plan, ta sama reżyserja, ciż sami „technicy rewolucji". Ponieważ Grecja już od jakiegoś czasu mobilizowała swój nacjonalizm a kilka pism specjalnych zwracało stale uwagę na nagromadzone bogactwa tytoniowych Sassoonów i równocześnie na intrygowanie proletarjatu przez „Sobelsohnów", ponieważ młodzież zaczęła się i tam ubierać w... czyste kolorowe *koszule* a organizacja *Helios* rosła, więc Sanhedryn wydał *ordre*, aby przyśpieszyć, uprzedzić, zaskoczyć. Dzięki gadule Icchakowi widzi się tę robotę jak na dłoni. Utrafić Grecję w... sam „punkt newralgiczny". Że żyje z tytoniu, więc w tytoń. Sassoonowie tamtejsi tamtejszym Sobelsohnom pozwolili. Rozpoczęło się od strajku okupacyjnego w wielkiej żydowskiej fabryce (jak w Krakowie) i równocześnie dwa tygo-

dnie trwającego, łajdackiego, szatańskiego podjud-zania motłochu przez kilkanaście szybko *ad hoc* założonych tanich pisemek brukowych (w Hiszpanji czerwone szmaty nazywano *mosquitas)*. Od strajku zaczęło się a skończyło na barykadach, na formalnej rebelji, odcięciu przez cztery dni od świata i objęciu władzy nad miastem przez ebreos, strzelaninie, mordowni, podpalaniu, pożarach, awanturach, bratobójstwach, wojnie domowej. Ze Salonik przeniosło się i do Aten.

Salomon Icchaki wpadł w „szał radości". Nie mógł się pohamować jak nie potrafią nigdy w takich razach ci pseudo-Salomonowie. I oto jak szczerze cieszył się ze zemsty Izraela nad rządem, który ośmielił się na zakaz hebrajszczyzny i jak... *pouczająco:*

„Krwawe rozruchy robotnicze w Salonikach odrazu oczywiście nie miały *charakteru czysto żydowskiego*. Ale z czasem stan rzeczy jeszcze bardziej *się wyjaśnił:* robotnicy chrześcijańscy i żydowscy stali się jednem ciałem, mieli przed sobą jeden cel w walce o swe wspólne prawa. Przelana krew chrześcijan i żydów dokonała całkowitego *przewrotu w duszach* owych dziesiątków tysięcy chrześcijańskich mężczyzn i kobiet, *którzy wczoraj jeszcze* nie byli zgoła usposobieni przyjaźnie wobec żydów. Tym razem istniał zjednoczony front wszystkich 8 tysięcy robotników tabacznych miasta. Wystawiają wspólne żądania ekonomiczne, ogłaszają strajk i pragną wygrać walkę. Natrafili przytem *na stosowną chwilę:* w fabrykach leży 10 miljonów kilo tytoniu, które trzeba zaraz obrobić, gdyż inaczej ulegną zepsuciu, *państwo, handel, cały naród poniesie olbrzymie straty*. Robotnicy są na to obojętni".

Tak się wygadał Icchak.

Robotnicy greccy pod komendą Sobelsohnów okazali się *na to obojętni*. A na co nie są obojętni?

„Maszerują dziesiątki tysięcy, trzymają się pod rękę, prawie głośno nie mówią. Tu i owdzie tylko w kąciku słychać okrzyk: niech żyje Blum! Niech żyje Hiszpanja!" W... kąciku...

Już nie Trocki, jak w Warszawie dawniej krzyczeli, ale: Blum. Już nie Sowiety! A Hiszpanja drgająca w konwulsjach rewolucyjnych, krwawiąca, bezsilna, w ostateczną nicość i rozpadanie przez 0.018 procent w przepaść spychana Hiszpanja.

Ale trochę rachmistrze i *rache-mistrze* jednak się przerachowali. Tu im się na chwilę udało. Udało narazie w Hiszpanji. Stale udaje w Paryżu... I w Genewie. Raz po raz znów się odgrywają w Londynie. Nawa Empiru (toczona przez skorki) trzeszczy już tak głośno, że nocami spać nie można. Więc i tu się im *udaje*. I w salonach dyplomatycznych i w Salonikach...

Natomiast w tem i tam, gdzie najważniejsze, katastrofa o rozmiarach, których się w „najpejsymistyczniejszych choroskopach" nie przewidywało, o rozmiarach i w terminie tak przyśpieszonym, że tego nie przeczuwał nawet ten publicysta, który, aby ich do ztonowania prowokacyjnej czelności nawracać, stale w latach 1933, 1934 i 1935-tym nadejście Jom-Kipuru (Sądny Dzień) właśnie w Palestynie sygnalizował.

Były już pogromy. Było ich w 17 latach 19-cie, ale takiego nikt nigdy nigdzie przewidzieć nie mógł.

Zaczęły się tego także dnia, kiedy z Paryża do Brukseli zjechał pan Bernard Lecache, aby przed wielkiem vanderweldowatem audytorjum wygłaszać nowy potworny paszkwil na Niem..., nie, nie na Niemców, na Polskę!! 19-tego kwietnia! I miała

palestyńska juden-heca trwać normalnie kilka dni i miał wnet być „przywrócony porządek". Kolega Smilanski publicysta żargonowski w Jerozolimie pisał sobie w przystępie dobrego humoru optymistycznie:

„Handel i przemysł żydowski nie ucierpiały i nie ucierpią spowodu strajku. Jaffa stanowczo więcej straci, aniżeli Tel-Awiw. Może wreszcie zgodzi się rząd na wybudowanie portu w Tel-Awiwie, w mieście, które dziś liczy przeszło 130 tysięcy mieszkańców, a *w najbliższej przyszłości* osiągnie napewno ćwierć miljona ludności, które jest otoczone wielkiemi bogatemi kolonjami, które posiadają morze i rzekę". —

Ćwierć miljona przeznaczał „w najbliższej przyszłości"...

A tu tymczasem coś się przeciągnęło. Zamiast trzech dni trzy tygodnie, zamiast trzech tygodni sześć tygodni no i nie na małą skalę à la Kiszyniew, ale formalna wojna domowa ot taka jak w tej... „wyzwolonej" Hiszpanji.

Rezultat definitywny i presumptywny: trzeba się będzie wynosić. Już nic a nic nie pomoże ani Huberman, ani „królewska komisja", ani emir Transjordanji, ani Roosevelt, ani lord Lytton, ani biskupy holenderskie, ani lord Snell, ani mianowanie ministrem kolonij kogoś z gatunku „lordy rytualne mordy", ale w *najbliższej przyszłości* trzeba się będzie wynosić. Z kretesem. *Sack und Pack.* Zadarło się piekielnie ze *Semitami.* Grekom, Polakom, Moskalom, Czechom, Słowianom wogóle można latami czy wiekami pluć w kaszczę i w paszczę i jakoś to uchodzi z niewielkimi bólami. Ale z Mahometanizmem rozbudzonym na całym miljonowym froncie już się do żadnego okrągłego stołu albo nie zasiądzie, albo tak na krótko zasiądzie, że

zaraz na schodach będą znowu w robocie i noże i sztylety.

Sukcesy planetarne ma się za to na innych punktach globu: na Kremlu: Wałłach, na Quai d'Orsay: Blum, w Londynie: Sassoony, w Madrycie Sobelsohny. No to tem się trzeba pocieszać i to sobie powtarzać: „niech żyje Blum! niech żyje Hiszpanja!..." Nawa *Empiru* też tak głośno już trzeszczy, że nocami spać już nie można. To także kara Jehowy! Za co? za co? Za nieudanie wielkiej akcji bojkotu Niemiec trzy lata temu. Nakazali, a tamci nieusłuchali. Więc zasłużyli. W warszawskim „Momencie" nr. 286 pisał wtedy p. A. Keiser z Londynu (listopad):

„Byliśmy jednak politycznie krótkowzroczni. Nie przewidzieliśmy, że niemiecko-francuskie porozumienie na tle Saary, dokonane za zgodą Anglji, podetnie nam wszystkie skrzydła bojkotowe. *Anglja pragnie żyć w zgodzie z Niemcami i rząd jest przeciwny wszelkiej akcji bojkotowej*".

Kara Jehowy musiała więc przyjść wcześniej czy później. Sobelsohn zapowiedział. W telegramie „Pata" z Rygi (2. stycznia 1936) czytało się co pisał w „Prawdzie":

„Radek w zakończeniu artykułu omawia sytuację na Dalekim Wschodzie, zatrzymując się dłużej na roli Anglji i przepowiada, że ustawicznie balansująca polityka brytyjska może wreszcie stracić równowagę i będzie odpowiedzialna za rozpętanie wojny, która skończy się rozkładem imperjum brytyjskiego".

Rozkładem!

Ale *rozkład* nie za to tylko. Za wiele sprawek innych, za Plumera, za Chancellora, za Samuelsa, za sir Arthura, za Lawrence'a, za generała Bollsa,

za colonela Philby, ze Gertrudę Bell... za Mosleya no i za... Marleya.

Bo i z Marleya też są niezadowoleni.

Przyjechał do Warszawy w maju przyjaciel z Londynu *Lord* (uj! uj!), a były minister w gabinecie labourzystów, zaczem dobry okaz Polakom na pokaz.

Kocha od lat czterdziestu lord Marley starozakonników z taką zapamiętałością, z jaką tylko liczni na trzech wyspach zboczeńcy karessują swoich wybrańców. Od dziesięciu lat rozplątuje węzeł gordyjski lord Marley i dużo z tem i z żoną Esterą jeździ i obwozi się. Zaprosili go do Warszawy panowie terytorjaliści, to jest sceptycy, którzy w Syjon nad Jordanem wierzą nie w pełnych stu procentach. Niechby lord socjalistyczny wysłuchał gorzkich żalów, skarg, lamentów i sam wypowiedział się, co myśli o przyszłości „uciskanej niewinności". Lord mówił o wybrańtwie wybranej rasy (sic: rasy!) i o zasługach dla cywilizacji, wysypał kilka funtów duserów, komplementów, superlatywów z ogólnym sensem atoli kolczastym, ukrytym w różach:

„Do Palestyny już nie jechać, bo na prawdę mamy was tam dosyć! Wszędzie indziej owszem!"

To też i lord Marley mógł się tu teraz przekonać, że jeszcze sie ten nie narodził, coby im w judolubstwie dogodził. Na Marleya posypało się od strony żargonautów jakby na jakiego Mosleya (szefa czarnych koszul w Londynie). A znakomity nasz kolega z „Momentu" redaktor Gottlieb tak naurągał lordowi przyjacielowi:

„I jeszcze czegoś mamy prawo żądać od dżentelmena: gdy rozprawia o kwestji żydowskiej, to niech nie sprawia wrażenia, że jest emisarjuszem rządu angielskiego lub jego aparatu urzędniczego,

na co bardzo słusznie zwrócił uwagę p. N. S. w „Naszym Przeglądzie“. Cała frazeologja o tem, że *żydzi nie mogą się spodziewać wielkiej pojemności od Palestyny,* i że angielska władza mandatowa musi się liczyć z wielką ilością muzułmanów w jej kolonjach — to wszystko brzmi jak artykuł wstępny w dawnem czasopiśmie „Near East and India“ i dzisiejszem „Great Brittain and India“, organie ministerstwa kolonij, który występuje jako „advocatus diaboli“, jak obrońca wszelkiego bezprawia i nonsensu, jakie popełnia administracja kolonjalna“.

A jednak *advocatus diaboli* znaczy się wedle Gottliebchen obrońca szatana Anglji i lord Marley, *dear mister Gottlieb,* miał rację.

Angielska władza mandatowa musi się liczyć z Muzułmanami, o ile to oczywiście nie jest już spóźnione... Nawa Empiru bowiem trzeszczy już tak głośno, że nocami spać nie można formalnie. Te 340.000 elitów wsypanych z różnokrajowych worków na tę malenieczką ziemię świętą zdołało w przeciągu lat dziesięciu zapracować, zarobić, zaskarbić dla Johna Bulla rosnącą w piorunującym tempie niechęć całego świata muzułmańskiego. Sporo miljonów funtów pochłonął ten mistyczno-tradycjonalistyczny *camping* nad Jordanem a rezultat tego taki, że kurczy się na oczach naszych wydęty planetarną reklamą balon i wnet opadnie na ziemię jako olbrzymi zewłok.

Te sześć tygodni rewolucji arabskiej, nawet gdy ją „spacyfikują“ wreszcie zramolałe Brytony, już się przekształciły na *revolucio in permanentia.* Tych sześciu tygodni już nic nie odrobi i nic nie naprawi. Nie trzeba liczyć na żaden *deus ex machina.* I że niby deszcz kamienny spadnie na Amalekitów, wytraci Moabitów i pognębi Filistynów.

Cuda nie przychodzą teraz na poczekaniu. Ani się nie uda przekupić emira Transjordanji, ani się nie uda poniewczasie podburzyć strajkujących choć głodujących arabskich chłopów na arabskich dziedziców, na effendich, na szeików (reforma rolna bez odszkodowania). W Grecji w maju się udało. W Hiszpanji w kwietniu się udało, a właśnie tu, gdzie było można i gdzieby teraz *trzeba*, już nie pozwolą *nieba*. Przegrana. I nie szlachta arabska będzie wywłaszczona, ale kto inny będzie exmitowany, depossedowany, *displaced*, a Jehowa widzi to wszystko i jakoś nie grzmi.

Przyjdzie wnet pakować Lary i Piernaty i opuszczać jako ongiś Egipt. Drożdże wszystkich szowinizmów zrobiły swoje, tym razem budząc z wielowiekowego letargu śpiącego olbrzyma... Izmaela.

Teraz po tej „wiośnie narodów" i szczepów z *islamestanów* trzeba już będzie myśleć o likwidowaniu całego interesu i organizować powrót względnie nowe przenosiny, nową wędrówkę narodu Ahaszwerosza. Tego u nas nie przewidziano.

I wtedy sobie panowie znów może przypomną, jak to właściwie do tego doszło.

Przypomną jak terytorjalista Herzl początkowo myślał to o Kenji w Afryce to o Ugandzie i jak to mu wtedy na meetingu krzyczeli: „zdrajca!" i już gotowi byli po staremu kamieniować kalumniami.

Przypomną, że w specjalnej umowie *tempore belli* (1916), umowie francusko-angielskiej w sprawie rozbioru Turcji (Sykes - Picot) Palestyna dołączona do Syrji miała przypaść... Francji.

Przypomną, że *tempore belli* Clemenceau (1919) już przechylił się do propozycji kardynała Mercier, aby mandat palestyński dostała... Belgja.

I przypomną też, jaki to im olbrzymi szmat ziemi w Afryce Wschodniej proponował jeszcze później papa Chamberlain. Wejście bowiem do El Kudź (Hieruszhalajim) wojsk angielskich 9 stycznia 1917 r. z Allenbym, Bollsem, Lawrencem i... Żabotynskim wcale jeszcze nie decydowało o oddaniu Ziemi Świętej pod władzę londyńskich... masonów. A przecież i ten Hercl myśląc o Palestynie, w pierwszym szkicu przeznaczał dla kolonizacji... El Arisch, dobrze nam znany przez Słowackiego El Arisch. Może przewidywał, może przeczuwał, może miał sny koszmarne?

Tak jak dziś rzeczy stoją a raczej leżą, pokotem leżą, nie już o jakiemś podwyższeniu „kwoty" to jest cyfry certyfikatów imigracyjnych, ale o jakiejśkolwiek nowej *„alji"* do *jiszuwu* mowy być nie może. Każdy nowy chaluc, każda nowa dentystka *aus Ungarn* wysiadająca z okrętu, to nowy ładunek propagandy antyangielskiej na całym Wschodzie, ale i z Północną Afryką włącznie. I to równomierne nowe wzmożenie sympatyj progermańskich i proitalskich u ludów Wschodu. A nawa Empiru trzeszczy i trzeszczy już we wszystkich wiązadłach tak głośno, że nocami spać nie można, gdy się jest wybrańcem Losu, to znaczy, gdy się urodziło Anglikiem (*Lords-people)*. Dali radę dwa tysiące lat temu Imperium Romanum. Czyżby teraz tak się chcieli odwdzięczyć rodakom Balfoura i Morleya? Nie, to być chyba nie może! Kąsali coprawda zawsze te rece, które ich tak z włosem głaskały (Żabotynski, Thon, Schwalbe), no ale do tak *czarnej* niewdzieczności jednak nie byliby zdolni. Przecież ta Wielka Brytanja dała im ten *Erec,* ten *home*, tę siedzibę, godząc się w sumieniu swem na dechrystjanizację Ziemi Świętej byle mieć nowa drogę, „główny nerw komunikacji imperjalnej"

z Indjami, jak to zapewniał niedawno w „New York Timesie“ wzorowy Anglik i Litwak i Polak i Poliakow i Augur w jednej osobie. A jednak co pouczają dzieje i to dzieje właśnie Brytanji? Kto to był ten kto finansował oderwanie *pierwszych* kolonij od Trójkrólestwa, kto finansował Rewolucję Amerykańską? Otóż to był Salomon. Jako niejaki pan ze Salonik Icchaki Salomon. Także Salomon ale z nazwiska. Z imienia zaś Chaim. A pochodzenie? Z Polski...

Dzisiaj oni pierwsi wstrząsają kolumnami kasztelu Baltazara. Weltbrand! Wełtoktober. Podświadomie *(subliminal)* oczywiście. Nie świadomie, nie: tendencyjnie a... przypadkowo... Taki zbieg okoliczności. Nie trzysta miljonów mieszkańców Indyj wstrząsa a 330 tysięcy mieszkańców Erecu. Nie olbrzymia Kanada i piąty kontynent: Australja a mały, maleńki Erec podstawia nogę kolosowi, Gigantowi. Nie naumyślnie, nie. Mimochodem. Choćby się nie wiadomo na co zaklinali i wypierali i zaprzeczali i przysięgali, a jednak oni z Gandhiego zrobili Golema, oni podsuflerowali Anglikom protegowanie geszeftów Lwa Judy i globowych rozmiarów *compromiteszen,* oni judzili opinję Londynu na Duce jak też szczują opinję Warszawy na Führera... W każdym razie dopchnęli już Anglję do najryzykowniejszej alternatywy:

albo iść teraz na rękę i pod rękę z żabotynskim, z rewizjonistami, a potem kolejno bombardowanie z obłoków Jerozolimy, Betlehem, Nazare'tu, (Ammanu, Kairu) etc... i wtedy cały Islam: *contra;*

albo radykalna likwidacja syjonizmu, zgoda z Islamem i przetransportowanie całej Izra-Elity gdziekolwiek, byle jak najdalej od kuzynów... „Semitów konnych“,

... a wtedy. A wtedy? A wtedy, skoro *tertium non datur*, zahazardowanie przeciw sobie szesnastu miljonów Sobelsohnów (i Sassoonów), które odtąd zaprzysiągłszy zemstę aż po dwudzieste pokolenie, przejdą do akcji czynnej na jednym punkcie, to jest do skomunizowania i zrewolucjonizowania zdradzieckiego Londynu *(perfide Albion)*.

Tak czy owak początek końca tej zresztą pięknie, romantycznie, z powieści (d'Izraelego) i z komedji (Dumasa) zrodzonej afery syjońskiej zbliża się bezapelacyjnie do końca.

W każdym razie będą już raczej wracali *niż wyjeżdżali*. Będą wracali z Haiffy do Salonik, skąd ich za dobrych czasów *prosperity* wywędrowało do 12.000 przeważnie robotników portowych. Nie chcąc teraz narażać życia dzień w dzień, będą greccy żydzi chcieli wracać do siebie do Salonik. Ale ich tam już nie wpuszcza. Saloniki przeżyły generalną próbę, Grecja miała przedsmak tego co potrafią, więc jako te Węgry, Grecy są immunizowane i nie wpuszczą.

Do Niemiec? Ausgeschlossen!

Do Polski morzem może. Ostatnia to zawsze deska ratunku. Niedaleko na niej zajedzie, ale z biedą da się może ujechać, może spory dziejów kawał. Naród to „chamowaty" (wedle rabbi Thona z Krakowa) ale i Hiobowaty, no a że nie w ciemię tylko bity, więc trochę i mózgowo schwach i wola schwach, charaktery z waty, solidarność z wosku. Jak to niedawno chwalił tych Polaków na Zjeździe Federacji P. Z. w Londynie naczelny rabin W. Brytanji sam dr. J. Hertz:

„Jak długo Polska była prosperującą i potężną, byli nimi również żydzi polscy. Byliśmy świadkami cudownego zmartwychwstania Polski, ponownego jej odzyskania sił materjalnych i ducho-

wych. Jakże szczęśliwymi byliby żydzi w Niemczech, gdyby się znaleźli w sytuacji naszych braci polskich. Tolerancją swą i ludzkim stosunkiem do mniejszości Polska przodowała innym narodom".

Przodowała. Innym narodom. Ładnie wyszła na tem przodowaniu... A Kraków jeszcze przoduje tym przodującym. Niedawno na kongresie syjonistycznym w Pradze nawet Tel-Awiwowi za wzór stawiał Kraków p. Mojżesz Schapiro:

„W Krakowie odczuwa się bardziej odpoczynek sobotni niż w Tel-Awiwie. Ma się nieraz wrażenie, że w Palestynie panuje system partyjnie zorganizowanego bezczeszczenia świętości dnia sobotniego"...

To też z takiego Krakowa stosunkowo najmniejsza, wprost mikroskopijna ilość entuzjastów przenosiła się nad brzegi Jordanu. Ale z całej Polski też i także nie wiele. Masowa emigracja to legenda, to myt, to „schacher" jak to nazywał u żydów Karol Marx. W całości *nie całe sto tysięcy.* W przeciągu ostatnich lat dziesięciu: 53.096, raptem: 53.096. Cyfry: Głównego Urzędu Statystycznego zeszyt 5—6 z 25 lutego 1936.

Coś z tego w Palestynie może jednak zostanie pod opieką highlanderów, czołgów i karabinów maszynowych na aeroplanach. Atoli tak zwana „większa połowa" poczuje powrotne tęsknoty do miejsc ojczystych i do miasteczek nad Wisłą i Wieprzem. Już dziś wolą chyba śpiących Lachów jak rozbudzonych i rozwścieczonych Fellachów, Beduinów, „brudną, śmierdzącą tłuszczę", „barbarzyński motłoch"...

Czy my znowu na oścież ze staropolską gościnnością i szeroko rozwartemi ramionami nieporadnych i nieuleczalnych matołów?

Nie rozchodzi się o te głupie 25 czy 30 tysięcy.

Zmieszczą się. Gdy kto dożywotnio garbaty, to już mu wszystko jedno czy garb rośnie czy nie rośnie. Przy okazji tylko dowie się też narodek, co za monstrualnem bluffowaniem była ta gadanina i pisanina dziennikarskich niewypierzonych genjalkiewiczów („Palestyna po raz trzeci"), gadanina o t. zw. *odciążeniu (sic!)*, o tem, że Palestyna „pochłania" czy „wchłania" omal cały nasz żydowski przyrost roczny (stale 25 tysięcy? 9,9 pro mille)?

Tę bujdę statystyczną lansowali mądrale Syjonu systematycznie przez lat dziesięć. Z każdego wyjazdu stu czy dwustu sztuk tak zwanych chaluców czyli jak się sami zowią: „żydlakes" urządzano na polskich dworcach kolejowych kompletne pantominy nawet z tańcami (hora na peronie), trąbiąc na jerychońskich rogach i na rogach ulic o nowych transportach. Poczciwe sumiaste, słomiaste tępaki-polaki (oczy piwne i naiwne) brały te spektakle całkiem na serjo i zacierały dłonie z radości, że znów szczęśliwie nas taka kupa opuszcza! taka kupa! A tu w rzeczywistej rzeczywistości: „trochę to tam jechało", jak mawiał pono sceptyk Gliwitz, ale „drugie trochę to tam trochę wracało" no i w gruncie rzeczy „kropla w może"...

Teraz po tym wybuchu wulkanu w Erec, po tym terrorze i po tej panice będą wycofywali się ale większemi, większemi kupami. Tylko patrzeć!

Obecnie jeszcze nadrabiają tam minami. Cała publicystyka szowinistyczna do 40 stopni gorączki stawia się, grozi Arabom, grozi Anglji, krzyczy na Anglję, wymyśla na komisarza, stawia się jeszcze, coś tam trzepocze trzy po trzy, pociesza, że lada chwila opór Arabów będzie „złamany", że warzywnicy już są przeciw rewolucji, „ruch budowlany wzmożony" i „jadą wozy z cegłą". Natan der Weise

Schwalbe nadal z bezkarną efrontezją poucza i beszta prasę polską. Rabbi Thon wyje ku niebiosom błagając o potop lub trzęsienie ziemi. No i wydane hasło: nie bać się! nie się bać! bo przetrwaliśwa Hamana i Tytusa, to przetrwamy i Muftiego i Dadżaniego i Faradżiego i tych wszystkich „łobuzów" i „hersztów". Bądźcobądź w Paryżu Blum. I Francja leży. I Hiszpanja leży... Chuligana Maurrasa starego na osiem miesięcy paki skazali.

Maluczko atoli a zrzednie panom mina. A jeszcze maluczko a masowo zaczną wracać.

Czy ich wpuszczą? W Ewangelji czytamy: więcej jest radości w niebiesiech od jednego marnotrawiaka, niżeli od 99 normalnych tubylców... Ale w *niebiesiech*.

Nie rozchodzi się o te jeszcze mniej lub jeszcze więcej 25.000 „marnotrawnych synów" i córek opalonych, wracających na Ojczyzny łono. Ale wogóle?

Wogóle! Drugie największe skupienie! Stany Zjednoczone: 4.450000, Rosja Sowiecka 2.000.000, *Polska w r. 1936 miljonów trzy i sto pięćdziesiąt* tysięcy (3.150.000). Ale na ile miljonów w Stanach Zjednoczonych przypada i na ile miljonów w Związku Republik Radzieckich a na ile miljonów u nas? W ojczyźnie Roosevelta bądź co bądź *3,58%* a w Warszawie w Moszkopolis 35%. Wedle źródeł i danych żydowskich, więc „niepodejrzanych", 74,4% przemysłu krajowego w rękach żydowskich, 18% w rękach spółek mieszanych, a tylko 5,6% placówek handlowych i przemysłowych w rękach polskich (Fellachów). W stolicy mocarstwa 13,2% sklepów w rękach polskich. W przeciągu 130 lat t. j. od r. 1816 wzrósł procent żydów w Polsce z 7,8 na 14 (czternaście)!

Czy tedy ten stan straszliwy, który jest teraz,

wytrzymamy nerwowo my i czy wytrzymają oni? My jesteśmy u kresów cierpliwości, wyrozumiałości, wytrzymałości i już dostajemy to indywidualnych, to stadowych ataków poprostu wściekłości. I najhumanitarniejsi i najliberalniejsi i najpostępowsi i najdemokratyczniejsi. Czy my, to jest w tym wypadku inteligencja, ale inteligentna inteligencja, której najinteligentniejszy naród świata przy całej swej *moral in semity* nie może nie imponować i nie fascynować, czy my zdołamy czy to aktywną obroną, czy pasywną rezerwą wstrzymać nasze masy od samozachowawczej akcji obronnej, czyli mówiąc prosto i lakonicznie od pogromów? Czy możemy w zgodzie ze sumieniem ludzkiem, narodowem, państwowem nadal katorgować patrjotów i zostawiać na pastwę pasożydnictwa naszych chłopów, byle tylko salwować renomę i prestige państwa kulturalnego, to znaczy *moral in semity* tolerującego? Na to bowiem ostatecznie wychodzi i tym sposobem ten stan prowizorjum in infinitum się przeciąga.

A garb rośnie i rośnie z roku na rok. Nic a nic się nie zmniejsza mimo ich słabszej płodności — rozrodczości, a stale zwiększa. Ostatnia zresztą fikcyjną naszą deską ratunku odpływa. Nawet ten wylew do Palestyny sezonowo-willegjaturowy, groteskowy, dekoratywny, kuracyjny, efektowny, ale nie efektywny, ten minimalny wylew *(outlet)* już przechodzi do przeszłości, do mytów.

Palestyna dla Izraelitów bezpowrotnie się zamyka.

Żeby feldmarszelik Żabotynski, tensam, który 25 lat temu w prasie odeskiej i kijowskiej pyskował przeciw nadaniu Polakom choćby awtonomji, choćby więc Żabotynski, teraz na stare lata zorganizował „bataljon śmierci“ czy korpus

„Niezwyciężonych“ na wielbłądach czy mułach, to już nic nie poradzi. Palestyna się zamyka przed dalszą dechrystjanizacją, przed zamerykanizowaniem, poganizmem i kulturbolszewizmem. A na scenie dziejowej wnet już ukaże się król Jednooki, Cromwell mahometański i jego ludzie...

Wobec tego, co nadchodzi powoli ale nieubłaganie, do głosu zapisywać się zaczną w Jeruzalem inni, nowi, wracający terytorjaliści, działacze z „Freelandu“, „Liga Freelandu“, homines novi. Nie śmiej się pan, panie Natanie Szwalbe z literackich, niekompetentnych prognostyków, bo już moc z tych prognostyków co do joty się spełniła. I wtedy znów się zacznie dysputować i wentylować i oglądać różne terytorja na całym Bożym świecie: Australja, Argentyna, Madagaskar, Abisynja, Biro-bidżan, Krym. Wszędzie są jakieś komplikacje i utrudnienia i wszędzie z jakimś chyba bezmyślnym uporem twierdzą, że: tych jednych jest wszędzie za dużo, nawet gdy jest ich mało to za dużo...

O Ugandach i Kenjach marzyć nie można. Australja? W tę już wlepieni wzrokiem Japończycy, no i prędzej czy później...? Stany Zjednoczone i Kanada zaryglowane. Argentyna słyszeć nie chce, Brazylja także...

Jedno jest natomiast w Południowej Ameryce państwo, które poprostu z braku ludności gotowe jest przyjąć nadmiar zewsząd a więc i nasz także. Nie tylko wpuszczają ale zapraszają.

Czytelnik pomyśli teraz zapewne, że Meksyk. Nie, nie Meksyk. Dziesięć lat temu był Meksyk, ale z tem się już przez te lata i popsuło, skończyło. W sierpniu roku 1924 stary galernik, przepędzony później prezydent Calles zapraszał gościnnie i drukował w prasie amerykańskiej takie orędzie:

„Jestem żywo zainteresowany w tem, aby te tysiące rozproszonych po Europie emigrantów żydowskich osiedliły się w Meksyku. W tej sprawie pertraktowałem już z różnemi żydowsko-amerykańskiemi organizacjami i rząd mój gotów jest dać do rozporządzenia żydowskiej kolonji w Meksyku znaczny obszar uprawnej ziemi. Oprócz tego imigrantów zupełnie zwolnię od podatków i ustanowię dla nich ulgową taryfę kolejową. Jako minister spraw wewnętrznych zapewnię żydom z Ukrainy, Litwy i Polski dalsze osobne ulgi... Konsulom meksykańskim zagranicą polecono bezwzględnie wizować paszporty wszystkich żydowskich emigrantów... Ponieważ jesteśmy szczególnie zainteresowani żydowskimi kolonistami — zostanie dla nich wypracowany plan kolonizacyjny“ i t. d....

Od tego jednak czasu „sytuacja się zmieniła“ i choć Meksyk zbolszewizowany odszczętnie, to jednak żydów już nie wpuszcza. Nie Meksyk zatem. Inny kraj: *Ekwador! Ekwador!*

W Południowej Ameryce z końcem roku 1935 mieszkało:

Argentyna	260.000
Brazylja	50.000
Urugwaj	25.000
Chile	10.000
Peru	2.500
Columbia	2.500
Paragwaj	1.000
Holenderska Guyana	1.000
Equador	200

Zaczem w Ekwadorze 0,01%. Dwie setki. Więc tam jest miejsce. Więc tam są pożądani i tam nie są *„lästige Ausländer“. Ekwador!*

Tego się nie pisze jako dowcipu, bo na szmoncesy nie pora, ani też się nie pisze dla podrażnia-

nia i irytowania amoklauferów jak Thon lub giftmiszerów jak schadchen Hirschhorn. *Ekwador.* W Paryżu już się zainteresowani krzątają koło tego interesu. Już założyli organizację wywiadującą: E. M. K. E. L. A poseł Ekwadoru w Paryżu mówił dziennikarzom co następuje:

„Rząd ekwadorski postanowił działać w duchu największej gościnności i jest gotów pod każdym względem iść na rękę zarówno tym imigrantom, którzy pragną przyjechać tam własnym kosztem, jak i tym, którzy przybywają jako członkowie organizacji kolonistów. Plan kolonizacyjny polega na tem, że należy stworzyć współdzielczy bank kolonizacyjny, który zaopatrzy w niezbędne kredyty pierwsze 300 rodzin osiedleńców i utworzy fundusz w sumie 100 tysięcy sukrów (około 150 tysięcy franków) na budowę dróg, szkół i t. d. Do dyspozycji osiedleńców rząd postawi obszar 485 tysięcy hektarów ziemi, ale nie na jednem miejscu, lecz w różnych punktach kraju.

Imigranci otrzymają prawo obywatelskie na podstawie konstytucji i różnych ustaw. Zaraz po przybyciu cieszyć się będą wszystkiemi prawami, z wyjątkiem prawa wyborczego i prawa zajmowania posad państwowych. Będą jednak mogli uzyskać obywatelstwo ekwadorskie po roku pobytu w tym kraju.

Ulgi, jakie przyzna rząd ekwadorski nowoprzybyłym, są rozmaite. Przedewszystkiem rząd udzieli bezpłatnych koncesyj na grunta po 25 — 100 ha uprawnej roli dla każdej rodziny. Następnie przybysze w ciągu 3-ch lat wolni będą od podatków, przyczem w pewnych wypadkach termin ten może być przedłużony, o ile wymagają tego nowozałożone przedsię-

biorstwa rolne lub przemysłowe. Uwolni się ich także od wszelkiego cła od importu narzędzi pracy, materjałów budowlanych, których nie można dostać w kraju, maszyn rolniczych i przemysłowych, a nawet medykamentów i t. d. W szkołach nowoprzybyłej ludności może być wprowadzony jej język macierzysty. Wolno przybyszom zakładać gminy i zorganizować swe życie kulturalne według własnego obyczaju".

Also sprach Gonzales Zaldumbido, reprezentant Republiki Equador w Paryżu.

Niechżeż się teraz Obrażalscy i Megalomännery nie ciskają zaraz i nie toczą piany, że się ich „znów wysyła" do Ekwadoru. Bądź co bądź oferta tym razem poważna i pozytywna a terytorjum, sądząc z mapy, olbrzymie, podczas gdy Palestyna, *to było, to było ledwie 23 tysiące kilometrów kwadratowych.*

O tem, żeby się u nas naprężone stosunki obopólnie jakoś harmonijniej ułożyły, niema co marzyć...

Będą się pogarszały z miesiąca na miesiąc a nawet z tygodnia na tydzień i to nawet jeżeli kryzys ekonomiczny zacznie się kończyć. Niechżeż więc naród-gospodarz widzi i ma dowody *dobrej woli* z celem ulżenia obu stronom.

Narazie ma dowody *złej woli.* Parcie i intrygowanie do *front commune,* podżeganie do rewolucji socjalnej, do *grand soir,* do rzezi burżuazji chrześcijańskiej, do *hiszpanizacji.* Definitywny cel: dołączenie do Sowietów i rządy czrezwyczajne wyłącznie żydów, rzecz prosta głównie rosyjskich. „Weltoktober". „Weltbrand".

Losy Hiszpanji mają nas pouczyć, jaką są in-

fernialną potęgą nawet tam, gdzie weszli niedawno i gdzie ich zaledwie 0.018 procent.

Jeszcze więcej i plastyczniej wypadki w Grecji. Rząd grecki ośmielił się odważyć na *sui generis* „zakaz uboju rytualnego". Zakazał w szkołach hebrajszczyzny. Ostrzegali. Nie pomogło. W kwietniu *prestuplenje (crimen laesae Majufestatis)*, w maju *nakazanje.*

Gott der Rache. W Polsce za ubój rytalny natychmiastowa kara. W dzień 17-go marca protestacyjna manifestacja żydów i równocześnie nakazana manifestacja solidarności skretyniałej P. P. S.

Wtedy „Moment" pisał w „szale radości":

„Takiej manifestacji solidarności żydowskiej — jaka się wczoraj odbyła w Warszawie, już dawno nie widziano".

A w „Hajncie" Eichhorn:

„Bund na wczoraj ogłosił strajk robotniczy demonstrację klasy robotniczej przeciwko faszyzmowi i antysemityzmowi. Jako manifestacja proletarjacka i socjalistyczna miała ona wyrazić starą prawdę socjalistyczną, że socjalizm jest tylko wytworem stosunków kapitalistycznych, a więc oczywistem jest, że uczestniczyć w niej powinni byli tylko socjaliści, tylko wrogowie ustroju kapitalistycznego. Rozumie się, że aby nietylko być imponującą zewnętrznie, lecz conajważniejsza, aby usprawiedliwić swój sens i cel, taka manifestacja musiałaby zespolić dokoła siebie robotników *zarówno żydowskich, jak i polskich.* Reakcja kapitalistyczna wszak jest wrogiem nietylko proletarjatu żydowskiego, lecz i polskiego. Tak jednak się nie stało".

Miało się odbyć tak jak w Grecji. Za *pierwszym*

razem się nie udało. W Salonikach i w Atenach udało natychmiastowo: pucz komunistyczny, terorystyczne zamachy, uderzenia w budżet państwowy, olbrzymie szkody i straty, oczywiście nie tykające Sassoonów a wyreżyserowane przez Sobelsohnów. I drukujący groźby pana S. Icchaki prosowiecki „Nasz Przegląd" już mógł dać swym czytelnikom 26-tego maja krzepiącą ilustracyjkę: „Zaburzenia w Atenach".

Jak w Hiszpanji i jak w Grecji tak tembardziej ma być i u nas.

Faza przejściowa to pod-jud-zanie ulicy, przedmieść, peryferyj na młodzież akademicką (dołoj gramotnyje!), szkalowanie obozu narodowego i komunistyczna *preparadness.* Tymi sposobami chcą się asekurować w masach, względnie ratować, względnie narastaniu nastrojów antyjudejskich profilaktycznie zapobiegać. Publicyści żydowscy, zawsze impulsywni, choleryczni, niezgrabni, poddający się emocjom, pasjom i afektom, rozpisują się już o tem całkiem szczerze. Wynajęto też sobie kilka sztuk aryjskich drugorzędnych literatników, skrybów, którzy idą w awangardzie demoralizacji, dechrystjanizacji, anarchizowania i torują drogę polskiemu Blumowi czy Beli-Kunowi.

Zła to droga i *zła* wola.

Nim dojdzie do wymarzonej przez rabbi Thona *hiszpanizacji,* może przyjść przedtem: *arabizacja!*

W roku 1915-tym przyjmowali tu w Warszawie z dzikim orjentalnym fanatyzmem wojska pruskie, teraz szykują się na owacyjne przyjmowanie marszałków sowieckich. Oficjalny organ burżuazji żydowskiej w Warszawie od kwietnia b. r. dzień w dzień zamieszcza sążniste, ogniste relacje z sowieckiego Chanaan. Propaganda jaw-

na, bezceremonjalna, w jasny dzień kpiąca sobie z ciemnoty cenzury. To także nieładnie i niedobrze. Zamiast extazować nad wszystkiem, co w Sowietach, lepiejby może teraz cokolwiek więcej o *Ekwadorze* i wogóle o frejlandach i nomanslandach, gdzieby goście nieproszeni, czyli jak ich Żeromski nazwał, „krajowi cudzoziemcy“ systematycznie odpływać mogli.

Krach syjonizmu, w terminie nieprzewidzianie przyśpieszony a w rozmiarach nieoczekiwany krach syjonizmu stawia jak całe żydostwo, tak specjalnie przygniatając Polskę przed sytuacją już skroś tragiczną, przed wyjściem bez wyjścia. Kompromitacja i zdyskredytowanie formatu globowego.

Niemniej przeto i naród polski staje na rozdrożu wobec dylematu: albo hiszpanizacja i Sowiety, albo arabizacja i Wyzwolenie.

Czy kowadło czy młot?

Na wozie czy nawozem?

My, jako wygrani moglibyśmy być litościwi i rycerscy. Oni musieliby być tak okrutni i nieludzcy, jak zawsze bywali w dziejach jako zwycięzcy. Jeżeli w Hiszpanji płonęły katedry i kościoły z XI i z XII wieku, to i z naszą Częstochową i naszym Wawelem na samym początku Oktiabra polskiego z artystyczno - kulturalnych względów nie robiliby sobie ceremonji. Cytując nam (jak stale cytują)... Mickiewicza, rozstrzeliwaliby dziennie tysiące. Za winy przodków. Kamień na kamieniuby nie ostał. Już za odśpiewanie Warszawianki czy Pierwszej Brygady... szłoby się *pod stienku.* Takich jak Szela wyedukowaliby w pierwszy miesiąc tysiąc. Synom kazaliby dla dobra proletarjatu przeprowadzać egzekucje ojców i matek. Jako

zwycięzcy, jako rządząca warstwa, jako większość ani pacyfistami, ani sentymentalistami nie są.

Dla przekonania się o tem wystarczy wsiąść jako jedynemu Aryjczykowi do kolejowego wagonu, w którym jadą „Semi-swoji"...

Arabowie też coś już mogliby nam o kuzynach opowiedzieć...

No i mówią.



SPIS RZECZY

